

MIESIĘCZNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

Cena 7 zł (w tym 5% VAT)

KRAKÓW

www.miesiecznik.krakow.pl

Nr 03 (196) Marzec 2021



9 771733 045101 03

ISSN 1733-0459 Indeks 388726

MIESIĘCZNIK **KRAKÓW** ZAPRASZA

NAGRODA CZYTELNIKÓW „KRAKOWA” ORAZ NAGRODA JURY!
WIELKI FINAŁ! KTO WYGRA?

KONKURS „PORTRETY 2020”

- czyli wybieramy najlepsze polskie
dzieło biograficzne AD 2020

NAGRODA CZYTELNIKÓW?

- aż do 14 marca włącznie wybierajcie swego faworyta spośród
ZŁOTEJ DWUDZIESTKI FINALISTÓW zamieszczonych na stronie
www.miesiecznik.krakow.pl/konkurs-portrety-2020/

NAGRODA JURY?

Do jej finału jury wybrało trzy tytuły:

- film dokumentalny
„Dom Literatów, czyli kartoteka zebrana”
w reżyserii Marka Gajczaka, Kraków Film Klaster
- książka „Ginczanka” Izoldy Kiec,
wydawnictwo Marginesy
- książka „Ludowa historia Polski”
Adama Leszczyńskiego, wydawnictwo W.A.B.



miesiecznik.krakow.pl



Miesięcznik Kraków zaprasza 20 marca od godziny 18⁰⁰ na transmisję on-line z ogłoszenia wyników konkursu „Portrety” i przyznania dwóch nagród: **Nagrody Czytelników i Nagrody Jury**





Jérôme-Martin Langlois (1779–1838), *Kassandra błagająca o zemstę Minervy na Ajaksie*, 1810, olej na płótnie, Musée des beaux-arts de Chambéry, Savoie, Francja

Wspólnota świętego węża. Dar Kasandry

Tekst: Krzysztof Zajas Ilustracja: © Wikimedia Commons

Na naszych oczach rozpada się społeczeństwo, zastępowane przez wyjące plemiona. Każdego dnia tracimy trochę wolności. Wkrótce wybuchnie wojna domowa. Dobre duchy pierzchły przerażone. Rzeczywistością polską w najlepsze rządzi diabeł.

Po ogłoszeniu przez tak zwany Trybunał Konstytucyjny niby wyroku w sprawie ustawy antyaborcyjnej przez kraj przetoczyła się kolejna fala protestów. Ludzie są wściekli.

Tymczasem władza ich ignoruje i dalej załatwia swoje brudne interesy. Dialog umarł, nikt nikogo nie słucha, kłamstwa i wrzaski zastąpiły rozmowę, pięści – wyciągniętą dłoń.

Niełatwo się wymknąć z tak uplecionej klatki. Zresztą – dokąd? Tutaj jest moja Polska, nigdzie indziej. Moje miejsce na ziemi, które ktoś mi zabiera po kawałeczku. Dotkliwe osamotnienie, z którym muszę sobie jakoś poradzić. Protestowałem, manifestowałem, zgłaszałem sprzeciw – na próżno. Diabeł wszak lubi nasz bunt. Karmi się wykrzykiwaną złością, w wybuchach której gubimy rozsądek i stajemy się podatni na diabelskie podszepty. On zaciera kopytka. Błuźnij, synu, do woli, i tak wszystko stracone.

W *Zdobyciu władzy* Czesława Miłosza jest postać profesora Gila, miłośnika antyku, który tuż po wojnie tłumaczy Tukidydesa. Dookoła zgłiszcza i popioły, faszyzm i komunizm, zbrodnia, chamstwo i rabunek – a on ślęczy nad *Wojną peloponeską*. Czy to szaleństwo, strach czy obojętność? Nie, to dystans. Zmiana perspektywy. Szukanie analogii w narracjach z przeszłości, by złapać równowagę nad otchłanią. Tukidydes nazwał

Diabeł lubi nasz bunt. Karmi się wykrzykiwaną złością, w wybuchach której gubimy rozsądek i stajemy się podatni na diabelskie podszepty. On zaciera kopytka. Błuźnij, synu, do woli, i tak wszystko stracone.

po imieniu zło, użył słowa pisanego, by postawić granicę między prawym i nieprawym, i wysłał ten sygnał przez stulecia. Dzisiaj klasyk głowi się nad nim w poszukiwaniu odpowiedzi.

Jest w geście profesora Gila jednak coś więcej niż tylko szukanie odwiecznej mądrości. Nazwałbym to balsamem opowieści. Ona nie tylko przenosi stąd tam, nie tylko daje dystans i wytchnienie, ale i chroni nas przed osamotnieniem. Tworzy dobrą wspólnotę. „Kiedy pióro zawisa w powietrzu i jest do rozwiązania problem interpretacji czy syntaksy, wszyscy ci, którzy kiedyś dawno posługiwali się myślą i językiem, są przy nas, dotyka się misternych rzeźb ogrzanych ich oddechem. I wspólnota z nimi przynosi spokój” – pisze Miłosz. Oni, ci dawni, nadal są przy nas myślą i językiem. Jesteśmy razem przeciwko nędzy świata. Patetycznie brzmiałoby to tak: naszym najważniejszym dziedzictwem jest literatura.

W środku lockdownu, umęczony natłokiem tanich katastroficznych wizji po dwa złote za klik, uległem podobnemu odruchowi. Cofnąłem się w głąb czasu do heroicznej Grecji, by przypomnieć sobie trojańską wiešzczkę Kasandrę. Najpiękniejsza z córek Priama podczas rzezi Troi zdołała ukryć się w świątyni Ateny, skąd wywłókł ją Ajas z Lokrydy i świątokradczo zgwałcił. Jako branka

wojenna przypadła królowi Agamemnonowi, który przywiózł ją do pałacu w Mykenach, by tam razem z nią zginąć z rąk żony i jej kochanka. Jak mówi Zygmunt Kubiak w *Mitologii Greków i Rzymian*, Kasandra w Mykenach „wzgardliwie milczy wobec królowej” i dopiero nocą przed gromadą starców wykrzykuje straszną wróżbę o śmierci Agamemnona. Wtedy też wyznaje, że dar wieszczenia dał jej Apollo, który ją uwiódł. Istnieje jednak wersja lepsza od seksualnej, dla mnie wręcz fascynująca! Otóż kiedy Kasandra była mała, rodzice zabrali ją z bratem Helenosem do świątyni Apollina w Tymbrze i tam zostawili na noc. Po prostu zapomnieli! Kiedy dzieci zasnęły, pilnujące wiecznego ognia święte węże polizały im uszy. Stąd dar słyszenia przyszłości, który jest także przekleństwem, gdyż wywyższa i zabija zarazem.

Próbuję to sobie wyobrazić. Ciepła śródziemnomorska noc, jaką znamy z wakacyjnych wyjazdów, słałutki powiew wiatru, cykadę grzechoczącą wśród krzewów. W glinianych lampach oliwa spala się spokojnym światłem, które rzuca długie cienie wśród kolumn. Owady skwierczą w pełgającym płomieniu. Czasem szasumi drzewo w świętym gaju. Dzieci są przerażone, zostały same w zupełnie obcym i niesamowitym miejscu. Opieka bóstwa to jedno, a potwory, źli ludzie i dzikie zwierzęta to drugie. Drżąc ze strachu, przytulają się do siebie, zaciskają na siłę powieki i pocieszają się nawzajem. Cii, może nic się nie stanie. Żeby zagłuszyć straszne myśli, nucą półgłosem pieśni, jakich uczyła je niania. By nie zmarznąć od zimnej posadzki, przysuwają się blisko lampy i tam zasypiają. Głęboką nocą zza kamiennej misy wyłania się dostojny wąż. Sunie z uniesionym płaskim łbem, płochliwie, ostrożnie, bo święty wąż musi być czujny. Z jakiegoś powodu wiem, że jest zielony. Za nim wypęła drugi, okrążając śpiące dzieci, bezgłośnie wyginając sprężyste ciała. Pochylają się nad maluchami. Dzieci pachną słońcem i niewinnością. Śpią na boku, zwarte w obronnym uścisku, a małżowiny ich uszu rozchylają się jak wejścia do maleńkich jamek. Węże widzą miniatuarki własnych domów, gdzie wylęgają się takie same dzieci, tylko węzowe. Jeden z nich muska rozdwojonym językiem półprzeźroczystą muszelkę, bardzo delikatnie, by nie obudzić dziewczynki, która śpi z półotwartymi ustami i piąstką wciśniętą pod brodę. Muśnięcie jest jak najłżejszy powiew wiatru, ale wystarczy. Świętość wnika przez ucho do mózgu i przedstawia ośrodki zmysłów, a rano dziewczynka wie już wszystko. I kiedy braciszek płacze, ona obejmuje go ramieniem, drugim osłaniając oczy przed promieniami wschodzącego słońca. Choć jest młodsza, słowa jej brzmią dojrzałe i tchną pełnym powagą spokojem: „Nie martw się, już jadą. Widzę ich”.

I potem już zawsze widzi. Przeszła na drugą stronę. Ból wiedzy – daremnej, nie-

potrzebnej, pogardzanej – będzie jej towarzyszył przez resztę życia. Podczas pogromu Troi schroni się w świątyni bogini mądrości Ateny, czyli niby trafnie, chociaż nadaremnie. Swoją dziewiczą hańbę pod chamskim Ajasem zobaczy znacznie wcześniej, nim się wydarzy. A także zagładę rodzinnego domu i całej Troi. I śmierć własną, która nie boli tak, jak ujrzana wieszczymi oczami śmierć dwóch synów, których zdążyła urodzić Agamemnowi. Mądra, piękna, jasnowidząca, gwałcona, uprowadzona z ojczyzny, nieszczęśliwa na wszystkie możliwe sposoby – wierzę, że śmierć przyjęła z ulgą. Na widok wzniesionej ręki Klitajmestry, zbrojnej w zakrwawiony nóż, może się tylko wzgardliwie uśmiechnąć. Powiedz mi coś, czego nie wiem, wielka królowo. Może w nagrodę nie powiem ci tego, co ja wiem. I zerkna na zasłonę, gdzie chowają się przerażeni Elektra i Orestes, którzy później zabiją matkę morderczynię.

Śmierć nagła, ale spodziewana. Wiadoma. Raptem tyle satysfakcji dla tej, która widzi i słyszy.

Lubię sobie wyobrażać, że ludzie literatury to wspólnota tych, którzy widzą i słyszą. Dawno temu, w głębokim dzieciństwie, zostawieni sami sobie i z napięciem kartkujący pierwszą otrzymaną od mamy bajeczkę, nieporadnie wiążąc znak ze znaczeniem – zostaliśmy polizani w ucho przez święte węże. I tak już zostało. Te literki ułożone w wyrazy i zdania, które otwierały magiczne drzwi, dawały nam wytchnienie i ulgę. Dawały ucieczkę od świata w to dziwne p o m i ę d z y, które Olga Tokarczuk nazywa Krainą Metaksy. Dawały wiedzę enigmatyczną, niewyraźną, raczej przeczuwaną niż dowodliwą – a jednak ważniejszą od dziejącego się dokoła barbarzyństwa. Dawały wolność.

Usiłowałam zgłębić, jakąż to proroczą wiedzę dysponowała Kasandra. Że zbrodnia rodzi zbrodnię, winą przynosi karę, a głupota nieszczęście? Że krew na twoich rękach przejdzie na dzieci i wnuki? Że triumf tyrana jest krótkotrwały, hołdy wrogów podstępne, a znieważone bóstwo się mści? Właściwie żadne rewelacje – zwykła człowiecza mądrość z domieszką przyzwoitości i rozeznania w świecie. Wiedza dostępna każdemu, kto zechciał po nią sięgnąć. Kto czytał książki. Gdy się trochę zastanowić, Kasandra nie mówiła niczego radykalnie nowego, powtarzała tylko stare prawa ludzkości, o których tak chętnie zapominamy w chwilach doraźnej pychy.

Patos? Być może, z tym że dzisiaj, w zakłamaną i zdegenerowaną rzeczywistość, dobra literatura daje nie tylko wytchnienie, ale i ocala nas. W sensie ścisłym, ponieważ jeśli przetrwamy, to dzięki niej. Przywraca wymiar, którego tak nam brakuje. Ożywia wielkie słowa, które wyparowały z naszego potocznego języka obśmiane na dziesiątą stronę w cywilizacji szydery i wypaczone w jazgocie mediów. Ta różnica aż kłuje

w oczy. Proponuję test: godzinę surfowania w internecie, a później lektura dobrej książki. Nie tej mozolnie wciskanej przez promocję na stolik w Empiku, tylko naprawdę dobrej. Każdy świetnie wie, o co mi chodzi, bo ma takie książki. To jest jak wyjście z piwnicy na słoneczny ogród, kąpiel w czystym źródle, strzelisty oddech na szczycie góry. „Ja chronię dobre imię, bo język jest moją miarą” – to też Miłosz.

Kiedy byłem całkiem mały, rodzice też mnie zostawiali samego. Nie w świątyni, tylko w domu, na jedną-dwie godziny, ponieważ pracowali na zmiany. Radziłem sobie z lękiem w ten sposób, że na podłodze w kuchni rozkładałem książki i oglądałem je, starając się nie widzieć niczego poza nimi. Świetnie pamiętam bajkę o zajączku, na której nauczyłem się czytać. Myślę, że wtedy zielony wąż polizał mi ucho i tak już zostało. Kiedy boję się świata, obkładam się dobrymi książkami i szukam tajemnych przejść stąd tam. Ciągle

Dzisiaj, w zakłamaną i zdegenerowaną rzeczywistość, dobra literatura daje nie tylko wytchnienie, ale i ocala nas. Jeśli przetrwamy, to dzięki niej. Przywraca wymiar, którego tak nam brakuje.

Ożywia wielkie słowa, które wyparowały z naszego potocznego języka, obśmiane na dziesiątą stronę w cywilizacji szydery i wypaczone w jazgocie mediów.

pomaga. Zmieniło się tyle, że po tamtej stronie nie spotykam podobnych sobie i wtedy rozmawiamy o tym, co przeczytane, o naszych strategiach radzenia sobie z lękiem. Życie literaturą nie jest łatwe, ta strefa wolności potrafi być bardzo kosztowna i nie chodzi o pieniądze. Czasem słyszymy pod swoim adresem jawne groźby, niekiedy realizowane. Ale jesteśmy razem. Wspólnota świętego węża.

Literatura to dla mnie biblijne miasto ucieczki. Hebron wrażliwców wypędzonych z ziemi jałowej prostactwa. Kraków jest Miastem Literatury UNESCO. Te dwie prawdy dziwnym trybem gdzieś mi się zbiegają w jeden punkt. Mocny punkt podparcia. W płynnych czasach ponowoczesności to naprawdę niemało.



Krzysztof Zajas – pisarz, badacz literatury, kulturoznawca, profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego; wielbiciel kultury wysokiej i pokątny wyznawca kultury popularnej; kiedy ma dość pisania i czytania, włóczy się z psem po łąkach.

TEMAT MIESIĄCA:**Literatura w płynnych czasach**

Krzysztof Zajas

S. 1

Dzisiaj, w zakłamej i zdegenerowanej rzeczywistości, dobra literatura daje nie tylko wytchnienie, ale i ocala nas. Jeśli przetrwamy, to dzięki niej. Przywraca wymiar, którego tak nam brakuje. Ożywia wielkie słowa, które wyparowały z naszego potocznego języka, obśmiane na dziesiątą stronę w cywilizacji szydery i wypaczone w jazgocie mediów.

**KRAKÓW MÓWI****Byłem Jankiem Muzykantem** Stanisław Gałoński/

Elżbieta Wojnarowska

S. 42**ŁUDZIE, MIEJSCA, WYDARZENIA****Kościół Misjonarzy na Stradomiu**

Krzysztof Jakubowski

S. 10**Tyniec. Klejnot** Stanisław Dziedzic**S. 12****Obłok Lema** Piotr Stachnik**S. 20****Zakładka, a nawet więcej** Anna Mazela**S. 28****O Ludwiku Flaszenie** Marta Wyka**S. 70****Kronika kulturalna****S. 87, 89****Krakowski łącznik****S. 90****Kraków (Główny)****S. 91****Linia A-B****S. 92****REKOMENDACJE****Zaraza. Lekcja nieprzerobiona**

Magda Huzarska-Szumiec

S. 27**Na równoważni** Jan Biela**S. 86****OBYWATELE KRAKOWA****Miejsce pachnące książkami (Joanna Zapiór)**

Marta Gruszecka

S. 8**PORTRETY 2020 – WIELKA TRÓJKA JURY****Ginczanka. Nie upilnuje mnie nikt.**

Marta Gruszecka

S. 22**Adama Leszczyńskiego historia zwykłych ludzi**

Krzysztof Burnetko

S. 31**Dom pod wiecznym piórem** Dominik Jedliński**S. 35****Portrety 2021 (marzec)****S. 40****POLSKA MA GŁOS****Złota rączka z Andrychowa** Marta Gruszecka **S. 50****HISTORIA****Jak nie zostałem Żołnierzem Wyklętym**

Andrzej Romanowski

S. 54**Kalendarium krakowskie:****Marzec 1921 roku** Krzysztof Jakubowski**S. 62****TEATR****Czekając na podwójnie bezpieczny samowar**

Paweł Głowacki

S. 66**FILM****Część pejzażu...** Maria Malatyńska**S. 74****Bliscy** Łukasz Maciejewski**S. 78****KSIĄŻKI****Nasza biblioteka****S. 84****Moja krakowska książka miesiąca**

Janusz M. Paluch

S. 88**GALERIA „KRAKOWA”****Bartolomeo Koczenas**

Magda Huzarska-Szumiec

S. 46**FELIETON****NA CZERWONYM ŚWIETLE** Ewa Lipska**S. 5****OKIEM BERESIA** Witold Bereś**S. 6****Z NAJWYŻSZEJ PÓŁKI** Krzysztof Burnetko**S. 7****SMOCZE JAJO** Mieczysław Czuma**S. 81****POZA KRAKOWEM**

Magdalena Miśka-Jackowska

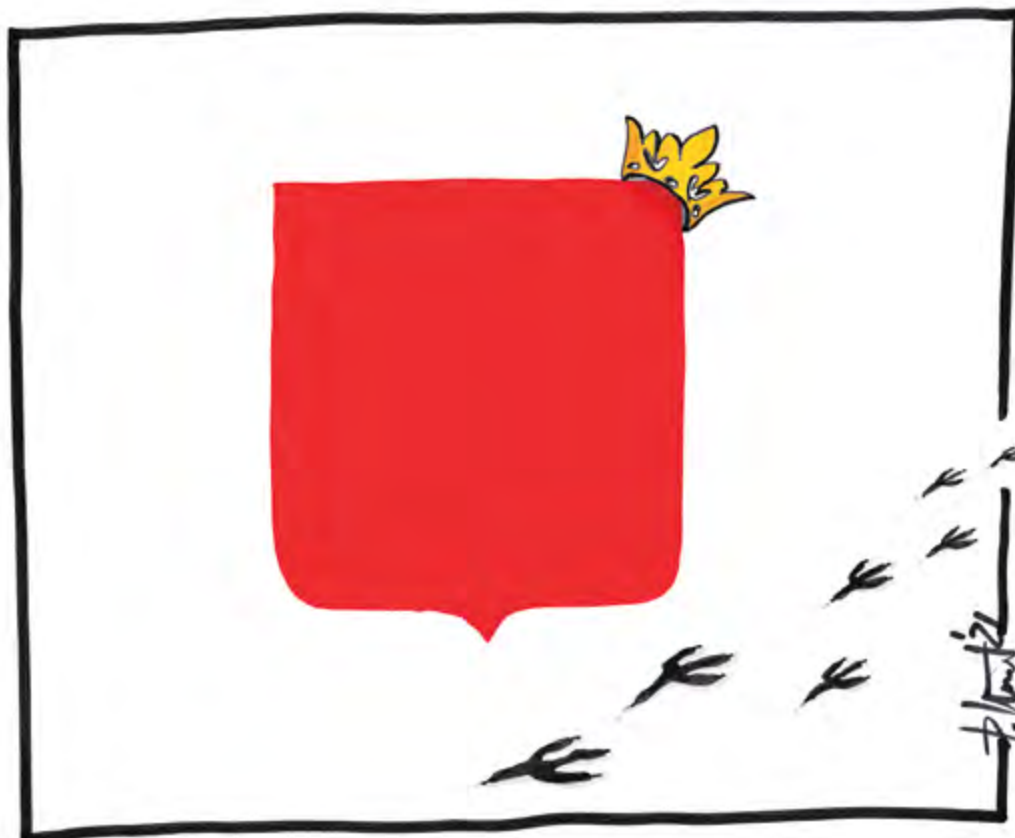
S. 82**BEDEKER KRAKOWSKI** Iga Dzieciuchowicz**S. 83****LUBIĘ LUBIĆ** Agnieszka Kosińska**S. 96****OKŁADKA**

Rys. Piotr Błachut

Wiceminister edukacji i nauki zobaczył śnieg, co ze wzruszeniem odnotował: „Piękna zima, jak zapowiadali zwolennicy ocieplenia klimatu...”. No właśnie, Beethoven to przecież tylko pies.



Ewa Lipska – krakowianka, poetka, felietonistka, niegdyś redaktorka działu poezji Wydawnictwa Literackiego i dyrektorka Instytutu Polskiego w Wiedniu, członkini polskiego i austriackiego Pen Clubu oraz Polskiej Akademii Umiejętności i Stowarzyszenia Pisarzy Polskich.



Rys. Piotr Błachut

Rok z zarazą. Pytania

Tekst: Witold Beres

Dziś największa zaraza współczesności sparaliżowała świat cały, a ludzi zagnała za zamknięte szczelnie drzwi, za którymi rzekomo nic im nie grozi.

I tak już mija rok. Końca – nie widać. Zwłaszcza jeśli się sprawdzą pomruki o nieskuteczności szczepionek wobec kolejnych mutacji wirusa.

Cywilizacja to przetrwa. Lecz ten czas odsłania przed nami – choć większość z nas się przed tym broni rękami i nogami – ogrom pytań wagi najcięższej. Trzy z nich wypadająby sobie zadać choćby przed lustrem, jeśli już nie mamy odwagi uczciwie skonfrontować się z nimi publicznie.

Czy możemy komukolwiek z liderów opinii publicznej zaufać, gdy mówi o zarazie?

Czy potrafimy podejmować trudne decyzje?

I wreszcie: czy umiemy się samoograniczyć?

Odpowiedź na te pytania jest prosta i zdecydowana, choć jej źródła są różne: nie.

*

Gdzie są autorytety? Gdzie liderzy opinii? Owszem – lekarze (jeśli nie są na służbie polityki) mówią, co wiedzą: że wiedzą bardzo mało. Ale politycy mówią już to, co (ich zdaniem) jest potrzebne do zachowania przez nich władzy.

W krajach o ograniczonej demokracji politycy wszystkich opcji mówią o pandemii tylko poprzez doraźność. Łukaszenka podważał samo istnienie Covid-19 na Białorusi, a w Polsce Morawiecki mówił, że wirus się cofa, gdy wyszło mu z badań, że p. Duda wygra wybory, gdy starzy ludzie pójść głosować. Punkt widzenia opozycji też zależy od punktu siedzenia – koronawirusa roznosi nawet kartka wy-

nia muszą zaakceptować, noszenie maseczki to minimum nie tylko zdrowia, a ćwiczenie muskulatury w siłowniach nie znosi groźby wzrostu zachorowań tylko dlatego, że robi się to w ramach wymyślonych przygotowań do zawodów.

I przestańmy powtarzać, że musimy razem zdać ten egzamin. Owszem, można razem walczyć (na uczciwych zasadach!), ale za bałagan w zarządzaniu kryzysem odpowiada władza.

*

Niewielką pociechą jest, że większość cywilizacji Zachodu też jest ulepiona z zeschniętego papieru. To raczej dowód na to, że świat w swej całości przeżył się dobrobytem i pławiąc się od ponad trzech ćwierci wieku w globalnym pokoju oraz gnuśności, doszedł do granicy, za którą jest już tylko marzenie o wywołaniu kryzysu, choćby i przyniosł równocześnie kres cywilizacji.

I tu pojawia się problem kluczowy.

Choć bowiem zaraza to dzieło natury (OK, tropy spiskowe to nie moja bajka, choć uczciwie nie mogą być skreślone), ale już jej sposób rozprzestrzeniania to wina ludzkiej zachłanności. Staliśmy się społeczeństwem zabawy. Więcej łądujemy w aquaparki niż w szpitalu. Płacimy setki milionów dolarów piłkarzowi w Hiszpanii, a pensja lekarza czy naukowca – w tej samej Hiszpanii! – wynosi 1800 euro. W starożytnych Atenach istniał ołtarz postawiony nieznanemu bogu... Więc i my powinniśmy byli budować instytucje, które służą naszemu ocaleniu w obliczu niewiadomej klęski.

Staliśmy się nazbyt ruchliwi. Miliard ludzi co roku oddaje się nie turystyce, ale turystyce wrażeniowemu: minuta na Kaplicę Sykstyńską wraz z selfie.

Czy teraz, korzystając niejako z osłony pandemii, potrafimy zmienić swe myślenie?

„Każdy nosi w sobie dżumę, nikt bowiem nie jest od niej wolny. I trzeba czuwać nad sobą nieustannie, żeby w chwili roztargnienia nie tchnąć dżumy w twarz drugiego człowieka”. Ta tytułowa dżuma Camusa wyciąga z książkowych postaci ich prawdziwe „ja”: człowiek w obliczu tragedii zachowuje się egoistycznie, a górę bierze jego zła natura.

Mało tego: tak zawsze było, tak jest i tak będzie.

**Sednem zarazy nie jest wirus,
ale niewydolność państwa**

borcza, a innym razem trzeba jak najszerzej otworzyć usługi.

Nic dziwnego, że obywatele albo w Covid nie wierzą, albo odcinają się od świata. Bo widać, że sednem zarazy nie jest wirus, ale niewydolność państwa. To właśnie państwo, przepijając swoje aktywa przez – choćby – wydatki na propagandę, chcąc nie chcąc, zabija obywateli swoją niewydolnością. A pozbawiona wsparcia służba zdrowia zamiast miejscem ratunku stała się miejscem przeklętym, gdzie liczba zgonów rośnie.

*

Ale czy sami umiemy sobie narzucić trudny wybór? Fajnie maksymalnie, nawet na granicy ryzyka, otworzyć gospodarkę, pod warunkiem że: a) sami politycy rzucą wszystkie siły na ratowanie służby zdrowia (bo to na nią padnie fala uderzeniowa, gdy otwarcie biznesu przyniesie nieunikniony wzrost zachorowań); b) sami obywatele zrozumieją, że ogranicze-



Witold Beres – producent filmowy, scenarzysta, publicysta, pisarz. Redaktor naczelny miesięcznika „KraKów”.

Miłosz wydany

Tekst: Krzysztof Burnetko

Dwie krakowskie oficyny zakończyły właśnie historyczne – bez żadnej przesady – przedsięwzięcie na rynku książki. Mowa o wydaniu całej, jakże obfitej, spuścizny Czesława Miłosza.

Dość powiedzieć, że chodzi o siedem dekad twórczości – i to nadzwyczaj intensywnej. Na dorobek noblisty składają się przecież nie tylko wiersze, ale też eseje, powieści i inne formy prozatorskie, tłumaczenia, prace historycznoliterackie, felietony, publicystyka, korespondencja, rozmowy i wywiady prasowe w tytułach z całego świata, a wreszcie rozmaite varia.

Umowę na edycję *Dzieł zebranych* Miłosz podpisał w grudniu 1998 roku z Wydawnictwem Literackim i Znakiem. Monumentalna seria miała obejmować zarówno teksty znane z poprzednich wydań, jak i niepublikowane. Oficyny podzieliły się tytułami, które miały być wydawane w tej samej szacie graficznej, układzie typograficznym i jednolitym opracowaniu krytycznym. Każdy tom bowiem opatrzony jest przypisami i komentarzem. Podjęli się tego najwybitniejsi znawcy twórczości Miłosza. Do Komitetu Naukowego serii należeli wszak Jan Błoński, Aleksander Fiut, Andrzej Franaszek, Kamil Kasperek, Marian Stala i Marek Zaleski.

Co ważne, pierwsze tomy mogły być opatrzone *Przypisem po latach*, czyli aktualizującym wprowadzeniem samego Miłosza – noblista bowiem aż do swej śmierci był zaangażowany w przedsięwzięcie: skrupulatnie przeglądał dawne teksty, a redaktorem służył swoją legendarną pamięcią i innymi wskazówkami.

Oprócz, naturalnie, kanonicznych już wierszy czy esejów Miłosza osobną jakością jest zebrana w ramach *Dzieł* jego publicystyka – sięgająca jeszcze czasu okupacji, obejmująca skomplikowany okres tuż powojenny, a w końcu lata spędzone na emigracji i po powrocie do kraju. Czytana w porządku chronologicznym jest nie tylko ilustracją losów samego Miłosza i jego poglądów. Stanowi nadto bezcenne źródło wiedzy o realiach i dylematach kolejnych epok, pochodzące od świadka i uczestnika tamtych wydarzeń, źródło niepoddane późniejszym, czasem fałszującym przecież relację korektom czy snutym z perspektywy wspomnieniom.

Zupełnym zaś ewenementem, sensacją wręcz, są teksty dotąd niepublikowane – często odczytane z maszynopisów bądź po prostu z rękopisów zdeponowanych w rozmaitych archiwach i zbiorach. Zestaw takich właśnie rarytasów przynosi najnowszy – i już ostatni – tom *Dzieł* wydany pod szyldem Wydawnictwa Literackiego – *Z archiwum. Wybór publicystyki z lat 1954–2004*.

Są w tym tomie takie cymesy, jak powstały w 1955 roku *Komentarz do „Poematu dla dorosłych”*, czyli notatki Miłosza na temat sztandarowego utworu postalinowskiej odwilży w Polsce – z oceną, że stanowi on „jedną z najpoważniejszych prób przywró-

cenia poezji polskiej jej tradycyjnych funkcji w życiu publicznym”.

Wstrząsające – i wzruszające – są świadectwa, jak zapis audycji dla sekcji polskiej Radia Francuskiego *Rocznica masakry Żydów w Kołomyi*, w której Miłosz w porozumieniu ze środowiskiem paryskiej „Kultury” wystąpił ze Stanisławem Vincenzem. W nadanym prawdopodobnie w lutym 1954 roku słuchowisku przewidywał: „Wymordowanie w Polsce milionów Żydów przez hitlerowców nie jest sprawą zakończoną. Nie jest zakończoną, powta-

Ewenementem, sensacją wręcz, są niepublikowane dotąd teksty Miłosza

rzam. Świadomość wielu ludzi może, z takich czy innych względów, bronić się przed uznaniem olbrzymiości tego faktu. Ale jest to fakt – lawina, jedno z tych zdarzeń w historii, które pomimo chwilowych przemilczeń czy obojętności rosną z upływem czasu. Wierzę, że ten fakt stanie się centralnym punktem dla tych, którzy w odległych latach jutra będą starali się zrozumieć zbrodnie XX wieku”.

Poruszające są powstałe po Marcu 1968 rozważania *Tak więc naród polski został gruntownie wrobiony w hańbę* ze zdaniem: „Prawdziwe diabelstwo rodzi się zwykle z tego, co swojskie, bliskie, tak zwykłe, że aż niedostrzegalne; nie z tego, co ma obcą twarz i cudzoziemski akcent”. I z bolesną analizą kondycji rodzimego Kościoła i kleru.

Niezwykle interesujące są uwagi O [Zbigniewie – KB] *Herbercie* powstałe już po śmierci bohatera opowieści, a będące opisem (subiektywnym oczywiście, niemal intymnym, co tu jest szczególną wartością) znajomości (Miłosz pisze: „przyjaźni”) obu poetów – w tym i głośnego konfliktu między nimi.

Podobnych pereł i perełek jest w *Z archiwum* oczywiście multum.

*

Mało już – o ile w ogóle – jest na rodzimym rynku wydawnictw, które zdobywają się (i odważają) na takie inicjatywy jak edycje dzieł zebranych najwybitniejszych choćby twórców. Kraków znowu wykazał się klasą i odwagą właśnie.



Krzysztof Burnetko – niegdyś wieloletni dziennikarz „Tygodnika Powszechnego”, później tygodnika „Polityka” (z którym współpracuje do dziś), pasjonat nart i autor wielu książek, z których najmilej wspomina te o Marku Edelmanie.



Miejsce pachnące książkami

Tekst: Marta Gruszecka **Zdjęcie:** Robert Słusznik/z archiwum i za zgodą Joanny Zapiór

Fizyczka, która kilkanaście lat temu zaprzyjaźniła się z pewnym czytany historykiem. A potem z literaturą historyczną, którą dziś z uśmiechem na twarzy sprzedaje w Szafie Pełnej Książek. W plebiscycie na Krakowską Księgarnię Roku 2020 miejsce to wygrało w kategorii „Najlepsza obsługa”.

Nic dziwnego – razem z mężem Tomaszem tworzą niezwykle zgrany duet. – Ja zajmuję się sprawami przyziemnymi, a mąż buja w obłokach – żartuje Joanna Zapiór, współwłaścicielka Szafy Pełnej Książek. Poznali się na studiach, które nie miały ze sobą niczego wspólnego. Bo właściwie co mogłoby połączyć skupioną na datach historię ze skrupulatną, uwikłaną w matematyczne obliczenia fizykę? Tylko wielka miłość. Do siebie, ale i do książek, których u państwa Zapiórow zawsze było pod dostatkiem. – Lubiłam czytać już w dzieciństwie. Ulubioną książką były oczywiście *Dzieci z Bullerbyn* Astrid Lindgren, które przeczytałam kilka razy. Ale prawdziwym miłośnikiem literatury jest mąż. Kolekcjonuje książki odkąd pamiętam, zwłaszcza na studiach stworzył pokaźną biblioteczkę. Przygotowując się do sesji, cierpliwie zdobywał coraz więcej trudno dostępnych tytułów. Pewnego dnia pod oknami stanęło nawet auto dostawcze załadowane po dach książkami... – wspomina pani Joanna.

Te, które nie przydały się do sesji, pan Tomasz sprzedał z całkiem sporym zyskiem. Ale nadal gromadził książki bez opamiętania. Kiedy mieszkanie Zapiórow zamieniło się w bibliotekę, przyszli księgarze wpadli na pewien pomysł: – Skoro i tak sprzedajemy nasze książki, może warto byłoby zająć się sprzedażą na poważnie? Znajdźmy lokal i stwórzmy szafę z książkami! A nuż ktoś będzie chciał do nas przyjść...

On – sercem, ona – mózgiem

Szafę Pełną Książek otworzyli w listopadzie 2015 roku na krakowskim Podgórzu przy ulicy Krakusa 7. Wcześniej mieściła się tutaj... fabryka czekolady. Charakterystyczny zapach unosił się więc po całym budynku. Dziś pachnie świeżo zmielona kawa i książki, co wraz z oddanymi im księgarzami tworzy niezwykle klimatyczne miejsce. Na półkach – zarówno stacjonarnych, jak i wirtualnych – Szafy Pełnej Książek znajdziemy ponad 30 tys. tytułów! To książki nowe, ale też używane, które nadal nadają się do czytania. – Selekcji dokonuje mąż. On, humanista, jest sercem tego miejsca. Ja bardziej mózgiem – zajmuję się zarządzaniem i sprzedażą – zdradza żona.

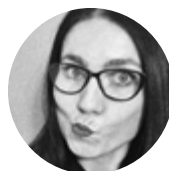
Ta, nawet w obliczu pandemii, nie spadła znacząco. Rozwinęła się natomiast w innej, bo wirtualnej formie. – Księgarnia internetowa nas uratowała. Na początku pandemii

byliśmy zamknięci, więc liczba naszych klientów była równa zeru. Ku naszej radości duże grono czytelników przystało na nasz apel i zaczęło zamawiać książki w sieci. Sprzedaż wysyłkowa do dziś cieszy się powodzeniem – przyznaje pani Joanna. Z jej usług korzystają głównie rodzice i dzieci. Co kupują najczęściej? – Lektury, pomoce naukowe, łamigłówki, kreatywne malowanki czy książeczki do nauki czytania i pisanie – wylicza księgarka.

Nasze trzecie dziecko

Co ciekawe, i co w dobie świata wirtualnego bardzo cieszy, podczas pandemii księgarze zaobserwowali znaczący wzrost czytelnictwa. – Ludzie są przesyleni rzeczywistością *online*. Osiem albo i więcej godzin przed komputerem męczy. Książka zawsze zrelaksuje po ciężkim dniu – zapewnia pani Joanna. Sama, gdy tylko znajdzie czas, sięga po ulubione powieści Camilli Lackberg i daje się ponieść wyobraźni. Przyznaje jednak, że chwile dla siebie zdarzają się rzadko. Zdecydowanie częściej ma za to kontakt z książkami dla dzieci. *Koniberkom* Weroniki Szelągiewicz nie szczędzi komplementów. – To pięknie wydana i zilustrowana opowieść o małych koniach ze skrzydełkami, w dodatku autorstwa krakowskiej pisarki. Dwójka naszych dzieci ją uwielbia. Dopiero kiedy zasypiają, mamy czas na nasze trzecie dziecko – Szafę Pełną Książek, której również oddajemy całe serce.

Szafa Pełna Książek (ul. Krakusa 7) jest czynna od poniedziałku do piątku w godz. 10–18 oraz w soboty w godz. 10–15. Księgarnia działa też online na stronie szafapelnakniazek.pl.



Marta Gruszecka – dziennikarka z lekkim piórem i łebskim żartem. Rozmówczyni, która potrafi słuchać. Miłośniczka kotów – czarnych i ciapatych. Maratonka, która nigdy się nie poddaje.



Kościół Misjonarzy na Stradomiu

Tekst: Krzysztof Jakubowski Zdjęcie: archiwum autora

Nazwę „Stradom” odnotowano po raz pierwszy w 1376 roku, jednak jej pochodzenie pozostało do dziś niejasne. Przedmieście to zyskało na znaczeniu już kilkadziesiąt lat wcześniej, po nadaniu przywileju lokacyjnego miastu Kazimierz leżącemu za Wisłą płynącą wtedy dzisiejszą ulicą Dietla. Odrębną dzielnicą Stradom stał się dopiero w 1858 roku po przeprowadzonym przez władze austriackie nowym podziale miasta, kiedy to 11 dotychczasowych gmin, zastąpiło osiem nowo utworzonych dzielnic. Podział taki przetrwał do 1954 roku, kiedy to przeprowadzono reformę administracyjną, likwidującą dzielnice katastralne.

Wykonana w styczniową niedzielę 1928 roku fotografia przedstawia fragment ul. Stradomskiej z kościołem Nawrócenia św. Pawła, zwanym zwykle kościołem Mi-

sjonarzy. Jego budowa, prowadzona w latach 1719–1728, możliwa była dzięki szczodrości kilku donatorów z biskupem Michałem Szembekiem na czele. Niestety, los zrządził, że



budowniczy kościoła Kacper Bażanka zmarł w trakcie prac (w 1726 roku), nie ukończywszy swego dzieła (nie wykończono między innymi bocznych fasad i nie dodano przyczółka). Zagadką tamtych lat pozostaje pytanie, dlaczego nie sfinalizowano budowy później, mimo że trwała ona aż do 1748 roku? Według jednej z hipotez zaginąć miały plany, a według innej nie było ich wcale, bo Bażanka sporządzać miał je doraźnie, stosownie do potrzeb.

Mimo tych braków kościół i tak budził podziw szlachetnymi proporcjami i starannością w wystroju wnętrza. Fasadę uzupełniono dopiero w 1960 roku (wedle projektu Wiktora Zina i Stanisława Murczyńskiego), wieńcząc ją trójkątnym przyczółkiem. Ponadto dobudowano pełne, zadaszone attyki nad bocznymi kaplicami. W kompozycji fasady – z półokrągłym, wspartym na wysokich kolumnach kamiennym baldachimem – czytelne są odniesienia do architektury kościołów rzymskich, a zwłaszcza św. Andrzeja na Kwirynale, dzieła Gianlorenza Berniniego.

Osobliwością bogato wyposażonego, jednonawowego wnętrza jest wykorzystanie specyficznej gry światła uzyskane za pomo-

cą rozmieszczonych wewnątrz luster, a także stojące w niszach posągi apostołów. Nawa nakryta jest sklepieniem kolebkowym z lunetami mieszczącymi okna. Nad bocznymi kaplicami biegną empory, a prosto zamknięte prezbiterium zdobi ołtarz z czarnego marmuru dębnickiego z obrazem *Nawrócenie św. Pawła*. Jego autorem był zmarły w Rzymie Tadeusz Kuntze-Konicz, uznawany za najwybitniejszego polskiego malarza XVIII wieku.

Na fotografii, obok wychodzących po mszy wiernych, rzuca się w oczy raczej niespotykany w ostatnich latach widok. Topniejące w ostrym słońcu zwały brudnego, złodzonego śniegu...



Krzysztof Jakubowski – krakus, publicysta, miłośnik i popularyzator historii Krakowa. Autor m.in. dwóch tomów felietonów *Kraków na starych widokówkach* oraz książki o historii krakowskich kawiarni i cukierni *Kawa i ciastko o każdej porze*.

Tyniec. Klejnot

Tekst: Stanisław Dziedzic Zdjęcia: Anna Hardt/„Renowacje i Zabytki”

Bodaj żaden z polskich klasztorów – oczywiście poza jasnogórskim – nie był równie często jak starodawne opactwo benedyktyńskie w podkrakowskim Tyńcu uwieczniany piórami wybitnych poetów i prozaików w literaturze i historiografii. Bodaj żadnemu też nie towarzyszy tyle co tynieckiemu opactwu legend i historycznych hipotez.

Pisali o Tyńcu Jan Długosz, Henryk Sienkiewicz, Józef Ignacy Kraszewski, Stefan Żeromski, Teodor Parnicki, Włodzimierz Tetmajer, Franciszek Wężyk, Karol Bunsch, najlepsi nasi, dawni i współcześni mediewiści, ale i historycy czasów nowożytnych czy zgoła współczesnych.

Tyniec podkrakowski

Wprawdzie od kilkudziesięciu lat miejscowość ta, o specyficznej, tradycyjnej architekturze drewnianej, jest peryferyjną częścią Krakowa, a panujące nad nim topograficznie stare opactwo, wypiętrzone na wiślanym brzegu, przylega do granicy administracyjnej miasta, ale historia uzasadnia takie określenie, dziś już anachroniczne. Położony na prawym brzegu Wisły, od pierwszego rozbioru Rzeczypospolitej był zasadniczo do likwidacji Rzeczypospolitej Krakowskiej (1846) politycznie odcięty od dawnej stolicy, do której ongiś mieszkańcy Tyńca przychodzili pieszo. W II połowie XIX wieku, po inkorporacji Rzeczypospolitej Krakowskiej do habsburskiej Austrii, zwłaszcza zaś po 1867 roku, wraz z nadaniem zaborowi austriackiemu (który Wiedeń nazwał Galicją) autonomii wzrosło niepomniernie oficjalne zainteresowanie polskimi „starożytnościami”, także wtedy, gdy – jak w przypadku tynieckiego opactwa – były one w ruinie.

Jan Długosz opisując to warowne benedyktyńskie opactwo, położone na wyniosłej nadwiślańskiej skale, stwierdzał: „Wzgórze klasztorne jest znakomicie wzmocnione murami, wieżami tudzież innymi środkami obronnymi, a straż tak w dzień, jak i w noc ustawicznie tam pełniła służbę. Piękny to klejnot ojczyzny, a przeciw zasadzkom nieprzyjacielskim silna warownia, starodawne miejsce obronne, na którym nawet w dawniejszych wiekach z powodu wyniosłości wzgórza nigdy nie brakowało twierdzy”.

Wysuwana przez Długosza, rozpowszechniona w jego czasach opinia o Chrobrowskiej genezie pierwszych opactw benedyktyńskich w Polsce i tradycji sprowadzenia

w 1044 roku do Tyńca mnichów benedyktynów przez powracającego do kraju, celem objęcia tronu, królewicza Kazimierza, mnicha z klasztoru w Cluny we Francji, uwolnionego ze ślubów zakonnych przez papieża Benedykta XI, odegrała w historiografii tynieckiego opactwa znaczącą rolę. Z czasem pojawiła się sugestia, że nie książę Kazimierz, ale jego syn, król Bolesław Śmiały był fundatorem opactwa. Były też próby pogodzenia obu tych hipotez: o wcześniejszym pobycie zakonników na Wawelu i osadzeniu ich już przez Bolesława w Tyńcu. Argumenty podawano różne, ale wobec niedostatku bliższych danych pozostaną one trudne do rozstrzygnięcia. Współczesny historyk i zarazem mnich tyniecki, br. prof. Michał Gronowski stwierdza: „Dziś przeważa opinia, że tym, który zapoczątkował tyniecką fundację, był książę Kazimierz Odnoviciel, a inicjatorką była, być może, jego matka, królowa Rychcza. Zapewne dzięki jej pośrednictwu z Kolonii (skąd pochodziła) przybyli do Krakowa pierwsi mnisi. Kolejni władcy – Bolesław Szczodry, królowa Judyta, żona Władysława Hermana, oraz Bolesław Krzywousty – nadali klasztorowi kolejne dobra i przez to stali się jego współfundatorami”.

Zagadki i tajemnice

Nie tylko prehistoria tynieckiego opactwa, kiedyś podobno najważniejszego na ziemiach polskich, kryje wciąż intrygujące tajemnice. Dotyczą one też czasów nowożytnych czy zgoła współczesnych. Wiele zagadek kryją mury benedyktyńskiego kościoła, jego wystroju, odnajdywanych, rozproszonych, zniszczonych przez ząb czasu czy wręcz zarzuconych obiektów, z konsekwencją godną podkreślenia, bo starannie wypracowaną, powracających do pierwotnych dla nich wnętrza bądź miejsc nowych, przewidzianych do ekspozycji.

Wielokrotnie przebudowywany, barokowy dziś kościół klasztorny św. Piotra i Pawła zachował ślady romańskiej i gotyckiej architektury. Bogate ongiś opactwo podupadło







z końcem XVIII wieku w wyniku wojen i grabieży.

Przez wiele stuleci tynieckie wzgórze łączyło funkcje klasztorne wspólnoty benedyktyńskiej z obronnymi. Przylegające od strony północno-zachodniej zabudowania miały charakter zamku broniącego dostępu do stołecznego Krakowa. Zachowane w dobrym stanie dwa budynki, a w nich solidne bramy obronne przed wejściem na dziedziniec przykościelny, z których drugie skrzydło, zwane opatówką, przylegało do budynku starostwa klasztornego, stanowiły część zamkową, reszta zabudowy, znacznie obszerniejsza – klasztor.

Budynek starostwa wzniesiono w XVI wieku w stylu renesansowym, podczas przebudowy opatówki, wzdłuż zachodnich murów obronnych ufortyfikowanego opactwa, na wapiennej skale wypiętrzonej nad Wisłą. W opatówce rezydował wówczas opat, tam też mieszkał klasztorny starosta zarządzający majątkiem opactwa. „Starostwo” zosta-

Przez wiele stuleci tynieckie wzgórze łączyło funkcje klasztorne wspólnoty benedyktyńskiej z obronnymi.

ło zburzone podczas ostrzałów artyleryjskich w okresie konfederacji barskiej i nigdy nie zostało już odbudowane. Konfederaci zamienili opactwo w nowoczesną twierdzę. Walki o Tyniec, rozpoczęte w maju 1771 roku trwały aż do czasu kapitulacji, którą konfederaci podpisali 4 lipca 1772 roku. Wojskami rosyjskimi oblegającymi twierdzę dowodził gen. Aleksander Suworow.

Kasacja i jej następstwa

Opactwo, które po I rozbiorze Rzeczypospolitej (1772) znalazło się w Austrii, było w opłakanym stanie. Benedyktyni zdecydowali się na jego odbudowę, ale dalsze wydarzenia polityczne i wojny pogłębiały dzieło zniszczenia, a w końcu doprowadziły do upadku opactwa, czego wyrazem był dekret cesarza Franciszka I z 8 września 1816 roku o jego kasacji. Tak zakończyła się trwająca ponad 750 lat obecność mnichów benedyktyńskich w tynieckim opactwie. Wielowiekowe dobra kultury, które tam stworzono bądź zgromadzono i z pietyzmem przechowywano, w niemałą mierze rozgrabiono bądź brutalnie zniszczono.

Kilka lat po likwidacji opactwa pojawiła się próba nadania Tyńcowi nowych funkcji kościelnych. Było to dokładnie 200 lat temu. Papież Pius VII, po wcześniejszych uzgodnieniach z Wiedniem erygował diecezję tyniecką, obejmującą cztery cyrkuły Galicji i Lodomerii: bocheński, myślenicki, nowosądecki i tarnowski. Plany powołania nowej diecezji pojawiły się po kongresie wiedeńskim, w 1818 roku, gdy wyodrębniono terytorium

Rzeczypospolitej Krakowskiej i ukształtowały się nowe granice pomiędzy Rosją i Austrią. Były to tereny diecezji krakowskiej i istniejącej w latach 1783–1795 diecezji tarnowskiej, które po kongresie wiedeńskim znajdowały się pod panowaniem austriackim. Diecezja tyniecka (o łącznej powierzchni 14 117 km²) obejmowała 278 parafii skupionych w 18 dekanatach. Na siedzibę biskupią i tym samym stolicę diecezji wybrano gmachy dawnego opactwa benedyktyńskiego, a pobenedyktyński kościół podniesiony został do godności katedry. Biskupem diecezji tynieckiej został Grzegorz Tomasz Ziegler, niemiecki benedyktyn z opactwa w Wiblingen, który wcześniej przez kilka lat przebywał w opactwie tynieckim, gdzie pełnił nawet funkcję przeora, a w latach 1806–1808 był profesorem na Wydziale Teologicznym Uniwersytetu Krakowskiego. 18 sierpnia odbył się ingres Zieglera do tynieckiej katedry. Nazajutrz po uroczystości „Gazeta Krakowska” donosiła: „Świątynia tutejsza, zabytek wspaniałej pobożności króla Kazimierza, sławna z wielolicznych zdarzeń w historii narodu polskiego, dzisiaj na koniec doczekała się dla siebie zmiany, od której nową w swych dziejach zaczyna epokę. JWX. Grzegorz Tomasz Ziegler, biskup tyniecki, dziś bowiem odprawił uroczystą swą introdukcję do nowej katedry”.

Biskup Ziegler stworzył od podstaw diecezję, zorganizował w Tyńcu kapitułę, konsystorz i seminarium w Bochni. Sam, głównie ze względu na peryferyjne, przygraniczne położenie Tyńca w rozległej diecezji rezydował głównie w poddominikańskim klasztorze w Bochni. Gorliwie wizytował parafie i klasztory, był lojalny wobec władz cesarskich, ale zawiedli się na nim ci, którzy łączyli z jego osobą planowaną germanizację tych ziem i Kościoła. Zwalczał też idee józefinizmu. Ziegler dążył do powrotu benedyktynów do Tyńca, a gdy nadzieje w tym względzie zawodziły, postanowił osadzić w Tyńcu innych zakonników. Już bowiem wcześniej podjął zabiegi o znalezienie dla diecezji nowej stolicy, położonej bardziej centralnie, na szlaku komunikacyjnym. W 1826 roku papież Leon XII zatwierdził zmianę nazwy diecezji na tarnowską i siedzibą biskupstwa stał się Tarnów. Do Tarnowa też przewieziono większość zachowanego w Tyńcu księgozbioru, skarbiec kościelny, archiwalia i srebrne antependium ołtarzowe. Do dziś są one ozdobą tarnowskiego Muzeum Diecezjalnego i samej katedry.

W opuszczonym Tyńcu jako pleban pozostał ostatni benedyktyn na tym stanowisku ks. Jakub Łabowski. Sam bp Ziegler w nowej siedzibie biskupiej w Tarnowie posługę pełnił niedługo, bo zaledwie rok, po czym na własną prośbę objął biskupstwo w Linzu w Górnej Austrii.

Paweł Szczaniecki, tyniecki benedyktyn, podnosił jego zalety i zasługi dla Tyńca, stwierdzając: „Zaciążyło na nim obce pocho-

dzenie. Starał się to wynagrodzić swoją gorliwością duszpasterską. Do Krakowa, Tyńca i do tynieckiej diecezji wniósł gorliwość i znakomitą doktrynę teologiczną. W jego bogatej działalności literackiej, obok pism dogmatycznych i biblijnych wyróżniają się listy pasterskie, wśród nich te, które ogłosił i wydrukował jako biskup tyniecki. (...) Ziegler przez wiele lat był profesorem historii Kościoła i teologii. Wywarło to głęboki wpływ na jego duszpasterstwo i starał się dać swemu klerowi mocne podstawy dogmatyczne”.

Kiedy biskupowi Ziglerowi nie udało się osadzić w Tyńcu benedyktynów, wyraził zgodę na objęcie pomieszczeń klasztornych przez jezuitów. Prowincjał jezuitów podjął dzieło odnowy pobenedyktyńskich gmachów, w których obok klasztoru tworzyli oni dom rekolekcyjny dla księży oraz studium teologii. Klasztorny kościół pełnił funkcję świątyni parafialnej. Straszliwa burza z 2 na 3 maja 1831 roku i gwałtowny pożar od pioruna zniszczyły dachy i domostwa klasztorne. Tynieckie starodawne gmachy przedstawiały odtąd rozpaczliwy widok przez całe następne stulecie. Jezuita opuścili Tyniec, w którego murach, mimo zniszczenia dachów i hełmów wież, zasadniczo ocalało wnętrze kościoła. I tylko ten kościół – do niedawna katedra, zaświadczał przez ponad wiek resztkami ocalałych sprzętów dawnego wystroju o niegdysiejszej świetności miejsca. Z każdym dziesięcioleciem widok tynieckich ruin był coraz bardziej posępny.

Stefan Żeromski po obejrzeniu Tyńca napisał: „Gruzy Tyńca zadumane, prastare, a na stokroć starszych wzniesione popiołach, dla dzisiejszych ludzi niepojęte gruzy, co się stały tak niezłomnymi, iż czas, nędza i zapomnienie już ich bardziej zniweczyć nie mogą. Dziurami okien, jak ślepe oczy (...) patrzą w otchłan zamarłych czasów, niedocieczoną dla nikogo na ziemi, w zdarzenia, z których pozostał taki jedynie ślad, jak ślad jastrzębia, który w powietrzu przepłynął, śniady na ziemię rzucił cień rozpostartych skrzydeł i odleciał (...)”.

Wiek XX

Na początku XX wieku biskup krakowski, kardynał Jan Puzyna wszczął starania u władz wiedeńskich o zwrot ruin starodawnego opactwa z resztką dawnych dóbr. W 1903 roku Austriacy oddali Kościołowi krakowskiemu folwark zakonny i pozostałości opactwa, w którym zamierzono stworzyć w przyszłości dom wakacyjny dla kleryków.

Po odzyskaniu przez Polskę niepodległości powracano do idei powrotu benedyktynów do Tyńca. Gorącym rzecznikiem tej idei był metropolita krakowski abp Adam Stefan Sapieha. Tyniec swoją odnowę zawdzięcza belgijskiemu opactwu św. Andrzeja w Zevenkerken. W tworzeniu wspólnoty tynieckiej

szczególną rolę odegrał o. Karol van Oost, w przyszłości pierwszy przeor odnowionego klasztoru.

29 maja 1939 roku Tyniec został oddany benedyktynom, a oficjalny powrót grupki mnichów i przejęcie zrujnowanego klasztoru odbyło się 30 lipca, miesiąc przed wybuchem wojny światowej.

W 1947 roku przystąpili benedyktyni do odbudowy klasztoru, która trwała do pierwszych lat XXI wieku. Ostatnim etapem prac w tym względzie, przy ogromnym wsparciu finansowym Narodowego Funduszu Rewaloryzacji Zabytków Krakowa, była odbudowa południowego skrzydła dawnej biblioteki – tak zwanej wielkiej ruiny, a następnie adaptacja tych wnętrz, ukończona w latach 2007–2008.

Tyniec zaznaczył swoje miejsce w Kościele i kraju wieloma cennymi inicjatywami, związanymi między innymi z posoborową liturgią (tu opracowano między innymi posoborowy

Dokładnie 200 lat temu papież Pius VII erygował diecezję tyniecką, obejmującą cztery cyrkuły Galicji i Lodomerii: bocheński, myślenicki, nowosądecki i tarnowski. Plany powołania nowej diecezji pojawiły się po kongresie wiedeńskim, gdy ukształtowały się nowe granice pomiędzy Rosją i Austrią. Na siedzibę biskupią wybrano gmachy dawnego opactwa benedyktyńskiego, a pobenedyktyński kościół podniesiony został do godności katedry.

Mszal Rzymski i pozostałe księgi liturgiczne), tynieccy benedyktyni zainicjowali przekład Biblii z języków oryginalnych na polski (tak zwanej Biblii Tysiąclecia) i uczestniczyli w tym dziele. Nie zaniechano badań nad dziejami polskich benedyktynów i samego Tyńca.

Cieszą inicjatywy zmierzające do odsłonięcia i przywrócenia do dawnej świetności zagubionych, mocno zniszczonych obiektów wysokiej, a często nadzwyczajnej rangi artystycznej czy historycznej, odkrywanych i z pietyzmem odnawianych, opartych na solidnie przygotowanych programach strategicznych. Wystarczy wejść do klasztornego kościoła, obejrzeć romańskie podziemia (w których być może złożono jeszcze w XI wieku, przywiezione z dalekiego Osjaku w Karyntii, szczątki króla Bolesława Śmiałego) czy gotyckie krużganki z romańskimi pozostałościami, by utwierdzić się w przekonaniu, że tyniecki klasztor (od 1969 roku ponownie w randze opactwa) na mapie Krakowa i Polski ma szczególne miejsce.

Kiedy latem 1939 roku benedyktyni powrócili do Tyńca, podjęli prace nad adaptacją kościoła do potrzeb monastycznej liturgii, wspólnych modlitw chórowych w stallach, których było kiedyś siedem w ciągu dnia. Obecnie wspólna jutrznia i nieszpory, ale także modlitwa południowa i wieńcząca dzień kompleta wypełniają wspólny modlitewny kalendarz codzienny mnichów.

Już w okresie wojny mnisi usunęli z wnętrza kościoła wiele elementów wystroju, które uznawali za zbędne i stanowiące jakieś odstępstwo od ducha surowego monastycyzmu benedyktyńskiego. Zdjęto choćby barokową glorię z wielkiego ołtarza, stallę opacką, wazony i kartusze wieńczące stalle, krzyż z łuku tęczowego czy osadzone nad stallami organy opata Lubomirskiego, pięknej barokowej roboty. Podobne korekty w odniesieniu do barokowych figur i innych elementów ozdobnych przeprowadzono w kaplicach. Z ołtarza głównego usunięto chociażby tabernakulum z barokowym tronem eucharystycznym i przeniesiono cyborium do tak zwanej kaplicy Ciemnej.

Po wojnie przechowywano te rzeźby, obrazy czy inne historyczne elementy wystroju w różnych pomieszczeniach klasztoru i na strychach. Nie zadbane, niestety, o pożądaną w takich przypadkach dokumentację.

Arcydzieła

W ostatnich latach prowadzone równoległe z zabiegami konserwatorskimi kwerendy i prace inwentaryzatorskie przynoszą zaskakujące odkrycia. Do najważniejszych należy odnaleziony, a od kilkudziesięciu lat uznawany za zaginiony, obraz Matki Bożej Śnieżnej z kaplicy Ciemnej, który od XVII wieku był otoczony kultem jako cudowny. Najpewniej na początku XIX wieku zdjęto z obrazu ozdobną, bogato zdobioną sukienkę, co prawdopodobnie związane było z wyprzedaniem cennych przedmiotów wobec konieczności zapłacenia kolejnych kontrybucji podczas wojen. Panoowało przeświadczenie, że po kasacie opactwa kult wygaś, a sam obraz był wywieziony do Tarnowa przez jezuitów opuszczających w 1831 roku Tyniec do Staniątek albo też został zniszczony. Tymczasem огоłocony z kosztownych sukienek obraz prawdopodobnie pozostał w kaplicy Ciemnej (jest tu odnotowany w 1835 roku), był później odnawiany. Gdy uległ dużemu zniszczeniu, został całkowicie przemalowany w 1918 roku. W 1940 roku, gdy zmieniano funkcję kaplicy Ciemnej, obraz jako współczesny przenoszono w różne miejsca. Dopiero wnikliwe badania i kwerendy przeprowadzone po 2016 roku, a w konsekwencji sondażowe odkrywki pozwoliły na ustalenie tożsamości otoczonego kiedyś kultem obrazu Matki Bożej Śnieżnej, o którym w 1647 roku pisał Hiacynt Pruszczyński w *Klejnotach miasta Krakowa*. Obraz poddano gruntownej konserwacji, tak że odsłonił historyczną fakturę, ozdobiono go nowymi,

starannie wykonanymi srebrnymi sukienkami – i umieszczono w dawnym miejscu – kaplicy Ciemnej.

Do osobliwości przywróconych w nawie głównej kościoła należy efektowna, wykonana przed 1765 roku ambona w kształcie łodzi, polichromowana, bogato złożona. Jej autorstwo przypisywane jest Franzowi Josefowi Mangoldowi.

„Tyniecka ambona – stwierdza Michał Gronowski – wyróżnia się stosunkowo rzadko spotykanym przedstawieniem łodzi od strony dziobu. Całość została ozdobiona siecią, na dole z rzeźbionej fali wynurzają się głowy fantastycznych ryb – potworów morskich. Obok łodzi widać postać kobiety, która jest personifikacją cnót teologicznych: Wiary, Nadziei i Miłości. (...) Zwieńczona baldachimem ambona jest symbolem niebiańskiego triumfu (...)”.

Ambona, podobnie jak część barokowej dekoracji, została ze względu na zły stan techniczny zdemontowana w 1965 roku. Po przeprowadzonej gruntownej konserwacji – mimo zgłaszanych przez niektórych zakonników wątpliwości – wróciła na dawne miejsce i zachwyca klasą sztuki snycerskiej.

Niewiele przemawia natomiast za tym, by mogły powrócić na dawne miejsce ufundowane przez opata Józefa Lubomirskiego organy, umieszczone na pięknym, bogato zdobionym, drewnianym balkonie, powyżej stalli, na południowej ścianie prezbiterium. Lokalizacja tych organów wskazuje, że miały one towarzyszyć śpiewanej przez zakonników liturgii. Istnieją fotografie ilustrujące ich wygląd i miejsce posadowienia, ale niewiele zachowało się detali, by można było spodziewać się ich rekonstrukcji.

*

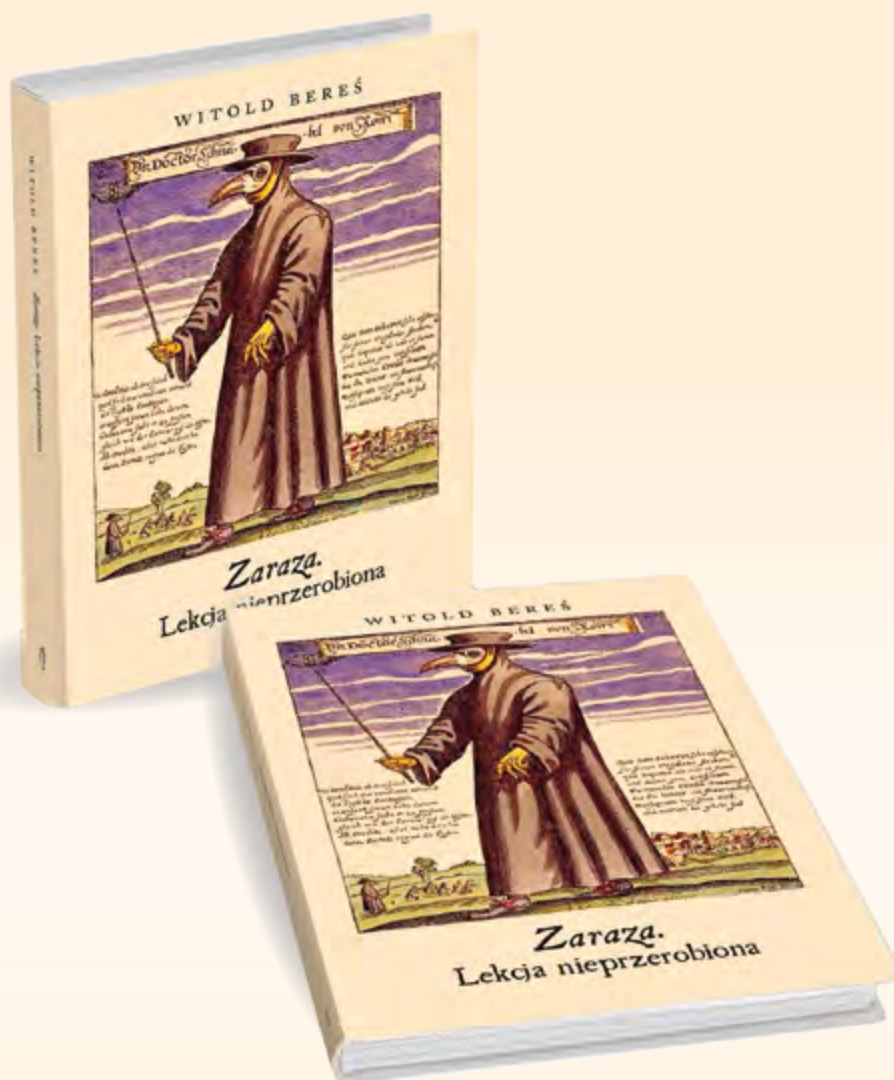
Kościół tyniecki pięknieje. Warto tam bywać. Historyczne walory miejsca podnosi fakt, że w odbudowanych pomieszczeniach Wielkiej Ruiny można skorzystać z noclegu. To piękne i starodawne miejsce. W istocie – klejnot.



Stanisław Dziedzic (ur. w 1953, w Dąbrowie) – doktor nauk humanistycznych, historyk literatury, publicysta, nauczyciel akademicki, absolwent filologii polskiej i dziennikarstwa UJ oraz zarządzania na Akademii Ekonomicznej. Przez

wiele lat był szefem wydziału kultury w Urzędzie Miasta Krakowa. Autor kilkudziesięciu książek, głównie powiązanych z krakowską i małopolską kulturą, w tym m.in. książek o Teatrze 38 (wspólnie z Tadeuszem Skoczkiem – ostatnie wydanie 2018) i Klubie Pod Jaszczurami (1980), *Miasto lutni podobne*. *Bramy i baszty Krakowa*, Kraków 1996 (współautor: Maria Rydlowa); *Ojczyzna myśli mojej*. *Studia i szkice literackie* (1999), *Ojciec Serafin Kaszuba* (2009 – współautor: Małgorzata Dziedzic); „Złote więzienie” *Stanisława Augusta* (Sankt Petersburg 2009), *Portrety Niepospolitych* (2013), *Archipelag pięknych ludzi* (2017). Dziś jest szefem Biblioteki Kraków i wydawcą naszego miesięcznika.

„Każdy nosi w sobie dżumę, nikt bowiem nie jest od niej wolny”
– Albert Camus **Dżuma**



Co takiego zdarzyło się w pewnej austerii w czasach pandemii i kwarantanny?
- albo o literaturze, historii i niechęci do wyciągania nauk ze złego losu

NOWA KSIĄŻKA WITOLDA BERESIA

JUŻ DO KUPIENIA NA WWW.AUSTERIA.PL



ZAIKS



MIESIĘCZNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY
KRAKÓW

Od redakcji:

Odszedł piętnaście lat temu, 27 marca 2006 roku. Urodził się sto lat (prawie) temu – 12 września 1921 roku we Lwowie.



Wielki pisarz, a nawet rzecz można – filozof. Był z Krakowem związany najmocniej, jak sobie można wyobrazić – tu mieszkał, tworzył, tu bywał wśród przyjaciół – między innymi z „Tygodnika Powszechnego”.

Nic dziwnego, że dziś mówi się o Lemie, i to sporo: decyzją Sejmu RP ustanowiony został Rok Lema, a miasto Kraków (zwłaszcza Krakowskie Biuro Festiwalowe i powiązany z nim program „Kraków – Miasto Literatury UNESCO”) już w zeszłym roku przeprowadziły genialny projekt *Dzisiaj jest jutro: 99. urodziny Stanisława Lema*. Że niby setne urodziny Lema należy obchodzić wcześniej, bo taki jest sens – wyprzedzający – jego pisarstwa (swoją drogą – małe Nobel temu, kto wpadł na ten pomysł i nadał imprezie ów tytuł).

Niestety, szaleństwo pandemii sprawę skomplikowało, choć kilka imprez i spektakli, zwykle w formule *online*, się odbyło (choćby w Teatrze Groteska, Teatrze Łaźnia Nowa i Teatrze Ludowym).

W tym roku ma być bardziej bogato. Już w lutym premierę miał film *Pokój* na podstawie opowiadania *Podróż VII z Dzienników*

gwiazdowych – do zobaczenia platformie VOD PlayKraków.

Będzie nowa książka o Lemie Wojciecha Orlińskiego – tym razem o perypetiach pisarza w PRL, będzie Lema nowa biografia (po tej Orlińskiego) – tym razem autorstwa Agnieszki Gajewskiej, Wydawnictwo Literackie nadal rocznicowo wznawia jego książki, Narodowe Centrum Kultury, Instytut Literatury oraz Instytut Adama Mickiewicza też szykują publikacje – w tym *Kalendarz Lemowski 2094* (tak właśnie!) Marka Oramusa. W Krakowie trwa konkurs na opowiadanie i komiks inspirowane twórczością pisarza oraz konkurs na znajomość *Niezwykłego* (organizatorem jest krakowski Ogród Doświadczeń im. Stanisława Lema). Ruszyły prace nad grą komputerową na motywach *Niezwykłego*. Twórca będzie też bohaterem licznych krakowskich wydarzeń: Festiwalu Literatury dla Dzieci, Festiwalu Sacrum Profanum, spektakli teatralnych, konferencji, koncertów. W obchody włączą się uczelnie, szkoły, instytucje kultury i nauki.

Miesięcznik „Kraków” też żyje Lemem – przez cały rok podróżujemy do Obłoku Lema.

Lem w kilku odsłonach

Tekst: Paweł Stachnik Zdjęcie: Grzegorz Kozakiewicz

Skłamałbym, gdybym powiedział, że książki Stanisława Lema towarzyszyły mi zawsze. Owszem, w szkole podstawowej kazano nam czytać przygody Klapaucjusza i Trurla oraz jakieś urywki *Bajek robotów*, ale była to dla mnie – siedzącego jedną nogą w Bahdaju, a drugą w Niziurskim – zdecydowanie zbyt wy rafinowana lektura. Z trudem przebrnąłem tylko przez *Pamiętnik znaleziony w wannie*, który – choć chwilami ciekawy – uznałem za dziwny i przegadany.

Dopiero szkoła średnia przyniosła prawdziwe odkrycie twórczości Lema. *Eden*, *Niezwykczony*, *Solaris*, *Opowieści o pilocie Pirxie*, *Dzienniki gwiazdowe* pokazały mi, czym może być literatura *science fiction*. Ta prawdziwa *hard science fiction*, oparta na nauce i prawdopodobieństwach jej rozwoju, a nie wyłącznie na nieokiełznanej wyobraźni autora. Lem opisując podróże kosmiczne, eksplorację innych planet, próby kontaktu z Obcymi, przemyślał w książkach coś więcej niż tylko błądą przygodę. Zawierał w nich pytania o sens istnienia ludzi w kosmosie (po co, skoro i tak nie da się nawiązać inteligentnego kontaktu?), o przyszłość relacji człowiek-maszyna (czy roboty zaczną ewoluować i zagrożą ludziom?), o obecność lub nie istoty wyższej (pytanie ważne, bo zadane przez ateistę). A wszystko to podane w świetnej literackiej formie, o które inni twórcy krajowej SF mogli tylko pomarzyć. Te dzieła Lema pokazywały też, że literatura fantastyczna nie musi być banalna i infantylna, a tym przecież grzeszyła większość zagranicznej i spora część polskiej produkcji tego gatunku.

Trzecim moim odkryciem dorobku Lema były jego książki filozoficzno-eseistyczne. *Doskonała próżnia*, *Wielkość urojona*, *Summa technologiae*, *Fantastyka i futurologia* pokazywały go jako myśliciela potrafiącego spojrzeć dalej i głębiej niż niejeden z wybitnych naukowców i wizjonerów. I tak właśnie Lem chciał być zapamiętany w historii – jako filozof i futurolog, a nie jako twórca powieści o lotach w kosmos.

Jak widać, moje dojrzewanie do Lema pokrywało się z jego pisarską drogą. Zaczynał wszak od optymistycznych powieści eksplo-racyjnych (*Astronauta*!), by stopniowo, z latami, przechodzić do tekstów coraz poważniejszych, coraz lepszych formalnie i treściowo, i coraz bardziej pesymistycznych.

Nie miałem okazji spotkać go osobiście. Uczestniczyłem w krakowskim ruchu miłośników fantastyki, relacjonowałem na łamach „Dziennika Polskiego” tutejsze kon-

wenty SF (Imladris, Krakon, Conquest), opisywałem ogólnopolski zjazd miłośników fantastyki Polcon w Krakowie w 2002 roku, ale na żadnym z nich Lem mimo zaproszeń nigdy się nie pojawił (na Polconie niespodziewanie odmówił obiecanego wcześniej i wpisanego do programu telewizyjnego wywiadu...). Unikał takich imprez, lekceważył środowisko, od pewnego momentu odcinał się w ogóle od fantastyki. Szansą zobaczenia Mistrza na żywo – a być może nawet porozmawiania z nim – miały stać się obchody jego 80. urodzin zaplanowane w Krakowie na 11 września 2001 roku w eleganckim biurowcu przy ul. Lubicz. No właśnie, 11 września 2001... W okolicach godz. 16 do redakcji dotarła wiadomość, że jakiś samolot uderzył w wieżowiec w Nowym Jorku. Potem agencje podały informację o drugim samolocie, a w naszej redakcji przy Wielopolu rozpięta się szaleństwo. O wyjściu na urodziny Lema należało zapomnieć. Później dowiedziałem się, że uroczystość ze względu na okoliczności i tak przerwano.

Lema więc osobiście nie poznałem. Poznałem za to ludzi, którzy go znali i których cenił (co nie było częste) – prof. Jerzego Jarzębskiego i Marka Oramusa. Poznałem go zresztą cały czas, wracając do jego książek.

A rozpoczęty właśnie Rok Lema to świetny pretekst, by tę znajomość jeszcze pogłębić.

Czytajcie Lema i o Lemie!



Paweł Stachnik – dziennikarz i redaktor, absolwent UJ, autor artykułów historycznych zamieszczanych w „Dzienniku Polskim”, „Gazecie Krakowskiej”, „Sowińcu” i innych tytułach, miłośnik Krakowa, fantastyki i dobrego piwa.



Nie upilnuje mnie nikt.

Portret Zuzanny Ginczanki

Tekst: Marta Gruszecka Ilustracje: za wiedzą i zgodą Wydawnictwa Marginesy

W dzieciństwie lubiła przebierać się za anioła. Gdy z dziewczynki wyrosła na kobietę, już nie musiała. Wszyscy, łącznie z Julianem Tuwimem i Witoldem Gombrowiczem, padali do jej stóp. Kto wie, jaki sukces odniosłaby Zuzanna Ginczanka, gdyby Zagłada nagle nie odebrała jej życia.

Dwadzieścia siedem. Tyle lat miała młoda poetka, kiedy esesman strzelił jej w tył głowy. Dla niego, który bezrefleksyjnie pozbawiał ludzi życia, była po prostu jedną z wielu ofiar. Dla rodziny i przyjaciół Zuzanny z przedwojennej Warszawy – jedyną. Jej życie dobiegło końca 5 maja 1944 roku w obozie koncentracyjnym Kraków Płaszów. Zaczęło się 22 marca (według kalendarza gregoriańskiego) w Kijowie, gdzie Zuzanna Polina Gincburg przyszła na świat jako córka Cecylii i Szymona Gincburgów. Jej rodzice, zasymilowani rosyjscy Żydzi, już kilka miesięcy po narodzinach dziewczynki przenieśli się do Równa Wołyńskiego, gdzie zamieszkali w okazałym budynku przy ulicy 3 Maja 132. Dom należał do dziadków Zuzanny od strony matki, Chai i Abrama Sandbergów. Starsi państwo prowadzili tutaj aptekę, lecz tak naprawdę sprzedawali wszystkiego po trochu. U filantropów (bo oboje wspierali fundacje i stowarzyszenia, między innymi Żydowski Dom Akademicki we Lwowie) można było kupić zabawki, kosmetyki, nasiona, a nawet bilety do teatru i kina. „Sanka” – tak pieczołotliwie zwracali się do małej Zuzanny dziadkowie.

Szymon, ojciec Zuzanny, nie pomieszkiał z rodziną zbyt długo. W 1921 roku zamarzył o karierze aktorskiej i wyjechał do Niemiec, a potem do Ameryki. Matka też szybko opuściła Zuzannę. Cecylia, po odejściu Szymona, ponownie wyszła za mąż – wybrankiem został Walter Roth, piwowar z Czech, młodszy od żony o kilka lat. Zazdrosna o córkę matka postanowiła czym prędzej wyjechać z uko-

chanym do Hiszpanii, gdzie ten miał dostać pracę. Cecylia i Zuzanna nie zobaczyły się nigdy więcej.

Wcześniej, kiedy Sanka była kilkuletnią dziewczynką, matka bardzo ją kochała. Cecylia chwaliła się, że jej córka pisze wierszyki, potrafi pięknie rysować i grać na pianinie. Jeśli wierzyć wspomnieniom matki, pierwsze rymowanki układała już w wieku czterech lat, a jako ośmiolatka napisała prawdziwą balladę. Zdolną Sankę przyjęło Gimnazjum Państwowe im. Tadeusza Kościuszki w Równie. 13-letnia uczennica pisze wiersz *Pieśń nad Pieśniami* i wysyła go do znanego w Poznaniu pisarza i redaktora Romana Tadeusza Wilkanowicza z prośbą o ocenę. Jest zachwycony.

Mam bzika na punkcie poezji

Młoda dama idzie za ciosem – 1 lutego 1931 roku w liście do redakcji „Ech Szkolnych” zatytułowanym *W obronie poetów* i podpisanym jako Sonny Girl wytyka młodym dziennikarzom i czytelnikom kompletny brak zainteresowania poezją. „Mam takiego bzika, co do pisania wierszy zmusza” – zapewnia nastolatka i pisze dalej. Na przełomie roku szkolnego 1931/1932 Gincburgówna prezentuje w szkole kolejny wiersz – *Ucztę wakacyjną*.

Dlaczego Sanka uciekała w poezję? Jak wspominał jej starszy, poznany jeszcze w Równem kolega Jan Śpiewak, „sztuka dla Ginczanki, w tym pierwszym okresie, zapewne była formą zabawy, chęcią popisu wobec szkoły, a więc też formą snobizmu i samoobrony wobec środowiska otaczających ją ludzi, jakże często ośliszłych. Zbyt dużo wiedzia-

Głosowanie na PORTRETY 2020

W drugiej edycji organizowanego przez miesięcznik „Kraków” konkursu PORTRETY na najlepsze dzieło biograficzne roku rywalizują książki, filmy, spektakle, audycje radiowe i programy telewizyjne prezentujące ciekawe osoby, środowiska, zjawiska i miejsca

Wybrana przez jurorów (z ponad 100 propozycji, które znalazły się w finale!) Złota Dwudziestka walczy o Nagrodę Czytelników, którzy mogą oddawać swoje głosy za pośrednictwem strony miesiecz-

nik.krakow.pl do 15 marca. Każdy głosujący weźmie udział w losowaniu książek finalistów.

W tym numerze prezentujemy autorów dzieł, które do swojej Wielkiej Trójki wytypowało jury – co jednak nie jest żadną sugestią dla głosujących na Nagrodę Czytelników miesięcznika „Kraków”, ta bowiem pozostaje w pełni autonomiczna!

Konkurs współtworzą Biblioteka Kraków, Fundacja Świat ma Sens, Kraków Miasto Literatury UNESCO oraz Consultronix.

ła o swoim otoczeniu, zapewne od dzieciństwa była mimowolnym świadkiem wielu spraw nieprzeznaczonych dla oczu młodej dziewczyny. Tylko sztuka mogła ją od tego życia uchronić, przynieść inne uczucia, inne przygody. Przy tej niecodziennej i posażnej dziewczynie niejeden bufon próbował udawać bywalca, obytego w wielkim świecie". Sam Śpiewak miał podobne zamiary – kiedy dowiedział się od matki, że nastoletnia córka jej znajomych pisze wiersze, postanowił, już jako student polonistyki we Lwowie, połechtąć swoje ego i zaimponować dziewczynie znajomością poezji. Z pierwszego spotkania z Sanką wyszedł rozdygotany. „Wróciłem do domu z rozdwojonym uczuciem. Czułem, że zbłądziłem się: nie ona, ale ja byłem sztubakiem. Dziewczyna wtłoczona w meble górowała nade mną innością swego charakteru”.

Babą mnie okrzyknij!

Poważny debiut Zuzanny Ginczanki – bo tak poleciła mówić o sobie młoda poetka – miał miejsce w 1933 roku na łamach „Kurier Literacko-Naukowy”. Wiersz *Żywność sierpniowa* zdumiewał odwagą. Dziewczyna opisała w nim kobiecą biologię i powinowactwo kobiet z Matką Ziemią. Kiedy rok później w „Wiadomościach Literackich” pojawiło się ogłoszenie o Turnieju Młodych Poetów, Ginczanka nie wahała się ani chwili. Wysłała swoje wiersze wprost pod lupę Juliana Tuwima.

Wyniki konkursu przyszedł 8 lipca 1934 roku. „Wyrośnięcie większością głosów” zdobył wiersz *Gramatyka* podpisany pseudonimem „Sana”. Można nieśmiało wnioskować, że wśród szanowanych jurorów byli miłośnicy kotów.

Przymiotniki przeciągają się jak koty
i jak koty są stworzone do pieszczot –
miękkie koty ciepłe i potulne
mrućki tkliwość andante i maesto –
miękkie koty mają w oczach jeziora
i ziel-topiel wodorostną na dnie;
słodko patrzeć przymiotnikom w źrenice kocie
tajemnicze, najcichsze i zdrańcze.

Laur dodaje młodej poetce jeszcze większej pewności siebie. Pod płaszczykiem łebkiego doboru słów i niezwykle zgrabnej stylistyki Ginczanka przemycza własne emocje, obserwacje i doświadczenia. Mówi o samotności, wczesnej utracie prawdziwego domu, często narzeka na niezrozumienie, z drugiej zaś strony wiele miejsca poświęca naturze i biologii. Bycie kobietą ją fascynuje – to kobietę stawia w centrum swojego poetyckiego świata, pisze o seksualności, kontakcie kobiecego ciała z ciałem mężczyzny czy powołaniu o macierzyństwa. Trafnie zauważa też, że kobiecość ma wiele narzuconych z zewnątrz ograniczeń. Nie godzi się na to, chce czuć się wyzwolona. „A teraz odwróć oczy i mnie babą okrzyknij” – puentuje w wierszu *Kobieta*, czym podkreśla swój sprzeciw wobec stereotypów.

(Z) łamane serca

Kobiecość Ginczanki będzie tematem niejednej męskiej rozmowy. Ale zanim Sanka stała się łamaczką serc, sama przeżyła nieszcześliwą miłość. Jej pierw-

szym poważnym zauroczeniem był starszy o kilka lat poeta Tadeusz Błazejowski. Nastolatka wzdychała do jego niebieskich oczu, wyczekiwała spojrzeń, gestów i spotkań, a owe małe tęsknoty skrupulatnie spisywała w wierszach. Błazejowski nie podzielał gorącego uczucia nastolatki i wyjechał do Lwowa, by studiować architekturę. Sanka uznała to za zdradę i porównała do sytuacji z dzieciństwa, kiedy dla innego miasta porzucił ją ojciec.

U jej boku szybko pojawiali się kolejni mężczyźni – najpierw Izaak Paweł Gasko, kolega Błazejowskiego, potem Antoni Knoll, z którym Ginczanka знаła się jeszcze z Równego, aż wreszcie Józef Łobodowski, który w jej rodzinnej miejscowości odbywał służbę wojskową. Wszyscy byli poetami starszymi od Sanki o kilka lat. „Szybko stała się znana i popularna w całej literacko-artystycznej Warszawie. Miała ogromne powodzenie. Nic dziwnego. Wspaniały tors, biodra godne dłuta starogreckiego rzeźbiarza, świetne nogi. Do tego przedziwne oczy, mieniące się jak morska woda na słońcu, sensualny wykrój ust, ciężki węzeł kruczych włosów na karku. Nie mogła się nie podobać” – wspominał Łobodowski. Choć między dwójkiem poetów pojawiło się uczucie, nie było im dane cieszyć się nim długo. Jedno źródło mówi, że ich szczęściu sprzeciwiły się rodziny młodych, inne, że Łobodowski nagle porzucił Sankę dla panny z Lublina. Pewne jest natomiast, że młoda poetka nie miała już czego szukać w krainie swojego dzieciństwa. W 1935 roku, tuż po świetnie zdanej maturze, wyjechała do Warszawy.

Jeden ze sterców ze Skamandra

Tutaj, pod cichą opieką Juliana Tuwima, który sam zabiegał o przeprowadzkę młodej poetki do stolicy, Ginczanka zaczyna nowy rozdział życia. „Co do niej, nie ma żadnych wątpliwości” – miał powiedzieć Antoni Słonimski na wieść, że środowisko literackie międzywojennej Warszawy zasilił taki talent. Józef Łobodowski, z którym Zuzanna utrzymywała jeszcze wtedy sporadyczne kontakty, wspominał później: „Po przyjeździe do Warszawy nie musiała szukać dróg, by dostać się do »Wiadomości Literackich« i odnowionego na wiosnę 1935 roku »Skamandra«. Protekcja Tuwima w zupełności wystarczała. Dla Grydzewskiego (redaktor obu pism – przyp. MG) każde słowo autora *Biblii cygańskiej* było święte. Skoro Ginczanka znalazła się pod protekcją Tuwima, już miała drzwi do redakcji przy ulicy Złotej szeroko otwarte”.

Wiersze Ginczanki od razu trafiają na łamy „Skamandra” i „Wiadomości Literackich”. Zachłyśnięta stolicą młoda poetka równocześnie pisze i szuka swojego miejsca w Warszawie. Przeprowadza się trzykrotnie – z pokoju ciotki na Chmielnej 56 na stancję przy Królewskiej 29, a potem do pokoju przy Szpitalnej 5/15. Nie rusza się poza centrum – zapewne dlatego że w pobliżu znajdują się redakcje współpracujących z nią pism oraz jej ulubione kawiarnie literackie. Mała Ziemiańska, Adria czy Zodiak – to tutaj kwitnie życie warszawskiej bohemy i, ku wielkiej uciechę Ginczanki, toczą się rozmowy o poezji. O jej poezji, na temat której wcześniej nie miała z kim dyskutować. Dużo starsi poeci imponują dziewczynie z Równego, łechcąc jej twórcze ego, ale



Ginczanka ze swoim partnerem, malarzem Januszem Woźniakowskim

też nierzadko serwują szowinistyczne żarty. „Czy pani jest kochanką Tuwima?” – zapytał któregoś razu jeden z gości Małej Ziemiańskiej. Ginczanka spokojnie, z typowym dla siebie dystansem, odparła: „Za wysokie progi na moje nogi”. Z Tuwimem łączyła ją ojcowska relacja. W środowisku krążyła anegdota, jakoby skamandryta każdą rozmowę telefoniczną z nią zaczynał od: „Zuzanna? Tu jeden ze starców”. Zależność Zuzanny od Tuwima polegała raczej na umiłowaniu słowa poetyckiego, podkreśleniu wagi każdego wyrazu, a czasami nawet igraszkach słownych. Mistrz i uczennica wielokrotnie czubili się na łamach „Wiadomości Literackich”, „Skamandra” czy „Szpilek”, lecz nigdy nie były to przesadne żłośliwości.

Na „ty” z Gombrowiczem

Zuzanna miała u boku jeszcze jednego wielkiego mistrza słowa. Gina, bo tak nazwał poetkę Witold Gombrowicz, poznała twórcę *Ferdydurke* w kawiarni Zodiak. Niepokorny pisarz od razu przeszedł z nią na „ty”, co było z jego strony nadzwyczajną uprzejmością. Potem pozwalał sobie jednak na szowinizm. „Traktował ją jak kogoś, na kim »mógł się wyżywać w specyficzny sposób« – a wszystko dla żartu – wykręcał jej ręce, ciągnął za włosy. Pamiętam, że kiedyś, gdy wychodziliśmy z Zodiaku, włożył jej głowę do kubła na śmieci. Ale bardzo ją lubił...” – wspominała w 1989 roku w rozmowie z Izoldą Kiec, autorką

książki *Ginczanka. Nie upilnuje mnie nikt*, Ewa Otwinowska, bywalczyni Zodiaka.

Satyry Saneczki

W 1936 roku, niecałe dwanaście miesięcy po przyjeździe do Warszawy, ukazał się debiutancki tomik Ginczanki *O centaurach*. Pierwszy, i jak okaże się kilka lat później, jedyny zbiór wierszy jej autorstwa. O ile koledzy z Ziemiańskiej są z niej dumni, o tyle recenzje Zuzannie nie schlebiają. „Świetnie pod względem dialektycznym rozbudowane wiersze nie potrafią w ostatecznym obrachunku jednorodnie ucieleśnić pulsującej wizji, nie umieją jej w tyglach na tyle przetopić, aby zabłysła przed naszymi oczami jednoznaczna i gładka, jak stal lub szkło, że się kruszą, załamują i potykają, spętane – iż brak im, słowem, usprawiedliwiającego lotnego jak płomień czysty, żywiołu poezji. Tak czy owak, godny pamięci, niepospolity debiut” – pisze *O centaurach* Stefan Napierski w „Czasie”.

Reakcją Ginczanki na krytykę była twórczość... satyryczna. Nowe formy literackie były też zapewne wynikiem znajomości z satyrykiem Andrzejem Nowickim, którego Zuzanna poznała w kawiarni Zodiak. Para bywała razem na salonach, prowadziła zaciekle dyskusje o literaturze, nagrywała wspólne słuchowiska. „Saneczko” – czule zwraca się do Ginczanki absztyfikant. To kolejna znajomość, która mimo dużego potencjału szybko się urwała.



Aleksander Rafałowski, *Portret Zuzanny*, 1937, olej – zbioru Muzeum Narodowego w Warszawie, domena publiczna

Donos na Żydówkę

Wybuch II wojny światowej zastaje Ginczankę w Warszawie, tuż po wakacjach w Równem u ukochanej babci. Utalentowana młoda poetka, przed którą świat właśnie otwierał najpiękniejsze zakamarki, nagle zostaje sprowadzona do Żydówki, kobiety wyklętej. Ucieka do Lwowa, gdzie ukrywa się przez niemal trzy lata. Jest przerażona, ale dzięki obecności na miejscu znanych jej z Warszawy literatów nie czuje się aż tak samotna. Niestety, po pogromie ludności żydowskiej we Lwowie jej kryjówka przestaje być bezpieczna. Zuzanna jedzie do Krakowa, gdzie przy ulicy Mikołajskiej 26 mieszka przez rok. W ciągu dwunastu miesięcy na zewnątrz wychodzi tylko kilka razy, gdyż jej podrobione dokumenty nie są wystarczająco przekonujące na wypadek niespodziewanej kontroli.

Gestapo trafia na jej ślad jesienią 1943 roku wskutek donosu. „Na schody wybiegła sąsiadka, pani Krzeszowska, która ostrzegła: »Są u was« i kazała mi się cofnąć. Stałem w bramie domu po przeciwnej stronie ulicy. Jakies pół godziny później wyszli gestapowcy prowadząc Zuzę i Blumkę. Nie wiem, jak trafili na ich ślad. Podejrzewam, że doniósł ktoś z sąsiadów. Nie było innej możliwości” – wspominał w 1991 roku w rozmowie z Izoldą Kiec Jerzy Tomczak, wnuk Elżbiety Mucharskiej, u której ukrywała się Ginczanka.

Poetkę zabrano najpierw do więzienia Montelupich, a po przesłuchaniu przewieziono ją do celi przy ulicy Czarnieckiego. Ostatni dokument podpisany przez Zuzannę Gincburg pochodzi z 18 kwietnia 1944 kwietnia. Niecały miesiąc później, Sankę, Saneczkę, Ginę rozstrzelano w Płaszowie.

Trzydzieści lat z Ginczanką

Historia Zuzanny bardzo długo była zapomniana. Poetkę międzywojennej Warszawy zainteresowała

się dopiero prof. Izolda Kiec – literaturoznawczyni, teatrolożka i kulturoznawczyni zajmująca się głównie poezją, teatrem popularnym i emigracyjnym XX wieku. W 2014 roku Kiec założyła fundację Instytut Kultury Popularnej, w ramach której współtworzy między innymi projekt Archiwum Kultury Popularnej, jest też redaktorką naczelną rocznika „Studia z Kultury Popularnej” oraz autorką opracowania wierszy Zuzanny Ginczanki *Poezje zebrane (1931–1944)*.

Przyznaje, że z Zuzanną spotyka się nieustannie. – Za każdym razem inną, odmienioną głównie moim doświadczeniem, coraz bardziej różniącym się od jej dwudziestoparoletniego świata. Kiedyś Zuzanna była moją rówieśnicą, dzisiaj mogłaby być córką. Gdy z tej perspektywy czytam jej wiersze, po raz kolejny widzę w nich coś innego, nowego, coś, co wcześniej umykało, nie było dość istotne, czekało na swój odleglejszy czas, by wybrzmieć.

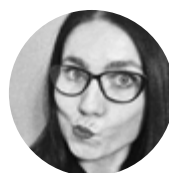
Materiały dotyczące poetki Kiec zbiera od ponad trzydziestu lat. Biografię Ginczanki nazwała *Nie upilnuje mnie nikt* od wiersza *Zdrada* jej autorstwa. – Te słowa towarzyszą mi od pierwszej chwili naszego spotkania wiele lat temu – jej, zapomnianej poetki, i mnie, debiutującej badaczki, biografistki, literaturoznawczynie – wspomina Kiec.

Propozycję „odpomnienia” tragicznie zmarłej Zuzanny przedstawiła swojemu promotorowi pracy doktorskiej, profesorowi Jerzemu Ziolkowi. Historyk słysząc wybrany przez nią temat, z aprobatą wyrecytował fragment:

Nie upilnuje mnie nikt,
Grzech z zamszu i nietoperzy
zawisł na strychach strachu półmysią głową
w dół –
O zmierzchu wymknę się z wieży, z warownej
ucieknę wieży przez cięcie ostrych os,
przez zasiek zatrutych ziół –.

Po kilkudziesięciu latach od tamtej rozmowy nakładem Wydawnictwa Marginesy na rynku ukazała się licząca czterysta stron biografia Zuzanny Ginczanki. Po historię poetki sięgnął Teatr Łąnia Nowa i poświęcił jej monodram *Ginczanka. Przepis na prostotę życia* z brawurową Agnieszką Przepiórską w roli głównej. Czy można zatem uznać, że proces „odpomnienia” Zuzanny jest w toku? Choć większości jej tajemnic już pewnie nie poznamy, pytań o Sankę jest coraz więcej. Czyż nie o to chodziło przez tyle lat Izoldzie Kiec?

W przygotowaniu niniejszej opowieści korzystałam z książki *Ginczanka. Nie upilnuje mnie nikt* Izoldy Kiec.



Marta Gruszecka – dziennikarka z lekkim piórem i łebkim żartem. Rozmówczyni, która potrafi słuchać. Miłośniczka kotów – czarnych i ciapatych. Maratonka, która nigdy się nie poddaje.



Refleksje wśród aromatów pobudzających zmysły i intelekt

Tekst: Magda Huzarska-Szumiec

Witold Bereś w eseju *Zaraza. Lekcja nieprzerobiona* przeprowadza nas przez meandry wątpliwości, które lęgną się w dotkniętych pandemią głowach.

Jest taka Austeria w Krakowie, gdzie już za progiem zaczyna się odczuwać świat wszystkimi zmysłami. W okolicach stojącego w przedpokoju kredensu delikatnie drażni nozdrza, przywołujący wspomnienia z dzieciństwa, zapach ciastek. Im dalej się wchodzi, tym jego intensywność się zwiększa i przeradza w woń przedniego żydowskiego jadła i rozgrzewających emocje napitków. Nad wszystkim unosi się jeszcze jeden aromat, nie wiem, czy nie najmocniejszy. Bije on z półek pełnych książek, zapowiadając intelektualne przyjemności. Nie dziwię się więc Witkowi Beresowi, że właśnie tu kazał schronić się bohaterom książki *Zaraza. Lekcja nieprzerobiona*.

Jak Boccaccio w *Dekameronie* wysłał włoskich arystokratów do posiadłości pod Florencją, by tam, snując erotyczne opowieści, przetrwali epidemię, tak Bereś w towarzystwie kilku krakowian chowa się w Austerii. A że jest to elitarny zestaw osobowości, na czele z wrażliwą Poetką, wyrafinowanym Eseistą, subtelnym Reżyserem, doświadczonym w dziennikarskiej profesji Nowinarzem, no i z tajemniczym Oberżystą, ma szansę prowadzić z nimi fascynującą dyskusję. Wciąga ona czytelnika do tego stopnia, że odnosi on wrażenie, iż razem z jej uczestnikami wznosi kielichy wypełnione armaniakiem czy calvadosem.

Czujemy ich smak, bo sprawy, o których się tu mówi, bezpośrednio nas dotyczą. Komu z nas nie zdarza się sięść wieczorem i ściskając kieliszek wina, zastanawiać nad sensem tego, co nas spotkało, ten niech pierwszy rzuci płynem do dezynfekcji.

Kto nie czuje strachu o siebie i najbliższych, niech pierwszy zerwie z twarzy maseczkę, za którą kryje przerażenie, gdy ogląda relacje z obłożonych szpitali. Kto nie popadał choć na chwilę w apatię, którą stara się przełamać adaptacją do zaistniałych warunków, niech pierwszy umyje ręce bez mydła antybakteryjnego.

Bereś zdaje sobie z tego sprawę i sugeruje poszukiwanie ratunku w literaturze. Robi to z godną pozazdroszczenia erudycją, przytaczając fragmenty książek, w których zaraza stała się metaforą określającą naszą egzystencję. Z wrodzonym politycznym zacięciem zastanawia się nad stanem niewydolnego państwa, które porównuje do *papier mâché*. A w finale wywodu wyraża obawy, że z pomoru nie wyciągniemy nauki. Nawet kiedy się on skończy, to i tak dalej będziemy prowokować go swoją pazernością.

To nie jest hollywoodzkie zakończenie. Może jednak Bereś w ten sposób prowokuje nas do kontynuowania rozważań. Skrajny pesymizm nie leży bowiem w jego naturze. Sam w końcu pisze, że obok zła, strachu, zarazy istnieje piękno, mądrość i miłość. Uświadomił mu to w dzieciństwie Dziadek, stawiając małego Wicia między dwoma lustrami. W Austerii też nie brakuje luster, nad którymi unosi się pobudzający zmysły oraz intelekt aromat książek, armaniaku i calvadosu. Te zapachy mogą być antidotum na zarazę.

Witold Bereś, *Zaraza. Lekcja nieprzerobiona*, Austeria 2021.

Zakładka, a nawet więcej

Tekst: Anna Mazela Zdjęcie: © Wikimedia Commons

Zakładka. Dlaczego akurat takie słowo? Nazwy bywają dziwaczne, nie zawsze pasują, jak ulał, i przylegają jak obcisła sukienka. Zakładka. Zakładać to się można u bukmachera albo z Bogiem, lub jeszcze lepiej z samą śmiercią. Można zakładać, że historia książkowa potoczy się dalej tak a tak, ale przecież nie do tego służą zakładki.



Zakładki tylko zaznaczają (wskazują?), w którym miejscu książkowej historii zdarzyło nam się przystanąć. Znaczniki? Czy to byłoby lepsze określenie? Brakuje mi nazwy, ale obecna nie wydaje się do końca właściwa nie tylko ze względu na główne przeznaczenie omawianych przedmiotów.

Zakładki zawsze były czymś więcej, stanowiły niezwykle ozdoby i wyjątkowe artefakty. Ponoć jedną z pierwszych zakładek książkowych była jedwabna zakładka z frędzlami podarowana królowej Elżbiecie przez jej nadwornego drukarza Christophera

Barkera. Przynajmniej to o niej właśnie jako pierwszej wspomina nam historia w notatce z roku 1584. Dziś zakładki bywają wykonywane z najróżniejszych materiałów, nie tylko papieru i tkanin, ale i metali. Przybierają też najróżniejsze formy. Można je kupić w księgarniach, u jubilera, w sklepach z podarunkami, a także na stoiskach z rękodziełem i strojach internetowych wielu twórców. Kupuje się je nie tylko po to, by wkładać między strony czytanych książek, ale również, by je kolekcjonować. Oglądać, podziwiać, pokazywać, przechowywać, gromadzić.

Zakładka jako przedmiot do posiadania

Współcześnie najczęściej czytana „książką” jest zapewne internet, a najczęściej używanymi zakładkami są te w naszych przeglądarkach. Nie ulega jednak wątpliwości, że w tej wielkiej księdze współczesności wciąż odnaleźć możemy całkiem sporo interesujących treści na temat książek papierowych, a także zakładek. Wertując internet, natrafiłam na artykuł o wystawie zakładek w 2017 roku w Muzeum Ziemi Sokólskiej przy Sokólskim Ośrodku Kultury oraz Bibliotece Publicznej w Sokółce. Obejmowała aż trzysta eksponatów – wszystkie należały do jednej osoby! Tą osobą jest Ewa Krychniak, bibliotekarka, z którą udaje mi się nawiązać serdeczny kontakt przez Facebooka i która chętnie dzieli się ze mną opowieściami o swojej pasji, a także przesyła zdjęcia swoich zakładek. Wyznaje, że zbiera te szczególne przedmioty całe życie (zaczęło się od zakładki wykonanej przez nią samą w drugiej klasie szkoły podstawowej z tektury, kolorowego papieru i obszytą kordonkiem), ale większą uwagę poświęca im od dziesięciu lat.

Jej kolekcja nie jest w żaden sposób opisana i miała tylko te dwa pokazy. Najstarsze posiadane przez panią Krychniak zakładki pochodzą z początku XIX wieku. Jedna należała do księdza, a dwie pozostałe do Żydów sokólskich. Ciekawa jest również metalowa zakładka składana sprzed I wojny światowej, przywieziona do Sokółki przez Żyda służącego w wojsku carskim. Wśród zbiorów pani Krychniak znajdują się piękne zakładki z suszonych kwiatów, wyszywane i robione na szydełku, a także zabawne zakładki filcowe, a nawet plastikowe. Kolekcja zawiera również typowe zakładki z kliszy. Dużą jej część stanowią pamiątki z różnych stron świata, które bibliotekarce udało się odwiedzić. To między innymi złota zakładka z Australii i drewniana z Dubaju, kolorowe zakładki chińskie, metalowe z Laosu i Grecji oraz pleciana z Chorwacji.

Zakładki nasze powszednie

Zakładki, których używamy na co dzień w celu im przeznaczonym, często wcale nie są zakładkami. Najlepiej przekonują się o tym właśnie bibliotekarki, o czym wiem doskonale, gdyż sama pracuję w bibliotece. Przyjmujemy od czytelników zwracane książki i dopiero po pewnym czasie odkrywamy wśród ich stron najróżniejsze przedmioty. Nieraz są to prawdziwe skarby, jak prywatne fotografie, których właściciela wcale nie jest tak łatwo odszukać.

Często jako zakładki służą pocztówki czy bilety z muzeum – papier wciąż wydaje się nam najodpowiedniejszy w funkcji zakładki. Zdarzają się chusteczki higieniczne, a nawet rzeczy tak zaskakujące, jak kostka kurczaka. W sumie to przedmiot całkiem symboliczny, przypominający, że śmierć również jest

swego rodzaju zakładką. Dla nas, jeśli brać pod uwagę życie pośmiertne, a z pewnością dla naszych bliskich, których zostawiamy w jakiejś szczelinie czy pęknięciu, z którego dopiero muszą się wydobyć czy też które muszą przekroczyć. Może niekoniecznie tak wzniosłe okoliczności dotyczą kurcząt, ale czemu nie zastanowić się nad zwierzęcą stroną natury ludzkiej czy też relacją człowiek-zwierzę, jeśli już nadarzyła się okazja, a przestrzeń (biblioteka) idealnie się do tego nadaje? Patrząc na tę kostkę, patrząc na dotąd

Zakładki zawsze były czymś więcej, stanowiły niezwykle ozdoby i wyjątkowe artefakty. Ponoć jedną z pierwszych była jedwabna zakładka z frędzlami podarowana królowej Elżbiecie przez jej nadwornego drukarza Christophera Barkera.

nieodebrane przez nikogo fotografie. Czy wkładając świadectwo jednej historii pomiędzy strony świadectwa o historii drugiej, w jakiś magiczny sposób przeistaczamy je, modyfikujemy, zlepiamy? Fotografia sama w sobie również jest szczególną zakładką, zakładką dla czasu i w czasie, zakładką żywej, niespisanej historii. Zakładką, która tyleż samo przypomina nam o śmierci, ile stawia jej opór.

Historia pewnej fotografii

I przypomina mi się tamta historia. Tamta fotografia, której prawie nie ma. Bo czy istnieje jeszcze zdjęcie wykonane dobrych kilka lat temu aparatem wbudowanym w telefon komórkowy, w dodatku stary, bardzo słabej jakości, a na koniec zagubione gdzieś podczas zgrywania plików na jeden czy drugi komputer? Jednak w mojej pamięci istnieje w sposób niezaprzeczalny i przez nie przede wszystkim istnieje ona, ta, którą zdjęcie przedstawia. Nieraz po latach bardziej pamiętamy obraz ze zdjęcia niż realne wydarzenie czy osobę, prawda? Tutaj jest podobnie. Ale po kolei.

To było jeszcze podczas studiów. Jechałam tramwajem z Nowej Huty w kierunku Bronowic i obserwowałam ludzi, którzy podróżowali razem ze mną. Czasami lubię przysłuchiwać się ich rozmowom. Ona nic nie mówiła, jechała sama, a mimo to była jedyną osobą w całym wagonie, która się uśmiechała. Była piękna. Naprawdę piękna. Chociaż miała jakieś osiemdziesiąt lat i siwiuteńkie włosy, jej niezwykle jasne, błękitne oczy wydawały się pełne życia. Była ubrana w zwykłą starą sukienkę, a na nogach miała wysokie, wełniane skarpety i półbuty. Nie mogłam się na nią napatrzyć. Już wtedy sporo czytałam i pisa-

łam o fotografii. Byłam po cudownej lekturze książki Rolanda Barthes'a *Światło obrazu*. Chociaż nie posiadałam własnego aparatu fotograficznego, zaczynałam patrzeć na świat trochę jak fotograf. A w tamtej chwili po prostu marzyłam o sfotografowaniu tej kobiety, nie tylko dla artystycznego efektu, na który nie mogłam liczyć bez dobrego aparatu i doświadczenia, ale po prostu, by ze mną została.

Nie wytrzymałam. Kiedy wysiadała pod teatrem Bagatela, bez zastanowienia wysia-

dosna, pełna wiary w ludzi i życie, choć wyznała mi, że niedawno miała chłoniaka (wtedy, gdy się spotkałyśmy, szła tak naprawdę do szpitala onkologicznego przy ulicy Garncarskiej), a potem na jej rękach umarł jej mąż. Deklamowała mi do słuchawki *Pana Tadeusza* i śpiewała tę piosenkę o kasztanie („złoty kasztan mi dałeś i serce”). Mówiła, że wariuje, a równocześnie miała tyle spokoju w głosie! Nie mogłam uwierzyć w siłę tej kobiety. Chciałam jej jakoś pomóc. Nie wyświetlił



Zakładki i zdjęcie: kolekcja Ewy Krychniak

dłam również i podbiegłam do niej. Miałam przy sobie tylko przestarzały model telefonu komórkowego, ale to musiało mi wystarczyć. I nadzieja, że kobieta nie zacznie krzyczeć, kiedy poproszę ją o możliwość sfotografowania jej. Nie krzyczała. Była niesamowicie zdziwiona, ale uśmiechała się jeszcze promienniejsze niż w tramwaju. „Ale kim pani jest? Dlaczego?” – spytała. Odparłam, że jest piękna i chcę ją uwiecznić. Była zdumiona, ale nie uciekła. Spytała, czym się zajmuję, a na wieść, że studiuję kulturoznawstwo, natychmiast miała dla mnie temat na artykuł, jakąś historię rodzinną. Pozwoliła się sfotografować i poprosiła o mój numer telefonu. Obiecała, że zadzwoni.

Odezwała się niespodziewanie dopiero trzy miesiące po naszym dziwnym spotkaniu. Pamiętała mnie doskonale i ja ją również. Ucieszyłam się ogromnie. Była taka miła i ra-

mi się jej numer, więc pytałam o niego, ale powiedziała tylko, bym czekała na znak od niej. Tym razem jednak znaku już nie otrzymałam.

Nie wiem, dlaczego właśnie to zdjęcie i ta historia przypominały mi się przy okazji opowiadania o zakładkach. Być może tamto zdjęcie i tamta historia są w moim życiu jakąś szczególną zakładką, której znaczenia jeszcze nawet nie przeczuwam.



Anna Mazela – doktor nauk humanistycznych kulturoznawstwa, zafascynowana fotografią jako fenomenem kulturowym. Miłośniczka baśni. Animatora kultury i bibliotekarka. Poetka, wiersze publikowała w „Magazynie Materiałów Literackich CE-GŁA”, w miesięczniku „Kraków”, „2Miesięczniku”, kwartalniku „Inter-”, „Helikopterze”.

Adama Leszczyńskiego historia zwykłych ludzi

Tekst: Krzysztof Burnetko

Adam Leszczyński brawurowo przekonuje, że na dzieje państw i narodów – także Polski – nie składają się jedynie wielka polityka, głośne wydarzenia, wojny i rozgrywki elit. Przy okazji apeluje o zmianę sposobu uprawiania rodzimej historiografii.



Józef Chełmoński, *Sobota na folwarku. Wypłata robocizny*, 1869, olej, Muzeum Narodowe w Warszawie, ©Wikimedia Commons

W Ludowej historii Polski dowodzi bowiem, że istotna jest także codzienność, obyczaje i losy zwykłych ludzi, nastroje społeczne, a wreszcie mentalność rozmaitych grup, specyfika regionów czy miejsc. Nad podejściem takim pracuje – wraz z grupą innych historyków – już dobry kawał czasu.

Szkoła Marcina Kuli

Była połowa lat 90. ubiegłego wieku. Dla wielu czas zachłyśnięcia się wolnością – w tym głodu prawdy, także dotyczącej przeszłości, zwłaszcza najnowszej, dotąd często skrywanej bądź zakłamywanej. Dla badaczy zaś czas wymarzony także z innych względów – wszak niedawno upadła cen-

Przez lata nauki historyczne skupiały się na analizowaniu politycznych (w Polsce także militarnych) aspektów dziejów – a przez to głównie roli elit.

zura, otworem stały archiwa, a do tego jeszcze ujawniły się zastępy spragnionych rewelacji odbiorców.

Naturalnie zrazu największym zainteresowaniem cieszyły się tak zwane białe plamy, czyli dotąd przemilczane tematy *stricto* polityczne – układy na szczytach dopiero co obalonej władzy komunistycznej, mechanizmy systemu, ska-

la i kulisy represji. Swoje robiło i to, że studia nad tymi tematami sprowadzały się do odtworzenia wydarzeń – były więc, by tak rzec, niezbyt skomplikowane intelektualnie. I dość łatwe do oceny moralnej.

Tendencja ta była na dodatek wzmacniana długą tradycją rodzimęj (i nie tylko) historiografii. Przez lata przecież nauki historyczne skupiały się na analizowaniu politycznych (w Polsce także militar-nych) aspektów dziejów – a przez to głównie roli

Dwie choroby gnębią dziś polską historiografię: nacjonalizm (rozumiany jako podtrzymywanie narodowej mitologii i obrona „dobrego imienia” narodu) i posunięte do absurdu przyczynkarstwo. Zwalczenie ich wymaga, prócz zajęcia się nowymi tematami czy zmianą periodyzacji, również odwagi zerwania ze stereotypami i czarno-białym obrazem dziejów.

elit. Nieliczni tylko naukowcy zajmowali się chociażby historią gospodarczą. Gdy zaś w PRL z powodów ideologicznych podjęto studia nad statusem niższych warstw społecznych, to siłą rzeczy były one zniekształcone prymatem ideologii opartej na dogmacie ucisku robotników i chłopów w kapitalizmie, walki klas, a w końcu rewolucji proletariackiej i socjalistycznego raju.

Codziennosc ponad politykę

Szczęśliwie wbrew tej ugruntowanej tradycją tendencji na Uniwersytecie Warszawskim zawiązała się nieformalna szkoła historyków nieco inaczej widzących swe zadania i gdzie indziej wyznaczających pole zainteresowań i analiz. Jej twórcą był prof. Marcin Kula, specjalizujący się dotąd głównie w dziejach Ameryki Łacińskiej. Zgromadził on – i zaraził swoją pasją – grono studentów, z później zwykle doktorantów, którzy zajęli się opracowywaniem tematów dotyczących nie wielkiej polityki, lecz życia codziennego w PRL. Dość wymienić kilka tytułów prac (ukazały się one potem w cenionej serii *W krainie PRL-u*): *Komunistyczne święto: obchody 1 maja*, *O nową mentalność: życie codzienne w szkołach 1945–1956*, *Przez dziurkę od klucza: życie prywatne w Krakowie (1945–1989)*, *Między osiedlem a zagrodą: życie codzienne mieszkańców PGR-ów*, *Scena rockowa w PRL*, *Wakacje w Polsce Ludowej: polityka władz i ruch turystyczny (1945–1989)*, *Robotnicy Warszawy: konflikty codzienne (1950–1954)*, *Nastolatki '81: świadomość młodzieży w epoce „Solidarności”*, *Zbudować Warszawę piękną...: o nowy krajobraz stolicy (1944–1956)*, *PRL się śmieje! Polska komedia filmowa lat 1945–1989*, *Teksas-land: moda młodzieżowa w PRL*, *Wielki mały ekran: telewizja a codzienność Polaków w latach sześćdziesiątych*, *Polski film sensacyjno-kryminalny (1960–1980)*, *Sacrum i codzienność: prośby o modlitwę nadsyłane do Kalwarii Zebrzydowskiej w latach 1965–1979*, *Sport w służbie polityki: Wyścig Pokoju 1948–1989*, *Społeczeństwo kolejki: o doświadczeniach niedoboru 1945–1989*, *Patriotyzm wojskowy w PRL w latach 1956–1970*.

Krzysztof Burnetko: Historyk, socjolog, dziennikarz... – jak uprawianie tych trzech profesji wpływa na Pana podejście i sposób realizowania tego pierwszego zawodu: historyka?

Adam Leszczyński: Myślałem, że zapyta pan, jak to łączenie wpływa na zasoby mojego wolnego czasu. Bo tu odpowiedź jest prosta – niezbyt dobrze. A poważnie: moją ambicją podczas pisania *Ludowej historii Polski* było, aby ta książka nie tylko stała się tematem dyskusji, a pewnie i krytyki wśród specjalistów, ale by sięgnął po nią także polski inteligent. I aby była dla niego lekturą przystępną, ciekawą oraz inspirującą do przemyśleń, a może zweryfikowania kilku stereotypów.

Oczywiście, mogłem taką pracę napisać hermetycznym żargonem nauk społecznych. Ale bardzo się starałem, by nie było go więcej niż to absolutnie konieczne. Do tego posłużyło mi doświadczenie dziennikarskie, bo podstawowym elementem warsztatu tej profesji jest przecież umiejętność panowania nad tekstem.

Zdaję sobie sprawę, że w części polskich środowisk akademickich książka zbyt ciekawa i zbyt czytana ciągle bywa uznawana za nienaukową. Trudno.

Jako swojego najważniejszego mistrza w historycznej profesji wskazuje Pan prof. Marcina Kulę. Ale wymienienia Pan również cztery inne wielkie postacie nauk społecznych, z którymi się Pan zetknął:

Karola Modzelewskiego, Jerzego Jedlickiego, Tadeusza Kowalika i Jacka Kochanowicza. Co spotkanie z każdym z nich Panu – jako historykowi i jako człowiekowi – dało?

Marcin Kula jest moim wielkim nauczycielem – wszystko, czego się nauczyłem o warsztacie historyka, nauczyłem się od niego.

Karol Modzelewski i Jerzy Jedlicki to giganci polskiej humanistyki. Na rozmowach z nimi skorzystałem oczywiście, przede wszystkim jako autor, bo wniosły one wiele do *meritum* samej książki. Bardzo byłbym zresztą ciekaw ich akurat opinii o efekcie finalnym i żałuję, że takiej oceny już od nich nie usłyszę. Ale spotkania z nimi dały mi oczywiście dużo więcej. U Karola, prócz niebywałej kompetencji naukowej i wielkiego talentu politycznego, podziwiałem imponującą umiejętność pokonywania życiowych przeciwności – i to wszelkiego rodzaju. Opowiem taką anegdotę: lata temu podczas pierwszego podejścia odrzucono mi habilitację. Kiedy poskarżyłem się prof. Modzelewskiemu, skwitował to krótko: „Niech się pan nie przejmie, kiedyś panu i tak dadzą”. Poczuliem się nieco urażony, bo reakcja ta wydawała mi się zdawkowa, oschła i mało empatyczna. Ale po chwili uświadomiłem sobie, że przecież on nie dość, że pisał swój doktorat w więzieniu, to jeszcze wcale nie mógł być pewnym, że władza dopuści do obrony. Z jego perspektywy moje frustracje były śmieszne. Z sza-

To z seminarium prof. Kuli wyszli znakomici dziś historycy średniego pokolenia: Marcin Zaremba, Paweł Sowiński, Piotr Osęka, Błażej Brzostek, Krzysztof Kosiński – a także Adam Leszczyński (w tym okresie autor aż dwóch monografii pod znanymi dla koncepcji tej szkoły tytułami: *Do załatwienia: listy do „Po Prostu” 1955–1957* oraz *Anatomia protestu: strajki robotnicze w Olsztynie, Sosnowcu i Żyrardowie, sierpień-listopad 1981*).

Kiedy swego czasu rozmawiałem z prof. Kulą o jego – i jego wychowankach – wizji uprawiania historii, podkreślał, że historyk nie ma pisać ku pokrzepieniu serc, wzmacniać „tkanki narodu” i komukolwiek schlebiać. Mówił: „Każde społeczeństwo woli słyszeć pochwały, a nie przygany. A społeczeństwa, które miały ciężką przeszłość, są na nią szczególnie czułe. Polacy nigdy nie lubili mówić o ciemnych stronach swoich dziejów. Czy mamy świadomość, że podczas okupacji zdumiewająco dużo spraw gestapo wszczynano, korzystając z donosów? I nie chodzi tu o zdrajców – takich, którzy wydali choćby gen. Grotę-Roweckiego. Nie: chodzi o donosy zwykłych ludzi, którzy pogniwiali się na sąsiada, więc szli do okupacyjnej władzy. Tymczasem o ile za PRL można było rozważać, czy komuniści są władzą okupacyjną czy państwową, o tyle podczas II wojny nikt takich wątpliwości mieć nie mógł. (...) Owszem: skupianie się tylko na draństwach i słabościach grupy społecznej może zagrozić jej spójności. Tyle że w Polsce przez lata nagłaśniano niemal wyłącznie chwalebne karty dziejów. Kiedy więc teraz – dzięki wolności – zaczęły się pojawiać opracowania na temat kart mniej chwalebnych, nie-

którzy odnieśli wrażenie, że to element antynarodowej akcji” („Tygodnik Powszechny” 2002, nr 30).

Prof. Kula zwracał przy tym uwagę, że uczciwą historię najnowszej Polski może napisać dopiero następne pokolenie badaczy. Bo oni nie będą już mieli ani oporów, ani uprzedzeń. Cieszył się też, że coraz więcej młodych historyków publikuje nie tylko w periodykach branżowych, ale też w pismach popularnych. I dowodził, że pełny obraz jakiegokolwiek epoki historycznej można uzyskać tylko wtedy, gdy prócz opisu poziomu wielkiej polityki pokaże się także rzeczywistość innych, także najniższych sfer, i to w możliwie wielu dziedzinach życia.

Historia z socjologią po dziennikarsku

Adam Leszczyński okazał się pojętnym studentem, a potem doktorantem (na Wydziale Historii UW obronił pracę „*Solidarność*” w *małych miastach*). Potem, w 2017 roku, na podstawie dorobku naukowego oraz monografii *Skok w nowoczesność. Polityka wzrostu w krajach peryferyjnych 1943–1980* nadano mu stopień doktora habilitowanego nauk społecznych (socjologii). Taka podwójna perspektywa – co ciekawe także jego mentor ma zarówno historyczne, jak socjologiczne przygotowanie – wyraźnie wpływa zarówno na dobór podejmowanych tematów, jak podejście do analizy przeszłości.

Co więcej Leszczyński – niezależnie od swoich zajęć w Instytucie Studiów Politycznych PAN i na warszawskim Uniwersytecie Humanistycznospołecznym SWPS – jest również czynnym dziennikarzem i publicystą (pracował w „Gazecie Wyborczej”, pisywał między innymi w „Polityce”, „Newsweeku”,

cunkiem patrzyłem też na jego odporność i przywiązanie do własnych idei w pracy naukowej. Bo i w tej sferze nie miał łatwego życia. Nie wszyscy koledzy akademicy go doceniali.

Jurek Jedlicki był dla mnie wielkim autorytetem nie tylko jako intelektualista, ale też jako specjalista od nowoczesności i jej zakorzeniania się w krajach peryferyjnych, takich jak Polska – co mnie bardzo fascynuje. Z kolei Tadeusza Kowalika poznałem przy okazji wywiadu, jaki robiłem z nim dla „Gazety Wyborczej”. Był to czas światowego kryzysu gospodarczego. Sam też pisałem wtedy sporo o konieczności odejścia od modelu neoliberalnego. Po każdym tekście dostawałem od Kowalika maila. Zaczynał się albo od słów: „Słusznie pan napisał, że...”, albo od: „Znów mnie pan rozczarował”. Był znakomitym ekonomistą i historykiem polskiej myśli ekonomicznej. Od niego nauczyłem się empatii dla ludzi z nizin społecznych oraz tego, że cała ekonomia to w gruncie rzeczy nauka o nich oraz o władzy – a nie o żadnych liczbach, wskaźnikach i trendach.

Wreszcie Jacek Kochanowicz – jeden z najwybitniejszych w Polsce historyków gospodarki, spec od państwu i uwłaszczania. Był liberałem, nie wierzył w dobre skutki interwencjonizmu państwowego w gospodarce – i tu się różniliśmy, ale znał się też na moim koniku, czyli właśnie nowoczesności na peryferiach. Wiele z jego wiedzy wyniosłem.

Zaczynał Pan jako jeden z uczestników seminarium prof. Marcina Kuli od badania historii najnowszej z akcentem – co było wyróżnikiem podejścia Profesora – nie na popularną w Polsce historię polityczną, ale tak zwaną historię życia codziennego. Teraz – w *Ludowej historii Polski* – sięgnął Pan w swoich analizach aż do średniowiecza, też skupiając się nie na polityce i elitach, lecz codzienności „niższych” warstw. Czy można to uznać również za sugestię dla innych badaczy, że należałoby zmienić sposób myślenia o uprawianiu historii?

Jak najbardziej. W polskiej historiografii, jak sądzę, warto zmienić tendencję do skupiania się na elitach. Szczęśliwie ostatnio zmienia się podejście do roli płci – a to dzięki sile historyczek przyjmujących jednoznacznie perspektywę genderową.

Dość powiedzieć, że kiedy zbierałem materiały do *Ludowej historii Polski*, przeczynałem bardzo dużo dzieł rodzimej historiografii, począwszy od Joachima Lelewela. Na ich tle uderza konserwatyzm podejścia wielu współczesnych historyków. Lelewel był społecznym radykałem (jak na tamte czasy), ale i w porównaniu z historykami międzywojnia obecna historiografia jest w większości bardzo konserwatywna, politycznie i metodologicznie. Na dodatek w wielkiej mierze pokrywa się z tak zwaną polityką historyczną lansowaną przez obecną władzę.



Jan Lewicki, *Rzeź galicyjska*, 1871, olej, Muzeum Wojska Polskiego (repr. Mathiasrex)

„Res Publice Nowej”, jest członkiem zespołu „Krytyki Politycznej”, a obecnie udziela się na portalu OKO.press).

Pisuje zresztą nie tylko o historii czy zjawiskach społecznych. Ma bowiem na koncie reportaże (z Afryki) oraz, na przykład, teksty o... informatyce i recenzje gier komputerowych. Dzięki temu zapewne jego – było nie było naukowca – sposób i styl pisanie jest także w publikacjach formalnie akademickich w najlepszym tego słowa znaczeniu dziennikarski właśnie. Nie trzeba w nich przebić się przez branżowy (czy raczej nibynaukowy) żargon, fraza jest barwna i żywa, a opowieść pełna zarówno ciekawych również dla laików detali, jak odważnie czasem stawianych, acz zawsze precyzyjnie dokumentowanych i dowodzonych tez.

Apel o nową historię

Zasadnicza zawartość *Ludowej historia Polski* to opis losów – jak to określa sam autor – „dolnych 90 proc. społeczeństwa – ludzi rządzonych, a nie rządzących, biednych, a nie bogatych, zwykle niewykształconych i zawsze podporządkowanych władzy”.

Książka jest jednak równocześnie apelem o nowe podejście do narodowych dziejów. Zdaniem Leszczyńskiego dwie choroby gnębią dziś polską historiografię: nacjonalizm (rozumiany jako podtrzymywanie narodowej mitologii i obrona „dobrego imienia” narodu) i posunięte do absurdu przyczynkarstwo. Zwalczenie ich wymaga, prócz zajęcia się

nowymi tematami czy zmiany periodyzacji, również odwagi zerwania ze stereotypami i czarno-białym obrazem dziejów. I to wszelkiej natury. Bo przecież – Leszczyński posługuje się przykładem bohaterów swojej książki – ani elity, ani lud nigdy nie były monolitami. „Ludzie żyjący w nędzy i w stanie chętnie porównywalnym przez współczesnych do niewolnictwa (a taki był przypadek chłopów polskich) bywali okrutni i brutalni, nie tylko w momentach, w których się buntowali, ale także wobec siebie nawzajem. Ofiary często nie bywały sympatyczne. Przemoc i opresja nie sprzyjały wyrabianiu dobrych manier. (...) Pamiętać należy także, że szlachta i inteligencja polska wydały w ostatnich stuleciach całe szeregi ludzi szlachetnych i prawych, którzy bezinteresownie i z poświęceniem działali na rzecz prawdziwie demokratycznej Rzeczypospolitej”.

Po prostu: historii nie można sprowadzać do „marchewskiej przypowieści”.



Krzysztof Burnetko – niegdyś wieloletni dziennikarz „Tygodnika Powszechnego”, później tygodnika „Polityka” (z którym współpracuje do dziś), pasjonat nart i autor wielu książek, z których najmilej wspomina te o Marku Edelmanie.

Dom pod wiecznym piórem

Tekst: Dominik Jedliński Zdjęcia: Barton Film

Kamienica przy ulicy Krupniczej 22 to kawał historii Krakowa. Po wojnie stała się przystanią bezdomnych pisarzy.



Do połowy lat 90. XX wieku mieszkało tu ponad stu literatów, wśród nich Jerzy Andrzejewski, Stanisław Dygat, Konstanty Ildefons Gałczyński, Stefan Kisielewski, Leon Kruczkowski, Sławomir Mrożek, Adam Polewka, Halina Poświatowska, Wisława Szymborska, Anna Świrszczyńska. Pojawiali się na kilka chwil lub pomieszkowali przez czas nieco dłuższy. Dokument *Dom Literatów, czyli kartoteka zebrana* Marka Gajczaka podejmuje próbę opowiedzenia wyjątkowych dziejów mieszkańców tego literackiego podwórka.

*

Marek Gajczak to urodzony w Krakowie operator, reżyser i scenarzysta. Absolwent wydziału operatorskiego w łódzkiej filmówce. Jako autor zdjęć pracował nad filmami Małgorzaty Szumowskiej, Adama Guzińskiego czy Artura „Barona” Więcka. W 2006 roku zadebiutował jako reżyser i scenarzysta filmem fabularnym *Pod powierzchnią*. Ostatnio skupiony głównie na kinie dokumentalnym – w 2016 roku stworzył głośny i ciepło przyjęty *Jarocin. Po co wol-*

Dokument Dom Literatów, czyli kartoteka zebrana Marka Gajczaka podejmuje próbę opowiedzenia wyjątkowych dziejów mieszkańców jednej krakowskiej kamienicy i uczynić je świadectwem zapominanej z wolna epoki.

ność, pełną barwnych wspomnień i materiałów archiwalnych podróż w przeszłość słynnego festiwalu.

Reżyser początkowo był sceptycznie nastawiony do pomysłu nakręcenia filmu o kamienicy przy Krupniczej. – Po pierwsze, myślałem wtedy, że to historia, która już dawno przebrzmiała. Po drugie, szalenie złożona, trudna do opowiedzenia, a przy tym mało ciekawa od strony filmowej – wspomina. I dodaje: – Nie chciałem robić filmu, w którym nagramy wypowiedzi kilku bohaterów z tamtych lat, dołożymy do tego materiały archiwalne, narratora i sprawa załatwiona. Nie interesował mnie też film, w którym

mielibyśmy rozliczać bohaterów z ich przeszłości politycznej – tłumaczy.

Co sprawiło, że zmienił zdanie? – Zacząłem zgłębiać temat i w pewnym momencie dostrzegłem w tej historii coś więcej. Zobaczyłem, że dom na Krupniczej był mikroświatem, w którym jak w lustrze odbijały się problemy całego społeczeństwa. I to nie tylko polityczne, ale też społeczne czy ekonomiczne. Ludzie o różnych poglądach politycznych miesz-

dle projektu Henryka Lemensdorfa, miała trzy piętra, dwie oficyny i dramatyczną przeszłość, o której w roku 1945 nikt nie wiedział albo wolał nie wiedzieć” – wspomina w książce *Wtedy. O powojennym Krakowie* Joanna Olczak-Ronikier, współzałożycielka Piwnicy pod Baranami. Jako dziecko też mieszkała z mamą przez jakiś czas w Domu Literatów.

Przed wojną budynek należał do adwokata Adolfa Liebeskinda i jego żony Heleny z Hochstimów,



kali pod jednym dachem i potrafili dyskutować przy wódce do białego rana. Często toczyli spory, ale gdy trzeba było, wspierali się nawzajem. Pomyślałem wtedy, że dziś nam brakuje takiego podejścia i choćby dlatego warto się tym zająć. Najważniejsze jednak było dla mnie znalezienie formalnego pomysłu na opowiedzenie tej wielowątkowej historii – mówi.

Sposobem okazały się liczne nawiązania do *Kartoteki* Tadeusza Różewicza. Utwór nie pojawia się tu zresztą przez przypadek. Różewicz mieszkał przez jakiś czas w Domu Literatów. I choć sam dramat powstał znacznie później, klimat Krupniczej czuć w nim bardzo mocno. Co więcej, przewodnikami po kamienicy w filmie Gajczaka zostali Jerzy Kisielewski i Jan Polewka, synowie znanych lokatorów, którzy przed kamerą wspominają anegdoty z „domu wieszczów”, niepowtarzalną aurę tego miejsca oraz jego przechodni charakter.

*

A wszystko zaczęło się tak... „Czynszowa kamienica przy ulicy Krupniczej 22, zbudowana w 1911 r. we-

później przeszedł w ręce Joela i Blime Holzmanów. Jak wspomina Olczak-Ronikier, lokale do wynajęcia miały przyzwoity, choć nie luksusowy standard. Mieszkania miały podobny układ. Pośrodku długi korytarz. Po jednej stronie korytarza – trzy połączone ze sobą pokoje z oknami na ulicę. Na wprost wejścia – jeden z własną małą łazienką. Po drugiej stronie kuchnia i druga, duża łazienka z oknami na podwórze. Na parterze rozlokowały się sklepy. Mieściła się tam między innymi kawiarenka, w której sprzedawano kremówki.

We wrześniu 1939 roku, po wkroczeniu Niemców do Polski, Kraków stał się stolicą Generalnego Gubernatorstwa. W zachodniej części miasta utworzono niemiecką dzielnicę mieszkaniową, która objęła także Krupniczą, nazwaną wówczas Albrechtstrasse. Polacy musieli ją opuścić, Żydów natomiast wysiedlano z Krakowa, później zaś zamykano w gettach, a ich majątki i nieruchomości przejął zarząd powierniczy.

Taki los spotkał też kamienicę pod numerem 22. Na początku lat 40. ubiegłego stulecia Niemcy prze-

robili budynek na hotel dla pracowników urzędu naftowego (choć, jak czytamy w książce *Wszystkie drogi prowadzą na Krupniczą* Anny Grochowskiej, istnieją też hipotezy, jakoby miał się tam mieścić dom uciech dla oficerów III Rzeszy). Aby zyskać przestrzeń na dodatkowe pokoje, mieszkania podzielono na osobne „hotelowe numery” i zlikwidowano kuchnie. Sklepy na parterze połączono z kolei w jeden ciąg, tworząc jadalnię w stylu bawarskim.

Wtedy cała trójka wtargnęła do domu, gdzie, jak się okazało, ulokowali się oficerowie radzieccy. Ci przyjęli ich gościnnie i powiedzieli: „Chciecie – ładujcie się do domu. My jutro ruszamy na Berlin” – opowiada jedną z wersji Gajczak.

Jak było naprawdę, trudno dziś stwierdzić. Natomiast faktem jest, że kamienica przy Krupniczej 22 błyskawicznie stała się azylem dla bezdomnych pisarzy z całej Polski. Po wojnie do Krakowa przybyli



Później budynek tymczasowo przejęli oficerowie Armii Czerwonej, którzy wędrowali na Berlin. Dzięki szybkiej reakcji młodego pisarza Tadeusza Kwiatkowskiego, a także dzięki staraniom krytyka literackiego Kazimierza Czachowskiego oraz poety i oficera politycznego Wojska Polskiego Adama Ważyka dom został przejęty na siedzibę oddziału krakowskiego Związku Zawodowego Literatów Polskich (za kilka lat przymiotnik „zawodowy” zniknie z jego nazwy).

Jakim cudem udało się to przejęcie? Do dziś krąży na ten temat rozmaite legendy. – Kiedy Tadeusz Kwiatkowski wraz z Kazimierzem Czachowskim i Adamem Ważykiem udali się na Krupniczą, wejścia do domu pilnował uzbrojony rosyjski żołnierz i nie pozwalał nikomu wejść. Nie pomogły rozmowy i podpisane dokumenty. Żołnierz był nieprzejeźdny. Ważyk wpadł wtedy na pomysł i namówił jakiegoś dzieciaka z bramy obok, żeby w pewnym momencie zaczął głośno krzyczeć. Tak się też stało i żołnierz po chwili wahania pobiegnął zobaczyć, co się dzieje.

bowiem rozbitkowie z wielu zniszczonych polskich miast, głównie ze zrujnowanej Warszawy.

„Każdy się sprowadził w tym, co miał, z Warszawy albo skądś. Miał urwany rękaw, to był w urwanym rękawie, albo jednego buta miał zawiązanego, a od drugiego nie miał sznurówki. Aleśmy się bardzo cieszyli, że się wojna skończyła i dalejśmy się bawili. Ale jak się bawili, to się bawili. Ale jak pracowali, to po nocach tylko słyszeć było maszyny. Tak jakby fabryka była” – relacjonowała po latach Karolina Surówka, słynna pani Lola, szatniarka Domu Literatów, powierniczka wielu sekretów mieszkańców.

Olczak-Ronikier wspomina, że ludzie przyjmowali z wdzięcznością nawet pozbawione WC klitki służbowe w oficynach, co skazywało lokatorów na stukanie do cudzych drzwi i żenujące pytania, czy można skorzystać z toalety.

*

– Gdy patrzymy na to z dzisiejszej perspektywy, wydaje nam się to fascynujące. Tytuł pisarzy. Nieustający ferment twórczy. Ciągłe imprezy i bogate życie

towarzyskie. Ale z drugiej strony, panował tam prawie całkowity brak prywatności. Często w tych mieszkaniach lokowano po kilku różnych lokatorów, którzy nie zawsze pałali do siebie miłością. Musieli jakoś razem egzystować – mówi Gajczak. I dodaje: – Większość mieszkań nie miała łazienek, więc żeby się wykąpać, trzeba było iść do sąsiadów. Toalety były wspólne na korytarzach, zamykane na klucz. Pokoje były przechodnie. Cały czas ktoś wchodził i wychodził. To nie są wymarzone warunki do mieszkania. W pierwszym okresie po wojnie ludzie cieszyli się, że w ogóle mają jakiś dach nad głową, ale z biegiem czasu te warunki zaczęły im coraz bardziej przeszkadzać. Nic dziwnego, że jedni znosili to lepiej, a inni gorzej.

*

Mieszkańcy Krupniczej to galeria osobliwości. „My w Krakowie mieszkamy wszyscy na tej samej ulicy. I jesteśmy wszyscy nieprawdopodobni cynicy” – pisał Gałczyński. Z kolei inny lokator tego adresu, poeta Bronisław Maj, wspominał po latach, że „stężenie normalności w tym domu było poniżej błędu statystycznego”.

Trzeba jednak zrozumieć sytuację, w jakiej znaleźli się literaci. Po wojnie ludzie byli spragnieni kontaktów towarzyskich. Musieli odreagować traumatyczne doświadczenia, imprezowali więc, ile się dało. Odwiedzali się nawzajem, wymyślali różnego ro-

Mieszkańcy Krupniczej 22 byli galerią osobliwości. „My w Krakowie mieszkamy wszyscy na tej samej ulicy. I jesteśmy wszyscy nieprawdopodobni cynicy” – pisał Gałczyński. A inny lokator tego adresu, poeta Bronisław Maj, wspominał po latach, że „stężenie normalności w tym domu było poniżej błędu statystycznego”.

dzaju gry i zabawy towarzyskie, w których często uczestniczyli wszyscy bez względu na światopogląd.

– To były zupełnie inne czasy i nie można było wyrażać swoich poglądów, jeśli nie były zgodne z obowiązującą linią polityczną partii, niemniej tam nikt się tym specjalnie nie przejmował i między sobą mogli rozmawiać właściwie o wszystkim – mówi Gajczak. Była między nimi niezwykła nić porozumienia. Mieli też swoje „tajemne kody”. Gdy Leon Kruczkowski dopisał zakończenie do porzuconej sztuki Stefana Żeromskiego, na Krupniczej na pytanie „Jak zdrowie?” odpowiadało się: „Jak Kruczkowski – dopisuje!”.

Zresztą to miejsce obrosło w anegdoty i legendy. – Najbardziej lubię tę o Jerzym Szaniawskim, który mieszkał we frontowej części domu na trzecim piętrze i słynął ze swojej skromności. Pewnego dnia jakiś znajomy postanowił się z nim zobaczyć, ale nie chciało mu się wychodzić na trzecie piętro. Stał więc przed budynkiem i zawołał: „Mistrzu! Mistrzu!”. Wtedy zaczęły otwierać się jedno po drugim okna kamienicy i na zewnątrz wyjrzało niemal wszyscy literaci, poza samym Szaniawskim – opowiada Gajczak.

Ale w kamienicy toczono też zażarte polityczne spory. – To było na Krupniczej niesamowite. Ta różnorodność i to, że ci wszyscy różni ludzie, mający często zupełnie odmienne poglądy, nie tylko polityczne, potrafili mieszkać pod jednym dachem i dogadywać się ze sobą – mówi reżyser.

Do historii domu przeszły przekomarzania Adama Polewki ze Stefanem Kisielewskim. Mieli skrajnie odmienne poglądy polityczne i potrafili godzinami dyskutować, popijając wódkę w stołówce. Pierwszy był zapalonym komunistą i działaczem politycznym, drugi uważał siebie za liberalnego konserwatystę. – Pomimo różnic między nimi, możliwa była przyjaźń i życzliwość. Pomagali sobie nawzajem. Nie dotyczy to zresztą tylko Polewki i Kisielewskiego, ale większości mieszkających tam literatów – tłumaczy autor *Kartoteki zebranej*.

*

Dziś, patrząc na niszczący budynek, w którym działa restauracja wegetariańska i punkt kuśnierski, trudno uwierzyć, że kilkadziesiąt lat temu był tętniącym życiem centrum krakowskiej kultury. Ewa Lipska uznała nawet, że przy Krupniczej 22 panuje dziś energia nieżyjących, a samą ulicę określiła wymowną nazwą: „Trupnicza”.

W 2016 roku kamienica miała 23 współwłaścicieli, którzy nie mogli dojść do porozumienia w sprawie dalszych losów budynku. Były próby wykupienia kamienicy przez urząd miasta i utworzenia Muzeum Literatury. – Był pomysł, aby zrobić tam dom pracy twórczej z pokojami Mrożka, Szymborskiej, Różewicza i innych, ale wszystkie te plany spełzły na niczym. Kamienica jest dalej w prywatnych rękach i niestety popada w coraz większą ruinę. Do tej pory nie doczekała się tablicy pamiątkowej, a przecież było to miejsce wyjątkowe – ocenia Gajczak.

„To był jeden nieustanny szmer maszyn do pisania. To była muzyka tego domu” – słyszymy w jego filmie. Powstały tam tysiące wierszy, setki utworów prozą i kilkadziesiąt dramatów. Utwory, które będąc owocem talentów ich autorów, były równocześnie świadectwem polskich losów, polskiej rzeczywistości i zmagania z niełatwą historią. *Dom Literatów, czyli kartoteka zebrana* podejmuje próbę, aby owe dzieje mieszkańców jednego literackiego podwórka uczynić alegorią i obrazem będącym świadectwem epoki i aby ten świat „wiecznych piór” ocalić od zapomnienia.

Czy to było celem Gajczaka? – Odpowiem słowami bohatera *Kartoteki*: „Jeszcze nie wiem. Trudno mi odpowiedzieć, jest dopiero piąta rano, niech pan wpadnie koło południa, może już będę wiedział”.



Dominik Jedliński – autor bloga filmowego Filmbuk (filmbuk.weebly.com), gdzie można znaleźć m.in. pierwszą w języku polskim analizę filmografii amerykańskiego reżysera Scotta Coopera. Miłośnik kina prawniczego. Tworzył działy prasowe największych krakowskich festiwali filmowych: Off Camera oraz Etiuda&Anima. Pisał o kulturze dla wielu mediów.



Bartolomeo Koczenas, *Było sobie drzewo*, technika mieszana, akryl, toner, jesion, 2014–2017



Filozof wygnany

Tekst: Witold Bereś Zdjęcia: © WikimediaCommons (Zygmunta Baumana), Rafał Masłow (Artura Domosławskiego)

Jeszcze trwa konkurs PORTRETY 2020, a tu już wydawcy dają tytuły, które z pewnością rywalizować będą o miano najlepszego dzieła biograficznego roku 2021. Na początek – potężna biografia Zygmunta Baumana, światowej sławy socjologa, którego w Polsce wielu tępi za jego stalinowskie grzechy. A do tego jest i autor, który wzbudził kontrowersje swoją inną biografią, o Kapuścińskim...

Pisze Domosławski: „Wypowiedział myśl, która miała dokładnie taki sam sens jak słowa skierowane do żony na krótko przed śmiercią: wybór komunizmu był w 1945 roku wyborem najlepszym, komuniści mieli najlepszy program dla Polski. Zapamiętałem, że akcentował »najlepszy program dla Polski«. W jego wyborze, jak zrozumiałem, realizm polityczny (Polska znajduje się w radzieckiej strefie wpływów, więc nie ma innego wyjścia) nie odgrywał istotnej roli, może wręcz nie odgrywał żadnej.

Spodobała mi się szczerość tego wyznania przede wszystkim dlatego, że wielu z pokolenia Baumana odżegnywało się po latach od fascynacji ideami komunizmu, pomniejszało własne zaangażowanie, uzasadniało swój akces do systemu i życia publicznego oraz robienie kariery realizmem politycznym właśnie, brakiem szansy na inną Polskę po 1945 roku”.

Tak, ten autor – jak i Bauman, ma swój zdecydowany, lewicowy światopogląd, nie kryje go, potrafi go tłumaczyć i bronić. To wielka zaleta, tym bardziej że książka jest napisana nie tylko żywo, ale nietypowo jak na biografię – to swego rodzaju Polski portret równoległy. Polski sprzed lat siedemdziesięciu i Polski współczesnej. Wtedy był terror, ale i ideologiczne zaślepienie. Teraz nie ma terroru, ale ideologiczne zaślepienie, choć ze znakiem przeciwnym, jest równie mocne.

Dzisiaj pewnie 99 procent krytyków Baumana koncentruje się na jego

mrocznym, choć młodzieńczym epizodzie służby w komunistycznych organach represji. To z pewnością nie jest powód do chwały, ale ani nie powinno się o tym mówić z martyrologicznym jękiem narodowej prawicy, ani też z egzaltowanym zachwytem nad uwiedzeniem ideami lewicy.

Jeśli więc coś mnie uwiera w tej książce, to niepotrzebna obrona bohatera przez autora w każdym miejscu, w każdym czasie i na każdy temat. Trochę na odwrót do biografii Kapuścińskiego: tam Domosławski za wszelką cenę chciał swego mistrza odbrązowić, tu za wszelką cenę chce innego mistrza zasłonić przed atakami.

Wydaje się, że nie trzeba aż tak. Jeśli książkami Baumana zachwycają się najwięksi tego świata, jeśli jego myśl uwrażliwia innych, jeśli otwiera oczy na mądrzejszy świat, to jego błędy popełnione w epoce komunizmu (błędy, bo śladów łajdactw i przestępstw nie ma) w pewnym sensie ulegają zatarciu nie tylko klasycznym tłumaczeniem (zaślepienie, głupota wieku, brak wolności, nieznajomość kontekstu), ale i wielką przemianą Baumana, jego pracą, jego znaczeniem dla filozofii, socjologii i kultury.

A że do końca uważałam, iż lewicowe spojrzenie jest dla Polski ciekawsze? Na tym polega intelektualny dyskurs, aby mierzyć się z różnymi poglądami.

Dlatego odpowiada mi zwięzła recenzja tej książki pióra prof. Michała Bilewicza (Uniwersytet Warszawski): „Domosławski pisząc biografię uczonego, przeprowadził znakomitą diagnozę największych chorób polskiej duszy”.

Artur Domosławski, *Wygnaniec*, Wielka Litera, Warszawa 2021.



Wstąp do Klubu nie wychodząc z domu.



KLUB
PRZYJACIÓŁ
MIESIĘCZNIKA

KRAKÓW

ZOSTAŃ PRZYJACIELEM KULTURY
- a otrzymasz niezwykłą grafikę Daniela Mroza -

Jeśli wpłacisz **1000** złotych, nie tylko zamieścimy w piśmie logotyp Twojej firmy lub instytucji i będziesz otrzymywał upominki związane z pismem, ale dostaniesz też unikalną grafikę Daniela Mroza*

I oczywiście przez cały rok będziemy ci wysyłać miesięcznik w wersji papierowej oraz elektronicznej.

GORĄCO ZAPRASZAMY!

Wpłat – z dopiskiem KLUB PRZYJACIÓŁ „KRAKOWA” – prosimy dokonywać na konto:

BIBLIOTEKA KRAKÓW

pl. J. Nowaka-Jeziorańskiego 3

31-154 Kraków

nr konta: 24 1020 2892 0000 5102 0677 8528

więcej informacji:

www.Miesiecznik.Krakow.pl/zakladka:

Klub Przyjaciół „Krakowa”

email: redakcja@Biblioteka.Krakow.pl

* jedna z przykładowych grafik – za zgodą właścicielki praw: Łucji Mróz-Raynoch

„Kraków”
– kultura na wyciągnięcie ręki

*zaczynaj się
w Krakowie*
KRAKÓW
MIESIĘCZNIK

Byłem Jankiem Muzykantem

Rozmawiała Elżbieta Wojnarowska Zdjęcie: Grzegorz Kozakiewicz

Stanisław Gałoński: Kocham Kraków i muzykę – marzy mi się wspaniały muzycznie, najwyższych lotów Kraków, miasto o randze światowej.

Elżbieta Wojnarowska: Urodził się Pan w małej wsi Ostrowczyk w powiecie Trembowla. Dziś to Ukraina. Proszę opowiedzieć o tamtych czasach. Jak doszło do tego, że podczas wojny z Janka Muzykanta stał się pan muzykiem organistą?

Stanisław Gałoński: Muzyki uczyłem się sam. Skąd wzięła się we mnie taka potrzeba? W mojej rodzinie byli ludzie, którzy lubili grać i śpiewać. Sam też lubiłem śpiewać. Wcześniej także zacząłem służyć w kościele do mszy. Wtedy życie toczyło się przy lampie naftowej. Mój dom miał numer 1 i stał zaraz przy rzece Seret. Przed wojną pokazało się u nas w domu radio. Marki Telefunken. Ponieważ we wsi nie było prądu, trzeba było

mieć jeszcze małym chłopcem i nauczyłem się na nich grać.

A skąd te skrzypce?

Mój najstarszy brat Bronek, wikary, kupił mi je we Lwowie. Zbudował je Franciszek Niewczyk i miały napis Stradivarius! Na tych skrzypczkach pan Rogowski pokazał mi, gdzie są jakie nuty. Ale jak przyszedłem do kościoła na chór i zobaczyłem na fisharmonii klawisze, zapytałem organistę, czy może mi pokazać, gdzie na klawiaturze jest nuta A. Pokazał mi palcem, i to wystarczyło, bo jeśli tu A, to tu C, i wszystko już wiedziałem. I od tej nuty A zaczęło się moje wykształcenie muzyczne. Znałem tylko klucz wioliny, który jest potrzebny do skrzypiec, klucza basowego nie znałem. Ale widziałem, że jest wydrukowany i że oznacza jakieś nuty. I znowu musiałem prosić organistę, aby mi pokazał, gdzie jest F.

Wybuchła wojna...

W 1939 roku wkroczyli Sowieci, a w 1941 – Niemcy, którzy szli na Stalingrad. Zaczęły się wywózki do Niemiec na przymusowe roboty. Miałem na szczęście tylko 12 lat, ale organista uciekł, bo miał wtedy 30 lat, zniknął. Dlatego w niedzielę na mszy była cisza, nie miał kto grać. Wtedy poprosiłem księdza, aby pozwolił mi zagrać. W końcu się zgodził. I tak zostałem organistą, a nawet dyrygentem kościelnego chóru. 9 maja 1945 roku ogłoszono koniec wojny. Niestety, nasze ziemie nie należały już do Polski. Wyjechaliśmy więc wraz z innymi rodzinami pociągiem na Zachód.

Długo jechaliście?

Cały miesiąc. Nie wiedzieliśmy, gdzie są polskie granice. W końcu dojechaliśmy do Stróż, gdzie mieszkał mój najstarszy brat Bronek. Potem brat został przeniesiony do Raciborza, który był miastem w 80 procentach spalonym. Smród tej spalenizny czuć było jeszcze przez kilka lat. Brat zabrał nas ze sobą do Raciborza, gdzie został proboszczem, i w tym zniszczonym mieście znalazło się mieszkanie, gdzie mogliśmy się zatrzymać. W Raciborzu zacząłem chodzić do liceum matematyczno-fizycznego i tam zdałem maturę. Zacząłem też ćwiczyć na fortepianie i prowadziłem chór, ale cały czas uczyłem się sam.

A po maturze?

Po maturze oświadczyłem ojcu, że chcę być muzykiem i jechać do Krakowa.

Dlaczego Kraków?

Jak przyszedłem do kościoła na chór i zobaczyłem na fisharmonii klawisze, zapytałem organistę, czy może mi pokazać, gdzie na klawiaturze jest nuta A. Pokazał mi palcem i to wystarczyło, bo jeśli tu A, to tu C, i wszystko już wiedziałem. Od tej nuty A zaczęło się moje wykształcenie muzyczne.

mieć akumulatory, których baterie były ładowane co jakiś czas w miasteczku u żydowskiego kupca. Ciężkie to było, a trzeba było nieść cztery kilometry. Druć anteny miał chyba ze 30 metrów długości i zwisał od jednej do drugiej topoli... Ale przez radio świat się troszeczkę przybliżył. Jak już posprzątałem po mszy, to biegłem na chór, bo tam na górze był instrument. Ten instrument jeszcze jest, choć został przeniesiony do cerkwi.

To była fisharmonia?

Tak, firmy PAYKR z Wiednia. I był organista, który grał na tej fisharmonii. To było wszystko, cały mój świat. Nuty poznałem stosunkowo wcześniej, ponieważ mój ojciec, który też lubił muzykę, znał muzyka z sąsiedniej wsi, pana Rogowskiego. A pan Rogowski znał nuty i powiedział mojemu ojcu, że ja też powinienem się ich nauczyć. Wtedy ojciec kupił mi mały zeszyt nutowy – jaki byłem szczęśliwy! Dostałem też skrzypczki trzycieterciowe, mniejsze niż normalne, bo by-



Stanisław Gałoński (1930) – dyrygent i kompozytor. Studiował muzykologię na UJ, potem dyrygenturę w PWSM w Krakowie. Założyciel Capelli Bydgosciensis pro Musica Antiqua z Zespołem Madrygalistów w Bydgoszczy, następ-

nie Capelli Cracoviensis w Krakowie. Wieloletni dyrygent m.in. Filharmonii Krakowskiej. Inicjator festiwalu Muzyka w Starym Krakowie, Starosądeckiego Festiwalu Muzyki Dawnej i innych międzynarodowych imprez muzycznych.

Miałem jeszcze drugiego brata Kazika, też księdza, który widział, że interesuję się muzyką i chciał mi pomóc. Pojechał ze mną do Krakowa. Średnia Szkoła Muzyczna była wtedy na ulicy Krowoderskiej. Na egzaminie wstępnym pani egzaminatorka powiedziała mi, że mam słuch absolutny.

I co Pan na to?

Nie wiedziałem, co to znaczy, ale domyślałem się, że nie jest źle (śmiej). Przyjęto mnie na flet i fortepian, uczył mnie sam dyrektor Taube. Pomyślałem wtedy, że może poszedłbym jeszcze na muzykologię? Uniwersytet mnie pociągał. Wypełniłem druk, zaniósłem i usłyszałem: „We wtorek o godzinie ósmej pierwszy wykład” (śmiej). Tak to było – bez egzaminów, całkiem inne czasy.

Potem wchodzę na seminarium, a obok mnie siedzą studenci Parzyński, Schaeffer, Harschin, Wanda Bogdany, Nikitiuk. To wtedy byli moi koledzy.

Wtedy jeszcze pasjonowała Pana muzykologia...

Na muzykologię chodziłem jeszcze przez rok, równocześnie kończyłem średnią szkołę muzyczną. Ale już na początku pierwszego roku studiów zgłosiłem w szkole muzycznej, że chcę zrobić dwa lata w jednym roku. Chodziłem więc na zajęcia wyższych lat w szkole muzycznej, i równocześnie na muzykologię. Aby mieć z czego żyć, dorabiałem jako organista w kościele Świętej Barbary na placu Mariackim... Byłem tam przez dwanaście lat organistą. A po dwóch latach muzykologii

zdałem egzamin do Wyższej Szkoły Muzycznej na dyrygenturę.

Skąd ta dyrygentura?

Bo dyrygent to ktoś taki, co musi wszystko umieć (śmiej). A poważnie – uważałem, że muszę być dobrym zawodowym muzykiem. Na flecie grałem dwa lata i z pewnym sukcesem, bo już po drugim roku angażowano mnie w Filharmonii na niektóre koncerty, ale to mnie nie satysfakcjonowało. Mój profesor od fletu Jan Skawiński – pierwszy flecista w Filharmonii, był niezadowolony, gdy dowiedział się, że idę do Wyższej Muzycznej na dyrygenturę. Powiedział: „Wam się wszystkim w głowie przewraca! Chciecie być dyrygentami, bo tam tylko pałeczką się macha, a tu trzeba grać!” (śmiej). Powiedziałem sobie jednak wtedy, że przecież nigdy nie będę wirtuozem flecistą, ale dyrygentem jeszcze mogę być. Dostałem się na dyrygenturę. Studia trwały pięć lat.

Odnalazł się Pan tam?

Ja nigdy nie byłem zagubiony! (śmiej). W Wyższej Szkole Muzycznej wziął mnie do swojej klasy dyrygent, który w tym czasie był szefem Filharmonii, Witold Krzemiński. Po dwóch latach na jego miejsce przyszedł nie mniej wybitny Bohdan Wodiczko. I zostałem

lata, potem przenieśliśmy się do Opery w Teatrze Słowackiego, co mi bardziej odpowiadało, bo tam byłem dyrygentem prowadzącym również spektakle operowe. W Operze pracowałem także trzy lata.

Doszły sprawy prywatne...

Ożeniłem się. Po ślubie zamieszkaliśmy w Modlnicy w wiejskim domu bez ogrzewania. Było ciężko, ale nie to zdecydowało o decyzji opuszczenia Krakowa. Po prostu usłyszałem kiedyś przy okazji radiowej transmisji koncertu z Filharmonii Pomorskiej w Bydgoszczy, że tamtejsza dyrekcja poszukuje dyrygenta do założenia orkiestry kameralnej. Pomyślałem, że będzie to dla mnie ciekawe doświadczenie. Moja kandydatura została przyjęta i tak na 10 lat wyładowaliśmy w Bydgoszczy.

Tu również nadzieje na otrzymanie mieszkania szybko się rozplynęły i przez kilka lat mieszkaliśmy w małym pokoiku biurowym w filharmonii, ale te „pionierskie” lata były niezwykle ciekawe, rozwojowe i przynoszące sukcesy. Udało mi się pozyskać młodych, dobrych muzyków. Początkowo założyliśmy orkiestrę muzyki dawnej Capella Bydgostiensis, grającą na instrumentach historycznych, które trzeba było sprowadzać z zagranicy lub rekonstruować u nas. W Polsce była to pierwsza tego typu orkiestra. Później Capella Bydgostiensis rozszerzyła repertuar i skład zespołu o muzykę klasyczną oraz późniejszą. Ważnym doświadczeniem wyniesionym z Bydgoszczy był współudział w międzynarodowych festiwalach Musica Antiqua Europae Orientalis.

I wreszcie powrót do Krakowa...

Tak. W roku 1970 przyjmując propozycję Jerzego Katlewicza z Filharmonii Krakowskiej, aby stworzyć orkiestrę kameralną, podjąłem decyzję powrotu do Krakowa. Spotkałem wtedy na Rynku Mariana Wallek-Walewskiego, który zachęcał mnie tymi słowami: „Włosy mi wyrosną na dłoni, jak uda ci się coś tutaj zrobić”. Pesymistycznie oceniał krakowską aurę (śmiej).

Tymczasem udało się!

Bardzo tego chciałem. W Krakowie objąłem przejściowo w Filharmonii kierownictwo chóru i rozpocząłem organizowanie orkiestry kameralnej i zespołu wokalnego pod nazwą Capella Cracoviensis. Nie miałem problemu ze skompletowaniem dobrych muzyków. Panował duży entuzjizm. Od początku założyłem, że będzie to orkiestra o szerokim profilu artystycznym. Owszem, muzyka dawna pozostała w kręgu moich zainteresowań, ale ponieważ nie było odpowiedniego instrumentarium, skupiłem się na zespołach wokalnych: powołałem zespół madrygalistów. Zaczęliśmy też kupować pojedyncze instrumenty historyczne, a przede wszystkim zdobywać pieniądze na klawesyn, którym nie dysponowała żadna instytucja muzyczna. Dla uzyskania efektu klawesynu preparowano czasem

Capella Cracoviensis występowała regularnie w Krakowie i gościnnie w różnych miastach oraz w większości krajów europejskich, Stanach Zjednoczonych, Kanadzie, Japonii, Chinach i Korei. Dokonaliśmy wielu nagrań muzyki różnych epok, także współczesnej. W ciągu ponad trzydziestu lat działalności udało mi się stworzyć markę, która procentuje do dziś.

studentem Wodiczki. Równocześnie chodziłem na Uniwersytet na muzykologię, ale pod sam koniec zdecydowałem się z tych studiów zrezygnować.

A jak z pracą? Niełatwo znaleźć pracę po dyrygenturze.

Przez całe studia i potem, aż do 1960 roku byłem organistą, ale przecież nie o to chodziło. Kiedy zrobiłem dyplom na dyrygenturze, w 1955 roku, pojechałem do Warszawy, bo wtedy jeździło się do Ministerstwa Kultury szukać pracy. I prawie na pniu pracę dawali. No i po jakiś dwóch tygodniach przychodzi telegram, że mogę zostać trzecim dyrygentem w Kielcach i prowadzić chór. Jechać z Krakowa do Kielc na trzeciego dyrygenta jakoś nie miałem ochoty. Wtedy okazało się, że w krakowskiej Filharmonii będą potrzebować dyrygenta chóru. Zgłosiłem się i zostałem przyjęty. Byłem chórmistrzem przez trzy

fortepian. Dzisiaj brzmi to nieprawdopodobnie i wręcz komicznie (śmiej się).

Capella Cracoviensis szybko się rozwijała.

Występowała regularnie w Krakowie i gościnnie w różnych miastach oraz w większości krajów europejskich, Stanach Zjednoczonych, Kanadzie, Japonii, Chinach i Korei. Dokonałmy wielu nagrań muzyki różnych epok, także współczesnej. Wykonywaliśmy oratoria, wprowadziliśmy tradycję wykonywania *Requiem* Mozarta w Dzień Zaduszny, współpracowaliśmy ściśle z Muzeum Narodowym. Pamiętny jest cykl *ARS VIVA* łączący muzykę, słowo i obraz. Regularnie występowaliśmy w komnatach wawelskich na zaproszenie dyrektora Zamku. W ciągu ponad trzydziestu lat działalności udało mi się stworzyć markę Capella Cracoviensis, która procentuje do dziś.

Osobnym rozdziałem w Pana drodze zawodowej stały się festiwale.

Od 1975 roku przez 14 lat Starosądecki Festiwal Muzyki Dawnej i od 1976 do dzisiaj Muzyka w Starym Krakowie. Pomysł festiwalu w Starym Sączu zrodził się w czasie naszych z żoną górskich wędrówek. To historyczne, piękne miasto, kolebka polskiej muzyki średniowiecznej, prosiło się o to. Pomysł padł na podatny grunt. Do dzisiaj wspominamy ten czas z sentymentem.

Chociaż oczywiście były to czasy, gdy trzeba było o wszystko zawalczyć. Ale Festiwal w Starym Sączu od początku wzbudził wielkie zainteresowanie publiczności i wykonawców. Do Starego Sącza przyjeżdżali wybitni muzycy i zespoły. Chlubię się tym, że dla Polski odkryłem Jordi Savall, który tu właśnie pierwszy raz wystąpił na moje zaproszenie.

Później narodził się drugi festiwal – Muzyka w Starym Krakowie.

To festiwal o innym charakterze, w moim zamysle niezamykający się w określonej epoce ani tematyce. Najważniejsze jest wykonawstwo na najwyższym poziomie, co przeważnie wiąże się kosztami. Dlatego przyjęliśmy zasadę – artyści z najwyższej półki, a maksymalna oszczędność w innych wydatkach.

Są też mniej jasne strony w Pana działalności.

Jest to kilkanaście lat trwająca walka o budowę sali koncertowej w Cichym Kąciku. Od dawna upomina się o to krakowskie środowisko ludzi rozumiejących wagę problemu. W wielu miastach na świecie znajdują się wspaniałe historyczne sale koncertowe, na przykład Carnegie Hall, Sala Pleyela, Musikverein. Kraków jakoś nigdy o to nie zadbał. Może w związku z tym nie miał wielkich tradycji koncertowych. Jedyną inwestycją wzniesioną od podstaw, częściowo dla muzyki, był wybudowany w 1893 roku Teatr Miejski, wystawiający zarówno opery, jak i sztuki teatralne. Tak zostało do czasu wybudowania w 2008 roku Opery Krakowskiej. Miejskie orkiestry Capella Cracoviensis i Sinfoniet-

ta Cracovia są nadal bezdomne, przenoszone z lokali zastępczych z miejsca na miejsce. Brak sali koncertowej rzutuje na całe życie muzyczne Krakowa i często powoduje konieczność rezygnacji z ważnych wydarzeń. W celu zmiany tej sytuacji powołaliśmy jako projekt obywatelski w gronie trzech krakowskich dyrygentów i amerykańskiego śpiewaka (Stanisław Krawczyński, Józef Radwan, Kazimierz Gański i ja) fundację, która postawiła

Pomysł festiwalu w Starym Sączu zrodził się w czasie naszych z żoną górskich wędrówek. To historyczne, piękne miasto, kolebka polskiej muzyki średniowiecznej, prosiło się o to. Do Starego Sącza zaczęli przyjeżdżać wybitni muzycy i zespoły.

za cel doprowadzenie do powstania miejskiej sali koncertowej z siedzibą Capelli Cracoviensis, której byłem dyrektorem. Zaczęło się dobrze. Miasto przychyliło się do tej inicjatywy, przekazując Fundacji w użytkowanie teren w najlepszej z możliwych lokalizacji, w Cichym Kąciku. Poparcie okazały naszej inicjatywie, oprócz przyjaciół ze świata, także osobistości jak Andrzej Wajda, Wisława Szymborska, ks. Józef Tischner, Ida Haendel, Stanisław Skrowaczewski, Jordi Savall czy Krzysztof Penderecki.

Fundacja doświadczyła wielkiej bezinteresownej pomocy i ofiarności.

Tak. Dzięki niej i pracy Fundacji gotowy jest projekt obiektu (z pozwoleniem na budowę). To dodaje mi sił. Mogę też liczyć na pomoc prezydenta miasta. Ani na chwilę nie tracimy nadziei na rychłe wybudowanie w Cichym Kąciku sali koncertowej. Zdaję sobie sprawę, że kończy się mój czas aktywności zawodowej. Są jednak młodzi następcy, zapaleńcy, którzy podejmą pałeczkę. Dlatego nie boimy się snuć planów.

Niestety, czasy przyszły jednak ciężkie, jakich nikt się nie spodziewał. Nikt nie wie, jak to wszystko dalej w Polsce i na świecie się potoczy...

Jednak staram się myśleć pozytywnie. Nigdy przecież się nie poddałem. Mimo trudnej drogi życiowej uważam, że jestem człowiekiem szczęśliwym. Chociaż nie wszystko układało się tak, jakbym chciał, to ogólnie los mi sprzyjał. Wierzę, że tak będzie nadal.



Elżbieta Wojnarowska – z wykształcenia jest przyrodnikiem i... scenarzystką. Ale również pieśniarką i aktorką (m.in. należała do zespołu Teatru STU), autorką powieści, baśni dla dzieci, sztuk teatralnych i scenariuszy. W końcu – a może przede wszystkim – poetką.



Wśród duchów i w blasku księżycy

Tekst: Magda Huzarska-Szumiec Zdjęcie: Przemysław Szalecki

Ma na imię Bartolomeo, na nazwisko Koczenasz. I dużą potrzebę zmieniania świata, choć czasami ktoś ukradnie mu księżyc. Poznajcie artystę sztuk wizualnych, który zmusza nas do tego, byśmy dostrzegli, jak w Krakowie teraźniejszość przenika się z przeszłością.

Przestrzeń miejska jest jego środowiskiem naturalnym. Mknij ulicami Krakowa na rowerze, kątem oka obserwując przechodniów i starając się dostrzec zachodzące między nimi interakcje. Fascynują go te zwykłe, codzienne relacje między panią z warzywniaka a odwiedzającym ją emerytem. Takie, które – jak twierdzi – zniknęły z Rynku. Bowiem w centrum Krakowa wszystko jest sztuczne, nastawione na turystów, którzy wyparli stąd niegdyś mieszkających. Tych ostatnich, którzy się jeszcze nie poddali, można było spotkać w czasie lockdownu, kiedy krążyli niczym duchy po opustoszałym placu.

– Fajnie było wtedy sobie z nimi pogadać. Usiąść na murku z listonoszem, który skarżył się, że nie ma komu przynosić listów, zaczerpnąć trochę pozytywnej energii od siostr duchaczek czy popatrzeć na starsze małżeństwo, czerpiące z hydrantu wodę dla gołębi – opowiada Bartolomeo Koczenasz. Właśnie takich ludzi umieszcza w swoich realizowanych w przestrzeni miejskiej pracach.

Ale nie bezpośrednio. Konfrontuje ich z dawnymi mieszkańcami Krakowa, których zna ze starych fotografii robionych na początku XX wieku przez Ignacego i Natana Kriegerów. Tak jak w zrealizowanym dwa lata temu na ulicy Szpitalnej projekcie *Poza przeszłością i teraźniejszością*. Wówczas to przechodnie mogli zobaczyć na fasadach kamienic serię wielkoformatowych wydruków-kolaży, zrobionych ze zdjęć przedstawiających dawnych i dzisiejszych krakowian. Wycinał ich sylwetki, nadając jednym czerwony, a drugim niebieski kolor, a następnie nakładał je na siebie. Ludzie obserwowali to ze zdziwieniem, odnosząc wrażenie, że przez fasady domów przenikają duchy.

– Duchy przeszłości ze starych fotografii pojawiły się u mnie dzięki Kasi Zimmerer podczas przedsięwzięcia *Szlaki pamięci. Getto 1941–1943*. Przywoływała w nim mieszkańców getta, a ja na jej opowieść nakładałem obraz. Wtedy pierwszy raz zobaczyłem zdjęcie przedstawiające tramwaj przejeżdżający obok murarzy stawiających mur dzielnicy żydowskiej. Nie mogłem o nim zapomnieć. Niby nic się na nim takiego nie działo. Ktoś wykonywał swoją pracę, ktoś może do niej jechał. Poruszyło mnie to, że ludzie w tym tramwaju legitymizowali swoją biernością to, co miało się wydarzyć w getcie. Dziś przejeżdżający tą samą trasą krakowianie także nie zwracają na to miejsce uwagi. Chciałem to zmieścić – mówi Bartolomeo.

Tak powstała instalacja *Trzy perspektywy*, która zawisła na fasadzie domu na rogu ulic Węgierskiej i Limanowskiego. Do jej wykonania posłużyły dwie przenikające się żaluzjowo fotografie: historyczna z 1941 roku i współczesna prezentująca dokładnie to samo

ujęcie. Trzecią, tytułową perspektywę stanowiło spojrzenie widza, który mógł sobie uświadomić, czym było to miejsce, a także skonstatować, że miasta nie można zrozumieć, patrząc na nie wyłącznie tu i teraz. Instalację w końcu zniszczyli robotnicy, którzy zabrali się do remontu domu. Jej kopię możemy obecnie oglądać na wystawie *Ślady* w Fabryce Schindlera, gdzie zyskała inny, ale równie ciekawy kontekst.

Na pewno jednak nie tak dwuznaczny, jak wyrzeźbiony przez Bartolomeo księżyc, tylko w naszym kraju, za sprawą pewnych bliźniaków, kojarzący się ze słowem „kradzież”. A było z nim tak: na zdjęciach Ignacego Kriegera artysta zobaczył galary, którymi niegdyś spławiano Wisłą do Gdańska węgiel. Zaczął się zastanawiać, jaki współczesny sens można nadać tym unikatowym barkom. W efekcie powstała seria kolaży przedstawiających transport nimi księżycy. – Księżyc pasował mi do ruchu tafla wody. Na jednym z wernisaży opowiedziałem o tym wiceprezydentowi Andrzejowi Kuligowi, a on uznał to za świetny pomysł. Dzięki temu przez miesiąc płynęliśmy do Gdańska, a ja kręciłem film *Zapiski z Księżycy*, który pierwszy raz pokazuje Wisłę z drona. Gdy dopłynęliśmy do zabytkowej Stoczni Cesarskiej, gdzie teraz rezydują artyści, ktoś ukradł księżyc. Po prostu go zabrał i utopił w wodzie. Na szczęście nurkowie go odnaleźli i teraz czeka na swoje miejsce w stoczni – dodaje Bartolomeo, który obecnie zajmuje się zdjęciami wykonanymi w czasie pandemii.

Kiedy wszyscy siedzieliśmy w domach, Bartolomeo wsiadał na rower i jechał na Rynek. Zawsze miał ze sobą plik archiwalnych fotografii Kriegerów. Stawał dokładnie w tych samych miejscach co oni i słuchając gruchających gołębi, robił zdjęcia Rynku, przez który niczym duchy przemykali ostatni jego mieszkańcy. Jeszcze nie wie, co dalej zrobi z tym ogromem materiału. Możemy być jednak pewni, że idąc któregoś dnia przez miasto, natkniemy się na niepokojące instalacje, które zmuszą nas do zatrzymania się i dostrzeżenia, jak teraźniejszość przenika się w Krakowie z przeszłością.

Bartolomeo Koczenasz jest artystą sztuk wizualnych, absolwentem filozofii na UJ i współzałożycielem CSW „Wiewiórka”. W latach 2016–2018 prowadził Art House. Jako laureat festiwalu Art Boom zrealizował mural *Barcelona*. Współorganizuje wydarzenia o charakterze społeczno-artystycznym: *Ulica Józefa*, *Wodna Masa Krytyczna* i *Modraszek Kolektyw*.



Magda Huzarska-Szumiec – dziennikarka, teatrolożka, jurorka Marki Radia Kraków. Miłośniczka win o wszystkich kolorach...

Odpowiada Bartolomeo Koczenasz

Kiedy myślisz o sobie, że jesteś szczęściarzem?
Kiedy świeci słońce i jest czyste powietrze.

W jakich momentach uważasz, że masz pecha?
Kiedy coś niefortunnego zdarza się po raz pierwszy.

Co nadaje twojemu życiu sens?
Humanizm.

Pierwsze myśli, jakie miewasz po przebudzeniu?
Kawa czy herbata?

Co cię napędza do tego, żeby rano wstać z łóżka?
Czas, który przemija.

Przedmiot, bez którego nie potrafiłbyś żyć?
Nożyk do tapet.

Jaki masz ulubiony film?
Zielona piękność w reżyserii Coline Serrau.

Którą książkę zabrałbyś na bezludną wyspę?
Księgę Zhuangzi.

Muzyka, która cię inspiruje?
Muzyka grupy Can.

Jaki okres w historii sztuki miał na ciebie największy wpływ?
Rozwinięcie optyki w malarstwie w XVI wieku.

W jakich miejscach najlepiej odpoczywasz?
Pośród wód i drzew.

Czy istnieją w Krakowie miejsca, o których myślisz, że są twoje?
Jest taka jedna skała nad wodą, którą znam bardzo dobrze.

Gdzie czujesz się niekomfortowo?
Przy śmierdzącym stopniu wodnym Dąbie.

Gdybyś nie mieszkał w Krakowie, to gdzie najchętniej byś osiadł?
Pewnie w Gdańsku lub Akwitanii.

W jakich kolorach jawi ci się przeszłość, a w jakich przyszłość?
Przeszłość i przyszłość wydają mi się przesiąknięte całą paletą barw.



Bartolomeo Koczenas, rzeźba *Księżyc* powstała w ramach projektu „Dar krakowian dla Pomorza”, 2018



Złota rączka z Andrychowa

Tekst: Marta Gruszecka

„Najstarszy parasol, który naprawiałem, miał 80 lat. Do porządku doprowadziłem też stuletnią maszynę do szycia. Wystarczyło wyregulować stopkę, uzupełnić płytkę ściegową i wyczyścić. Teraz działa elegancko” – mówi pan Jan Wójcik z Andrychowa, jedyny na południu Polski parasolnik, mechanik maszyn do szycia i złota rączka w jednym.

Zapytany o rok urodzenia bez zastanowienia odpowiada: – Rocznik wojenny. 1943.

Urodził się w miejscowości Nieczajna w powiecie dąbrowskim. Tam ukończył szkołę podstawową, a potem wyruszył w Polskę w celu dalszej edukacji. Naukę kontynuował w Zasadniczej Szkole Zawodowej przy Emila Zegadłowicza 36 w Wadowicach. – Dyrektorem był wtedy pan Śliwa – podkreśla pan Jan i zamyśla się: – Dawne to czasy... Miło je wspominam.

Szkołę opuścił jako dyplomowany mechanik. Potem pracował w Nowej Hucie, Lidzbarku Warmińskim, zaliczył też wojsko. I wziął ślub. Z artystką, absolwentką szkoły plastycznej, którą poznał jeszcze w rodzinnej miejscowości.

Za namową żony przeprowadził się do Andrychowa – miasteczka na drodze łączącej Kraków z Bielsko-Białą, słynącego z przemysłu bawełnianego i włókienniczego. Właśnie ten sektor dał mu zatrudnienie na kilkanaście lat. – Do 1996 roku pracowałem w Zakładach Przemysłu Bawełnianego „Andropol”. Zrezygnowałem, bo po tylu latach pracy ze szkodliwymi odczynnikami zdrowie zaczęło się psuć. Przeszedłem na rentę, potem na emeryturę. Ale nigdy nie przestałem pracować.

Już w sierpniu 1985 roku w budynku przy Krakowskiej 128 otworzył punkt naprawy parasoli oraz maszyn do szycia i jako złota rączka dorabiał po godzinach do pensji w Andropolu. – Przede mną pracował tutaj jeden parasolnik, ale podobno źle się prowadził i miasto wypowiedziało mu lokal. O poszukiwaniach nowego dowiedziała się żona. Zdecydowałem, że podejmę się tej pracy. Dodatkowo zaproponowałem usługę naprawy maszyn do szycia. Miałem z nimi wcześniej do czynienia, znałem się na rzeczy – podkreśla.

Młodość przy parasolach

Zainteresowanie usługą w pierwszych dniach działalności przerasta jego oczekiwania. Kolejka do zlokalizowanej na pierwszym piętrze pracowni kończy się na ulicy. – Jednego dnia przyjmowałem nawet sześć-

dziesiąt parasoli! Na początku nie miałem wprawy, szło mi wolno. Dlatego terminy odbioru wyznaczałem do pół roku. Przy takiej liczbie parasoli szybko nauczyłem się jednak co i jak – opowiada pan Jan. Zaznacza, jak bardzo był zajęty. – W dni powszednie kończyłem pracę w Andropolu i zaczynałem w pracowni. Siedziałem tutaj nawet do godziny 23. Wolne soboty? Skąd! Remontowałem od rana do wieczora. Całą młodość spędziłem przy parasolach – śmieje się pan Jan.

Ludzie wyrzucają parasole, bo tuż za rogiem mogą kupić nowe. Tyle że te z targów czy sklepów to plastikowe lub aluminiowe dziadostwo. Nie warto tracić 20 zł – jeden powiew wiatru i pieniądze wyrzucone w błoto. Lepiej zainwestować, będzie na dłużej.

I dodaje: – W sklepach niczego nie było, to ludzie szanowali swoje rzeczy. Zepsuło się? Trzeba naprawić. Czasem szło zwariować, ale nigdy, nawet gdy miałem ręce pełne roboty, nie odmówiłem pomocy. Za bardzo lubię swoją pracę.

Parasol za 20 zł? Dziadostwo!

Pan Jan podkreśla, że dzisiaj aż tylu chętnych już nie ma. – Ludzie wyrzucają parasole, bo tuż za rogiem mogą kupić nowe. Tyle że te z targów czy sklepów to plastikowe lub aluminiowe dziadostwo. Nie warto tracić 20 złotych – jeden powiew wiatru i pieniądze wyrzucone w błoto. Lepiej zainwestować, będzie na dłużej.

Na brak zainteresowania andrychowski parasolnik nie może jednak narzekać. Klienci przynoszą parasole damskie (jak tłumaczy: te mniejsze) oraz męskie (te większe), proszą też o naprawę parasoli ogrodowych, a nawet huśtawek. – Podziurawione albo



zużyte płótno? Pokrywam parasol nowym, impregnowanym materiałem, tak by nic nie przeciekało, i przyszywam. Zepsuty stelaż, złamany drut, urwana końcówka? Wszystko da się naprawić. By solidnie wyremontować

Parasolnik to zawód na wyginiećciu.

parasol, najlepiej w całości go rozebrać, a potem poskładać na nowo. To dużo pracy. Ale jaka satysfakcja! Ostatnio razem z żoną naprawialiśmy pokrowiec na huśtawkę. Kiedyś szyliśmy pięciometrowe pokrycie na parasol do restauracji w Wieliczce. Żona jest po szkole plastycznej, też zna się na płótnach – przyznaje z dumą pan Jan.

Haftowany 80-latek

Połowę jego pracowni zajmują narzędzia, różne rodzaje śrubokrętów i kluczy oraz części do naprawy. Jeszcze niedawno sprowadzał je z Częstochowy. – Druty, suwaki, koronki,

nakrętki, płótna... Na początku po towar jeździłem sam, potem zacząłem składać zamówienia telefonicznie. Dobrze, że przez te lata zaopatrzyłem się w wiele części niezbędnych do naprawy. Dziś nigdzie już ich nie dostanę. Producent zamknął zakład.

Podlicza, że przez 35 lat mógł naprawić kilkanaście tysięcy parasoli. Najstarszy miał 80 lat. – Trafił do mnie kilka lat temu. Był piękny, haftowany. Poprawiłem, co trzeba, i wrócił do formy. Jeszcze posłuży.

Bez fuszerki

Z powodu pandemii, w obliczu której wiele osób zaangażowało się w szycie maseczek, klienci przynoszą do pana Jana... coraz więcej maszyn do szycia. – Mechanizm maszyny jest bardziej skomplikowany niż zegarka. Napędza ją silnik, poza nim tworzą go różne małe części – igielnica, bębenek, korbowód, dźwignia, cięgno, łapka, szpulka czy transporterek. Maszyna nie może łączyć igieł, zrywać nitki, zacinać się albo zbyt głośno pracować. By działać bez zakłóceń, musi być

odpowiednio wyregulowana i nasmarowana – wyjaśnia.

Naprawa maszyny zajmuje od kilku godzin do kilku dni, zależy, co się zepsuło. – Jeśli uszkodzenia są niewielkie, maszynę można odebrać po trzech, czterech godzinach. Poważne usterki remontuję dłużej. Czasem ludzie smarują silnik olejem jadalnym, bo myślą, że zadziała jak wazelinowy, przeznaczony specjalnie dla maszyn. Nic bardziej mylnego. Jak tylko olej odparuje, tworzy się z niego guma. Maszyna podczas pracy chwytą go i po chwili się zacina. Bez rozebrania jej na części pierwsze i generalnego wyczyszczenia nie ruszy. Do tego trzeba jeszcze wyszlifować zanieczyszczone elementy, poskładać je od nowa... To zajmuje nawet i trzy dni – mówi pan Jan. I zapewnia: – Siedzę w pracowni dotąd, aż wszystko będzie działać. Ode mnie maszyna ma wyjść jak nowa. Żadnej fuszerki. Każdemu klientowi wręczam przy odbiorze próbkę przeszytego jego maszyną materiału.

Właśnie dlatego pana Jana odwiedzają klienci z całej Polski. O pomoc zarówno w naprawie parasoli, jak i maszyn proszą osoby z Bielska-Białej, Dolnego Śląska, Krakowa, Nowego Sącza, Wadowic. Zdarzyli się klienci, którzy wiedząc, jaką jest złotą rączką, specjalnie przyjechali z Niemiec.

W styczniu tego roku trafiła do niego maszyna z sąsiednich Bulowic. Nie była jaka, bo... stuletnia. Najstarsza z ponad tysiąca, które naprawił w ciągu całej swojej działalności. – Klient powiedział, że to maszyna cioci, obecna w rodzinie od zawsze. Z napędem nożnym, prosto szyjąca, jeszcze bez możliwości tworzenia zygzaków. Niestety, ciągnęła materiał, nie dało się normalnie szyć. Wystarczyło tylko wyregulować stopkę, uzupełnić płytkę ściogową i solidnie wyczyścić. Dziś jest w Ujsołach i działa bez zarzutu – uśmiecha się.

Zdaniem mistrza starsze maszyny są łatwiejsze do naprawy niż nowsze, plastikowe, głównie dlatego że wciąż można zdobyć do nich części i bez problemu je wymienić. Nowe modele są produkowane tak, by szybciej się psuły. – Dobra maszyna może służyć nawet pół wieku. Wystarczy o nią dbać i naprawiać, a nie wynosić na śmietnik. Gorzej, jeśli w hurtowniach brakuje części. Wtedy nic na to nie poradzę – smuci się mechanik.

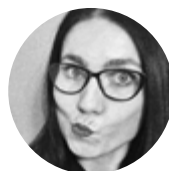
Kto, jak nie pan?

W sierpniu minęło 35 lat, odkąd pan Jan prowadzi swoją pracownię. To miejsce z duszą, zapewne jedyne takie na świecie. O jego istnieniu informują trzy kolorowe szyldy na zewnątrz i wewnątrz budynku, z ręcznie wyklejonym napisem: „Naprawa parasoli i maszyn do szycia. Polecamy. Pokrycia parasoli płótnem. Czynne od 12 do 14.30”. Do pracowni prowadzą wąskie, skrzypiące schody, podczas wchodzenia należy uważać na głowę. W środku jest kolorowo, schludnie, można

odnieść wrażenie, że czas się tam zatrzymał. Ale nie dla pana Jana. Ostatnio zastanawiał się nad zamknięciem warsztatu. – Przez moment pomyślałem: to już nie te lata, wystarczy tych maszyn i parasoli. Kiedy podzieliłem się tą myślą z klientami, wszyscy zaczęli nalegać, żebym zmienił zdanie. Komu ja parasol czy maszynę oddam? Przecież kogoś takiego jak pan już nie ma! – mówili mi. Może mają rację? – pomyślałem. Zwłaszcza że chętnie naprawiam też inne rzeczy – torebki, wózki, walizki na kółkach... Zależy, o co ludzie poproszą – uśmiecha się pan Jan. I nieśmiało dodaje: – Właściwie wszystko umiem. Poza mechaniką znam murarkę, elektrykę, wodę doprowadzę. Sam wyremontowałem przecież swoją pracownię, wcześniej to pomieszczenie było norą.

Tak zaleca pani doktor

Rzeczywiście, złotej rączki z jego umiejętnościami próżno szukać. Parasolnik to zawód na wyginiecie. Maszynę, owszem, można oddać do serwisu, ale by poczuć klimat prawdziwej pracowni, a przy okazji naprawić parasol, torbę czy walizkę, trzeba wybrać się do Andrychowa. – Było kilku parasolników w okolicy, między innymi w Bielsku-Białej, Sosnowcu czy Tarnowie. Dziś wszystkie zakłady zamknięte, prowadzili je jeszcze starsi ode mnie – mówi pan Jan. Zapewnia, że dopóki starczy mu sił, będzie pracował normalnie. – Bardzo lubię ten zawód, innego sobie nie wyobrażam. Dzięki niemu mogę kontaktować się z ludźmi, a nie siedzieć przed telewizorem i trzymać nogi na ławie. Przychodzą do mnie tak różne osoby! Lekarze, nauczyciele, profesorowie, socjolodzy, siostry zakonne, księża. Każdy przyniesie inną wieść ze świata, od każdego czegoś przy okazji się dowiem, z niektórymi o polityce porozmawiam. Zarobków dużych z działalności nie mam, bo jak opłacam rachunki to ledwo wyjdę na zero. Pracuję dla przyjemności, zawsze chętnie coś naprawię. I dla zdrowia. Majsterkowanie zaleciła mi nawet moja pani doktor!



Marta Gruszecka – dziennikarka z lekkim piórem i łębskim żartem. Rozmówczyni, która potrafi słuchać. Miłośniczka kotów – czarnych i ciapatych. Maratonka, która nigdy się nie poddaje.

Jak nie zostałem Żołnierzem Wyklętym

Tekst: Andrzej Romanowski Zdjęcie: z kolekcji Krzysztofa Jakubowskiego

W 1970 roku po protestach roku 1968, tak zresztą jak i po Praskiej Wiośnie, nie pozostał żaden ślad. W powietrzu wisiły marazm i beznadzieja. Trwały całoroczne obchody setnej rocznicy urodzin Lenina. „Lenin w Październiku” – głosił napis na afiszu z okazji rocznicy rewolucji październikowej. Ktoś dopisał: „A koty w marcu”.

W mieszkaniu moich rodziców często bywali goście. Bracia, kuzyni i dalsi krewni, znajomi i przyjaciele, przychodzili bądź przyjeżdżali, z reguły bez zapowiedzi. Rodzice byli ludźmi towarzyskimi, w przyjaźniach dochowywali wierności, toteż dziesiątki tych samych osób towarzyszyły im przez całe życie. Z upływem lat ludzie ci stopniowo umierali. Ale bywało i tak, że przez jakiś czas przychodzili też inni, których my, młodsze pokolenie, dotąd nie znaliśmy, a którzy potem, widywani coraz rzadziej, też powoli odchodzili na zawsze. Do tych właśnie należała pani Wisia Gąsiorowa.

Zaczęła u nas bywać pod koniec lat 60. ubiegłego wieku. Zapewne była znajomą rodziców z czasów okupacji, ze wspólnej pracy w SPOŁEM. Ale wносиła z sobą pamięć wcześniejszą niż okupacyjna – jej mąż poległ w kampanii wrześniowej. Pani Wisia, niewiele starsza od rodziców, wyszła za mąż tuż przed wojną.

Była wysoką, zawsze wyprostowaną brunetką, ubierała się na ciemno. Miała wąskie, zaciśnięte usta i nigdy się nie śmiała. Nigdy też nie poświęcała uwagi ani mnie, ani mojej młodszej siostrze – zawsze tak samo poważna i sztywna, przychodziła wyłącznie do rodziców. Nie przepadałem za nią i z tego uczucia zwierzyłem się kiedyś mamie. Popatrzyła na mnie przeciągle i powiedziała, że ludzi nie sędzi się po pozorach. Wisia – dodała – jest prawym, solidnym człowiekiem, zawsze można na nią liczyć.

Nadeszła jesień 1970 roku. Po urlopie dziekańskim wróciłem na studia i z pewnym trudem aklimatyzowałem się w grupach, od dawna już z sobą zżytych. Grupy były, jak zawsze na polonistyce, sfeminizowane, a najpiękniejszą dziewczyną na roku była Alicja Wojna, narzeczona Juliana Korn-

hausera, poety z grupy „Teraz”, wtedy już asystenta na slawistyce. Autorytetami intelektualnymi byli natomiast inni: Ryszard Nycz, Grażyna Królikiewicz, Henryk Siewierski, Andrzej Sulikowski, Włodzimierz Próchnicki... Koło Naukowe Polonistów, prowadzone przez znanego mi jeszcze z liceum Ryszarda Majora, gromadziło głównie kolegów z roczników starszych. W gronie tym wspomniano ludzi Marca 1968: Leona Neugera, Bogusława Sobczuka, Jerzego Simona czy nieznanych mi z imienia Pańczyszyna i Szalińską. Wiele lat później poznałem kilkoro z tych ludzi.

Po protestach marcowych, tak zresztą jak i po Praskiej Wiośnie, nie pozostał w roku 1970 żaden ślad. W jesiennym powietrzu wisiły marazm i beznadzieja. Trwały całoroczne obchody setnej rocznicy urodzin Lenina. „Lenin w Październiku” – głosił napis na afiszu z okazji rocznicy rewolucji październikowej. Ktoś dopisał: „A koty w marcu”.

I

Marazm został przerwany 7 grudnia: w Warszawie premier Józef Cyrankiewicz i kanclerz Willy Brandt podpisali traktat o normalizacji stosunków. Jednak po tyle lat trwającej kampanii antyniemieckiej władze nie bardzo wiedziały, jak się teraz zachować. Tym bardziej że sytuacja nie była klarowna: nie wiadomo, czy Bundestag traktat ratyfikuje, obawiano się reakcji Moskwy... A i społeczeństwo, obolałe po wojnie i ogłupione przez PRL-owską propagandę, układ ze „złymi Niemcami” przyjęło powściągliwie.

Natomiast wielkie wrażenie zrobiła, ogłoszona przez radio w sobotę 12 grudnia, wiadomość o „zmianie cen”. Tak właśnie pisano – nie używano słowa „podwyżka”. Miałem dwiętnaście lat, nie prowadziłem gospo-

darstwa domowego, toteż termin „zmiana cen” zaakceptowałem bez oporu. W końcu płyta gramofonowa o dotychczasowej cenie 80 zł miała teraz kosztować jedynie 65 zł! W domu martwiła się tylko mama – podwyżki miały dotyczyć głównie artykułów żywnościowych. We wtorek 15 grudnia przyjechał brat mamy Zdzisław Bytnar, dyrygent mieszkający na Wybrzeżu. Przywiózł wiadomości: w Trójmieście wrze, Stocznia stoi, a jakaś liczba gdańskich taksówkarzy porzuciła pracę, „bo im się przestało opłacać”. Dziw: przestało się opłacać? – w PRL wszystkim opłacało się wszystko! Ale obraz tego, co naprawdę się dzieje, dała tego wieczoru Rozgłośnia Polska Radia Wolna Europa. Ojciec, lekarz służący w randze pułkownika w Ludowym Wojsku Polskim, zawsze wieczorem słuchał Wolnej Europy.

Nazajutrz, w środę 16 grudnia, stugębna plotka zataczała już szerokie kręgi. Prasa i telewizja w dalszym ciągu o niczym nie informowały, lecz z Wolnej Europy dowiadzano się, że na Wybrzeżu padły strzały, że jest dużo zabitych, że płoną Komitety Wojewódzkie PZPR... W Krakowie widoczne było napięcie, ale zajęcia na Uniwersytecie Jagiellońskim odbywały się normalnie. Tego dnia wieczorem, po zakończeniu zajęć, udałem się do Domu Studentek UJ „Nawojka”, gdzie mieszkała moja dziewczyna. Zanim jednak Krystyna zbiegła na dół (na piętro nie wpuszczano), stałem w gromadzie chłopaków czekających na swoje sympatie i nie spuszczałem wzroku z zakochanej pary w kacie. Dziewczyna tuliła się do wysokiego mężczyzny, nieco starszego ode mnie, ten zaś promieniał entuzjazmem: w kraju coś wreszcie się ruszyło!

W czwartek 17 grudnia nadal było wszystko normalne. Ale napięcie nieustannie rosło. O godz. 15 przyszedłem do „Gołębnika” (ul. Gołębia 20) na ćwiczenia z historii literatury polskiej okresu Oświecenia. Zajęcia skończyły się o wpół do piątej (a może za kwadrans piąta), zszedłem więc na dół, chwilę się zastanawiałem, po czym, zamiast skierować się w lewo i wracać do domu Plan-tami, ruszyłem w prawo: Gołębią i Wiślną na Rynek. Do domu – myślałem – zaraz dojdę, lecz w Marcu demonstracje odbywały się przed pomnikiem Mickiewicza – czy teraz też tak będzie? Pod murami ulicy Wiślanej przemękały kilkusobowe grupki i pojedynczy ludzie – wszyscy instynktownie ciągnęli w jednym kierunku. Ale dopiero gdy wyszedłem za róg Sukiennic, ujrzałem, co się dzieje. Między pomnikiem a ulicą Sienną z minuty na minutę gęstniał tłum. Nikt nic nie mówił, nie śpiewał, nie wznosił okrzyków. Ludzie stali i milczeli. W zimowych ciemnościach ledwo widzieliśmy swe twarze.

W tę ciszę wdarł się nagle bezładny chór klaksonów, a zaraz potem na płytę Rynku wjechały milicyjne budy. Wysypali się z nich

milicjanci. Uformowani w tyralierę, trzymając przed sobą pałki, ruszyli szybko w naszą stronę. Rosły dowódca kroczył na czele i raz po raz krzyczał: „Rozejść się! Rozejść się!”. Usunąłem się w stronę Siennej, lecz on był szybszy, chwycił mnie za ramię i odrzucił od siebie, równowagę złapałem jednak bez trudu. Rozejść się? Zacząłem się rozchodzić, niezbyt jednak ochoczo, bo wciąż byłem ciekaw, co będzie dalej. Nie minęło jednak kilkadziesiąt sekund, a dowódcę znów ujrzałem przy sobie. „Co?! Jeszcze tu?” – wrzasnął. Jego ręce chwyciły mnie jak piórko, podniosły w górę – i w momencie znalazłem się w środku budy milicyjnej.

Siedziało tu już w półmroku kilkoro ludzi. Głowy mieli opuszczone, nikt nic nie mówił. Natomiast Rynek rozbrzmiał teraz krzykami. Nasze auto zaczęło tańczyć: krążyło w przód, w tył, w boki, podczas gdy z zewnątrz słyszało się coraz głośniejsze wy-cie tłumu. Z hukiem zaczęły pękać petar-

Między pomnikiem Mickiewicza a ulicą Sienną gęstniał tłum. Nikt nic nie mówił, nie śpiewał, nie wznosił okrzyków. Ludzie stali i milczeli. W zimowych ciemnościach ledwo widzieliśmy swe twarze. W tę ciszę wdarł się nagle bezładny chór klaksonów, a zaraz potem na płytę Rynku wjechały milicyjne budy.

dy, do wnętrza przedostawał się gaz, oczy piekły. Raz po raz kolejna osoba była wrzucana jak pies do naszej budy. Po chwili nie było już miejsc siedzących, stłoczeni ludzie stali jeden przy drugim. Po kilkudziesięciu zwrotach i obrotach auto zaczęło sunąć naprzód; domyśliłem się, że wjechaliśmy w ulicę Floriańską. Tłum nadal wył, pękały petardy, śmierdział gaz, do auta wpadały kolejne ofiary, było coraz ciasniej i duszniej. Ale po jakimś czasie wszystko się uspokoiło – z zewnątrz dochodził tylko jednostajny szum ulicy. Auto przestało kręcić się w kółko i wzięło rozpęd.

Wkrótce stanęliśmy, drzwi się otwarły. „Wysiądać!” – padła komenda. Schodziliśmy jeden po drugim. Oślepiające światło reflektorów. Gdy oczy przywykły, ujrzałem z obu stron szereg milicjantów – mieli broń wycelowaną w naszą stronę. Oszołomiony szedłem z innymi tym milicyjnym korytarzem, kurczowo trzymając chlebak z książkami z ćwiczeń. Mur z czerwonej cegły? Zorientowałem się: jestem na Komendzie Wojewódzkiej MO przy ulicy Siemiradzkiego. Dwieście metrów od Liceum, w którym niedawno zda-wałem maturę.

Wnętrze komendy było jasno oświetlone i wypełnione ludźmi. Rozmawiano półgłosem albo zadawano pytania kręcącym się funkcjonariuszom. W pewnym momencie ujrzałem przechodzącego korytarzem Macieja, kolegę ze starszego roku polonistyki. Uśmiechnęliśmy się do siebie, ale Maciej nie zdradzał chęci rozmowy i do dziś nie wiem, czy był jednym z zatrzymanych czy przeciwnie: pracował w SB. Podszedł do nas młody funkcjonariusz w cywilu – próbował pocieszać. Ludzki pan? Poprosiłem o możliwość zatelefonowania do domu – jest już późno, dawno miałem wrócić, rodzice się niepokoją. „Nie, proszę pana, to niemożliwe – usłyszałem w odpowiedzi – na całym świecie policja tego nie robi”. „Na całym świecie”? „Policja?”. W szkole uczono, że MO – Milicja Obywatelska – nie ma nic wspólnego z policją krajów kapitalistycznych.

Nie wiem, jak długo staliśmy stłoczeni w korytarzu. Usłyszałem, że niektórych wywożą do więzienia na Montelupich. Zafrapowało mnie to: pod więzieniem na Montelupich zawsze przechodziłem, idąc na cmentarz Rakowicki w dzień Wszystkich Świętych. Czyżbym miał zobaczyć, jakie jest to więzienie w środku? Ale nie. Gdy stanąłem przed obliczem kolejnego pracownika w cywilu, usłyszałem komendę: „na Czarnieckiego!” I wyszedłem z komendy, konwojowany z obu stron przez milicjantów.

II

Nazwa „Czarnieckiego” niewiele mi mówiła. Wiedziałem, że mieszka tam babcia Ewy, mojej koleżanki ze szkoły muzycznej, pani Zofia Birnbaum, skądinąd szwagierka nieżyjącego już wtedy profesora Zenona Klemensiewicza. Ale nigdy nie byłem na Czarnieckiego i tyle tylko wiedziałem, że to na Podgórzu. Jechałem przez wieczorny Kraków milicyjnym autem osobowym, wciśnięty między dwóch milczących funkcjonariuszy. Stanęliśmy na koniec, a ja ujrzałem mur z drutem kolczastym. Zrozumiałem. Auto wjechało do środka, na podwórze. Wsiadłem.

W pokoju z okratowanymi oknami dokładnie mnie zrewidowano. Chlebak z książkami przeszukano, ale pozwolono zatrzymać, odebrano natomiast pasek od spodni. Strażnik odprowadził do celi. Wszedłem, drzwi się zamknęły. Mała, ciasna klitka. Cztery piętrowe prycze ustawione rzędem na lewo od wejścia, niewielka przestrzeń po prawej, lampa paląca się słabym światłem u sufitu, drzwi z małym judaszem, okratowane okno. Na dolnej pryczy, w kącie obok kibla, spał ktoś zwinięty w kłębek. Przyjrzałem się twarzy: ależ tak! to był ten chłopak z „Nawojki”, którego wczoraj, szczęśliwego, obserwowałem razem z dziewczyną.

Podniósł się leniwie. „Andrzej” – przedstawił się. Jakże był różny od siebie wczorajszego.

Wyznał, że się boi, bo jest synem przedwojennego policjanta i od dawna go obserwują. „Nie wiesz, czemu zabrali mi pasek?” – zapytałem, podtrzymując opadające spodnie. „Żebyś się nie powiesił w celi” – odpowiedział. Parsknąłem śmiechem. „Miałbym się wieszać?! Dlatego, że mnie zatrzymali?!” Wzruszył ramionami. „Takie mają przepisy”. Zająłem górną pryczę przy drzwiach – zawsze lubiłem piętrowe łóżka.

Po jakimś czasie drzwi się otwały, wprowadzono nowego aresztanta. Był niewielki, okrągłej budowy, oczy miał jakby stale się śmiejące. Przedstawił się: „Zdzisław”. Opowiadał, że został zatrzymany z kolegą, w trakcie powrotu z lekcji. „Byłeś na Rynku?” – pytaliśmy. Nie dał jasnej odpowiedzi. Wkrótce dokwaterowano jeszcze jednego – szczupłego studenta niewiele ode mnie starszego. Imienia nie pamiętam, nazwijmy go „Marek”.

Podano kolację. Potem – wieczorna toaleta. Kran nad stojącym w rogu kibelem, mycie rąk nad muszlą, potrzeby fizjologiczne załatwiane przy wszystkich. Byłem po przebytej chorobie, miałem obniżoną odporność, więc warunki higieniczne trochę mnie przerażały. Ale nie było wyjścia. Wgramoliłem się na górną pryczę, starałem się zasnąć. Ale ba! – tu wszystko było snem! Wszak rano obudziłem się we własnym mieszkaniu, potem wykonywałem obowiązki studenta, później zostałem pozbawiony wolności, a teraz oto jestem w więzieniu! Co myślą w domu? I kiedy mnie wypuszczą? Przecież kiedyś wypuszczą. Jutro?

Ale jutro nie przyniosło zmian. Piątek 18 grudnia przeszedł jednostajnie, wyznaczany porami posiłków i kontrolą celi. Po południu zacząłem się buntować. „Za co ja tu siedzę?” – mówiłem kolegom – Wracałem po zajęciach do domu. Niechcący trafiłem na demonstrację. Zostałem zatrzymany przypadkowo”. Była to moja wersja oficjalna – prawdziwa, choć niezbyt ścisła, bo przecież do domu wracałem drogą okrężną. Czy jednak nawet taka okoliczność była wystarczającym powodem uwięzienia? Zaprotestowałem wobec strażnika, ale on wzruszył ramionami. Zażądałem widzenia z naczelnikiem. Roześmiał się: „Panie, gdyby naczelnik miał się widywać z każdym więźniem, to nic innego by nie robił”.

Gdy za strażnikiem drzwi się zamknęły, powiedział mi Andrzej: „Słuchaj, jak chcesz, możesz ogłosić głodówkę. Oni się tego boją. Bo nigdy nie wiadomo, jak głodówka się skończy, a oni za więźnia odpowiadają”. Andrzej – starszy ode mnie, bywały w świecie... Nie darmo był synem przedwojennego policjanta. Zadumałem się – decyzja była poważna. Czy jednak miałem wyjście? Jak długo ma trwać ta zabawa?

Na razie poszliśmy spać. Ale rankiem, w sobotę 19 grudnia, gdy ponowne moje ży-



Głaz-pomnik ku czci funkcjonariuszy milicji poległych w walce z powojennym antykomunistycznym podziemiem niepodległościowym postawiony w Krakowie przez ówczesne władze miasta w 1954 roku. Od 10 lat z inicjatywy Instytutu Pamięci Narodowej 1 marca obchodzony jest Narodowy Dzień Pamięci „Żołnierzy Wyklętych” – bo tak nazwano uczestników zbrojnego oporu przeciwko rządowi komunistycznym po 1945 roku.

czenie rozmowy z naczelnikiem spotkało się z odmową, wypaliłem: „Proszę zabrać to jedzenie. Jestem niewinny. Ogłaszam głodówkę”. Strażnik zbaraniał. Wahając się, wziął talerz, przyjrzał mi się i bez słowa zamknął drzwi.

„Zjedz coś z naszych porcji – powiedział »bywały« Andrzej – póki jesteśmy razem, możemy się z tobą dzielić. Potem wezmą cię do pojedynki, dadzą tylko wodę. Opadniesz z sił”. Każdy z kolegów odstąpił mi zatem trochę jedzenia i właściwie najadłem się do syta. Z czego dziś wnioskuje, że więzienne racje żywnościowe nie były skąpe. Podziękowałem kolegom – stanowiliśmy bardzo już zżyłą grupę. Ale czekałem, co będzie dalej. Postanowienia nie zmieniłem. Dobrze, przeniosą do pojedynki – ile trzeba, by umrzeć z głodu? Nie zamierzałem robić z siebie ofiary, głodówkę zawsze mogę przerwać. Otwarłem książkę, usiłowałem czytać, ale nie mogłem się skupić. Po kilku godzinach drzwi znów się otworzyły. „Do naczelnika” – powiedział strażnik. Szliśmy długim korytarzem.

– Dlaczego ogłosiliście głodówkę? – spytał pan zza biurka.

– Zostałem zatrzymany bez powodu – wyjaśniłem.

– Proszę opowiedzieć.

– Podałem swoją wersję.

– No dobrze – powiedział naczelnik, gdy skończyłem – tak uważacie. Ci, którzy was zatrzymali, uważają inaczej. Jeśli podtrzymujecie decyzję o głodówce, zostaniecie przeniesieni do celi pojedynczej. Głodówka w celi wspólnej to nie głodówka.

Decyzję podtrzymałem, choć może nie dość kategorycznie. Na razie jednak wróciłem do kolegów.

Czas przeciekał przez palce. Trzecia noc w celi, potem pobudka – nowy dzień. A więc już niedziela, 20 grudnia. Znowu otwierałem książkę. Kurs historycznoliteracki na studiach był z oświecenia i romantyzmu, toteż w chlebaku miałem eseje Williama Hazlitta oraz nie-

dawno wydaną monografię *Ignacy Krasicki* pióra naszego wykładowcy, profesora Mieczysława Piszczyńskiego. Starłem się czytać powoli, ogarnięty przerażeniem, co będzie, gdy skończę obie książki. Przedobrzyłem jednak – czytałem zbyt wolno, kartkę po kartce. I tym bardziej niewiele rozumiałem – zwłaszcza że myślami byłem cały czas gdzie indziej.

Zgrzyt klucza w zamku oznajmił przybycie strażnika. „Romanowski. Z rzeczami”. Myślałem, że do pojedynki. A tu odwrotnie. Znalazłem się w olbrzymim pokoju, oświetlonym jaśniejszym niż „u nas” światłem, z rzędami łóżek i kilkunastoma więźniami. Rej wodził, przemieszczający się między pryzmami, osiłek może pięćdziesięcioletni, w białym podko-

Oto ktoś – zupełnie mi nieznany, ktoś „z innej bajki” niż moja AK-owska rodzina – położył na szali swój wojenny dług AL-owski po to tylko, by uwolnić zaplątanego w historię dziewiętnastolatka, którego nigdy na oczy nie widział, lecz którego przyszłość – wbrew interesowi „ludowej ojczyzny” – postanowił ocalić.

szulku. Miał wgnieciony siny nos, owłosioną pierś i muskularne, wytatuowane ramiona – klasyczny wygląd bandyty. Więźniowie siedzieli na łóżkach, paru grało w karty, paru gawędziło, inni patrzyli tępo przed siebie. Panował stłumiony gwar, ale do mnie nikt się nie odezwał. Poczułem się nieswojo. Usiadłem na łóżku, tuląc do siebie chlebak.

Nie zostawiono mnie jednak w nowym miejscu. I nie zaprowadzono do pojedynki. Po dwóch-trzech godzinach strażnik mnie wywołał i wróciłem do dotychczasowej celi. Po co więc było to przeniesienie? Chciano nastraszyć? Teraz myślę: gdybym w nowym miejscu został na noc, stałbym się bez wątpienia ofiarą zbiorowego gwałtu.

III

Nadszedł poniedziałek 21 grudnia. Wiedzieliśmy już, że poprzedniego dnia ustąpił Gomułka, że jest nowy przywódca Edward Gierek. Ponieważ z Gomułką wiązaliśmy nasze aresztowanie – w celi powiało optymizmem. Śniadaniem koledzy znów się ze mną podzielili. Wszedł strażnik. „Wychodzie do domu!” – oznajmił „Markowi”. Zatrzymałem kolegę w ostatniej chwili. „Proszę, daj znać rodzicom. Aleja Słowackiego 41/1. Powiedz, gdzie jestem”. „W porządku – powiedział – trzymajcie się, chłopcy”. Zostaliśmy w trójkę. Za chwilę jednak wywołano mnie. „Odwiedź kiedyś – powiedział na pożegnanie Zdzichu – Reformacka 3”.

Znów wiozło mnie auto z dwoma milczącymi milicjantami. Rozglądałem się po mieście niewidzianym od kilku dni. Wysiedliśmy na placu Wolności (tak się wtedy nazywał plac Inwalidów). A więc jestem czterysta metrów od domu – wypuszczają? Nie. Weszliśmy do gmachu. Ulokowano mnie w małym pokoiku bez okien i bez krzesła. „Za raz przyjdziemy po pana”.

Ale nikt nie przychodził. Zacząłem czuć coraz bardziej przeraźliwy głód: niedojadanie poprzednich dni dawało znać o sobie. Miałem na ręce zegarek, liczyłem upływające godziny. Minął ranek, minęło południe. Zacząłem pukać w drzwi, potem w ścianę – nikt nie odpowiadał. Zapomnieli? Waliłem pięściami. Bez rezultatu. Na Czarnieckiego zwrócili mi pasek, ale tu cela była gładka – nawet wieszac się nie było na czym! Zrezygnowany siadłem na podłodze. Głód powoli przechodził.

Drzwi się otworzyły, gdy był już wieczór. Wprowadzono mnie przed oblicze jakiegoś człowieka za biurkiem. Usiadłem na krześle.

– Dlaczego pana zatrzymano?

Wyjaśniłem, że wracałem z Gołębiej do domu.

– Przez Rynek? Bliżej było przez Planty.

Zaniemówiłem.

– Czyli chciał pan wziąć udział w nielegalnym zgromadzeniu.

Zaprzeciłem ruchem głowy – po dniu bez jedzenia i picia zaschło mi w gardle.

– Cóż, prawdy nie ukryjecie – mówił cywil. – Czynny udział w nielegalnym zgromadzeniu. Krzyczeliście „precz z Gomułką”.

– Nie krzyczałem.

– Mamy świadków – powiedział cywil.

– Nie krzyczałem, więc nie może być świadków.

Rozmowa się przedłużała. Cywil spojrzał na zegarek.

– No, robi się późno. Wypuścimy was – powiedział nieoczekiwanie.

Kwadrans potem stałem na placu Wolności i wdychałem zapach ciepłej, grudniowej nocy. Koszmar trwał ponad cztery dni. Sto godzin.

Przeszedłem alejami Słowackiego te czterysta metrów. Nie spieszyłem się, teraz to już wszystko jedno. Zadzwoiłem do mieszkania. Otworzył ojciec.

– No chodź, Andrzej. Wiedziałem, że idziesz.

IV

Na moje przywitanie wylegli wszyscy do przedpokoju: obok ojca stała mama, za nią babcia i mieszkająca z nami ciocia Stefa, przy drzwiach – 16-letnia siostra. Wuj Zdzich już poprzedniego dnia wyjechał – obowiązki służbowe wezwały go na Wybrzeże. Wszyscy stali uśmiechnięci, nie byli zaskoczeni. Wiedzieli więcej niż ja.

Opowiadali. Rano był u nich „Marek”. Przyszedł prosto z więzienia, po drodze do

własnego domu, bo mieszkał na Śląskiej czy Wrocławskiej. To od niego rodzina dowiedziała się o naszej celi na Czarnieckiego: o tym, że nie jest nam źle, że jesteśmy zdrowi, i o tym, że ogłosiłem głodówkę. Ale wizyta „Marka” – to było tylko potwierdzenie rezultatów rodzinnego śledztwa. Bo domownicy, doświadczeni w czasie okupacji, od razu się domyślili, że zostałem zatrzymany. Wiedziano o demonstracji na Rynku, ale wiedziano też, że w Krakowie nie strzelano, więc wszyscy byli w miarę spokojni. Toteż gdy tylko minęła pierwsza noc, zaczęto działać. Sprawa była prosta: trzeba było dowiedzieć się, gdzie jestem, oraz wpłynąć na kogoś, kto mógłby mnie wypuścić. Bagatela.

Rodzina bliższa i dalsza została postawiona w stan pogotowia. W domu telefony się urywały. „Siedzi w więzieniu na Czarnieckiego” – ojciec przyszedł z tą wiadomością w sobotę. Potem jednak była niedziela, więc audiencji na SB udzielono mu dopiero w poniedziałek. W mundurze pułkownika WP wszedł ojciec do gmachu przy placu Wolności. Nie wiedział, że był ode mnie oddzielony tylko ścianą. I ja o tym też nie wiedziałem.

– Pułkownik – esbek cedził słowa – źle wychowaliście syna.

– Co się stało? – zapytał ojciec – czemu go zatrzymaliście?

– Uczestniczył w nielegalnym zgromadzeniu. Krzyczał „precz z Gomułą”.

– No, jeśli tak krzyczał – odparował ojciec – to miał rację, bo wczorajsze plenum Partii krzyknęło to samo.

Ale esbek nie był w nastroju do żartów. Uderzył w stół.

– Nie było rolą syna w tej sprawie się wypowiadać! To była sprawa Partii, rozumiecie?!

Ojciec milczał. Nie był członkiem Partii.

– A poza tym – esbek się zatroskał – on skonstruował bombę.

Tu ojciec wybuchnął śmiechem.

– Kto?! Mój syn?! Przecież on gwoźdźnia w ścianę wbić nie umie!

Audiencja skończyła się bez wyrazistych rezultatów.

– No, ale mnie wypuszczono – dorwałem się do głosu.

– To nie ja... – powiedział ojciec – To inni. – Zamilkł na chwilę. – To Wisia Gąsiorowa.

Popatrzyłem zdumiony.

– Nie możemy ci o tym mówić – podjęła kwestię mama. – Wisi udało się dotrzeć do znajomego, a ten miał swojego znajomego. I ten ktoś poszedł do samego Wałacha. A był już na liście, która miała iść do Warszawy.

– Do Warszawy? – spytałem, wciąż nie rozumiejąc.

– No, do Ministerstwa. Do MSW. Wisia cię uratowała. Jesteś czysty.

Płk Stanisław Wałach był szefem krakowskiej bezpieki.

V

Nigdy się nie dowiedziałem, kim był człowiek, który poszedł do Wałacha. Ale z rzuconych półsłów mogłem sobie wyobrazić tę scenę. Tego samego poniedziałku 21 grudnia, gdy do mieszkania rodziców przyszedł „Marek”, gdy ojciec udał się do SB, a ja siedziałem zamknięty w klitce, zameldował się w recepcji gmachu przy placu Wolności ktoś, kogo nazwiemy tu Władysławem. Po chwili poszedł na górę.

– Cześć, Władek. – Wałach podniósł się zza biurka. – Dawno cię nie widziałem. Mam teraz dużo roboty.

– Wiem. Nie będę ci przeszkadzał. Chcę tylko zapytać... Masz tu listę zatrzymanych.

– No mam. A co?

– Ta lista ma pójść do Warszawy, tak?

– Jasne. Zawsze tak robimy.

– Zobacz, Staszek. Masz na liście takie nazwisko? Romanowski...

– Andrzej? Tak, mam. O co chodzi?

– Skreśl go.

– Czyś ty zwariował, Władek?!

– Staszek...

Przybyły mówił teraz wolno i dobitnie:

– Staszek. Pamiętasz listopad 1943?

– Co mam nie pamiętać. Pociąg...

– Tak, pociąg. Gestapo goniło, pamiętasz?

– Pamiętam.

– Kto cię uratował, pamiętasz?

– Tyś mnie uratował.

– Ja. A ty coś mi wtedy powiedział? Też pamiętasz?

– Pamiętam. Że jeśli będzie ci trzeba, to wszystko dla ciebie zrobię.

– No to teraz mi trzeba. Skreśl go.

Długo patrzyli sobie w oczy. Wałach wziął długopis i zdecydowaną linią skreślił moje nazwisko.

– Dobra, Władek. Śladu po sprawie nie będzie.

– Dziękuję ci.

– Ale, Władek. Pamiętaj. Teraz między nami kwita.

Cała ta rozmowa to płód mojej wyobraźni. Ale tak właśnie musiało to się odbyć. Bo wiem, że w mojej sprawie ktoś rzeczywiście poszedł do Wałacha. I że ten ktoś odwołał się do jakichś długów z czasu okupacji. I że ostatnie słowa Wałacha brzmiały: „Teraz między nami kwita”. Dojście do tego człowieka wyszukała pani Wisia Gąsiorowa.

VI

Pułkownik Wałach dotrzymał słowa. Nikt, nigdy, nawet podczas zatrzymań i rewizji w latach osiemdziesiątych, nie mówił, nie dawał do zrozumienia, że coś zakazanego robiłem w grudniu 1970 roku. I chyba także dzisiaj archiwiści IPN niczego takiego nie znajdą – może mi zarzucą, że całą tę historię wymyśliłem? Pozostaje nadzieja, że jakiś ślad zachował się w kartotekach więziennych na Czarnieckiego. Lecz może

stare kartoteki już dawno poszły na prze-
miał?

Nie ma świadków. Z osób, które na moje przywitanie wyległy przed półwieczem do przedpokoju, pozostała przy życiu tylko siostra. Co do kolegów z celi – dwóch po-
tem widziałem, Andrzeja nawet kilkakrot-
nie, jeszcze z początkiem lat 90., gdy z ulicy
Wiślniej wyprowadzał na Planty swego psa.
Pozdrawialiśmy się, ale rozmów chyba nie
było. Natomiast ze Zdzichem gadałem dłu-
żej dwa razy, tyle że jeszcze w styczniu 1971
roku, gdy przyszedłem go odwiedzić, zdumiałem się, że Reformacka 3 – to klasztor Re-
formatów. Wtedy dopiero dowiedziałem się,
że Zdzichu był klerykiem – tłumaczył, czemu
nie chciał przyznawać się nam w celi, mówił,
że sprawie jego i kolegi chciano nadać cha-
rakter polityczny, i że położyła temu kres
interwencja prymasa Wyszyńskiego. Ser-
deczny jak zawsze Zdzichu pokazał mi słyn-
ne podziemia krakowskich reformatów. Lecz

Teraz myślę: wszystko to mogło być dla
mnie o ileż bardziej intratne! Dziś, gdy
uderzenie pałką milicyjną jest zbrodnią
komunistyczną, jakież splendor spłynąłby
na mnie – bezprawnie więzionego!

potem już go nie widziałem – dziś jest od lat
poza Polską, na misjach. Natomiast od wy-
jścia z celi nigdy już nie ujrzałem „Marka”.

Pani Wisia przyszła do nas dwa tygodnie
po tych wydarzeniach. Bardzo jej dziękowa-
łem. Zareagowała, jak to ona, chłodno. I po-
wiedziała, że nie ma o czym mówić. Rze-
czywiście, nie było o czym mówić: takimi
sprawami nie należało wtedy się chwalić. Po-
tem pani Wisia przychodziła do nas coraz
rzadziej, po jakimś czasie jej wizyty w ogóle
ustały. Widocznie chorowała. Na jej pogrze-
bie był ojciec z moją siostrą. Czemu nie było
mnie? Czyżbym miał ważniejsze sprawy?

Tak oto w Grudniu 1970 roku wkroczyłem
w dorosłość. Bo choć zawsze byłem „anty”,
a w szkole uważano mnie za „piłsudczyka”,
to jednak PRL-owska propaganda oblepiała
mnie jak maść i dopiero w Grudniu złudzenia,
jak płyty złuszczonej skóry, stopniowo ze
mnie odpadały. Zdziwieniem największym
nie było nawet to, że bez większego powo-
du zatrzymano mnie i więziono przez sto go-
dzin, ale to, że kłamano, i kłamano tak bez-
czelnie. A przecież wkroczenie w dorosłość
jakże wciąż było niepełne. Wszak wycho-
dząc z Grudnia bez złudzeń, zachłysnąłem
się złudzeniami nowymi. Gdy bowiem obalo-
nego Gomułkę zastąpiło senatorskie oblicze
Gierka, gdy z jego ust popłynęło zapomniane
wezwanie „Rodacy!”, gdy zdjęto plakaty ob-
wieszczające setną rocznicę urodzin Lenina,

natomiast państwowe radio zaczęło nada-
wać nigdy za mojego życia publicznie nie-
słyszane kolędy – wtedy na chwilę uznałem,
że żyję w nowej Polsce. A to był wciąż PRL.

Dlatego teraz myślę: wszystko to mogło
być dla mnie o ileż bardziej intratne! Dziś,
gdy uderzenie pałką milicyjną jest zbrod-
nią komunistyczną, jakież splendor spłynąłby
na mnie – bezprawnie więzionego! A gdyby
jeszcze udowodniono, że istotnie skonstru-
owałem bombę?! Toż byłbym chyba nowym
Żołnierzem Wyklętym! Co prawda, w takim
razie musiano by mnie raczej zabić, a na to –
jaka szkoda! – się nie zanośli. Tym niemniej
po cóż to ojciec, pani Wisia, znajomy Nie-
znajomego i sam Nieznajomy podjęli – kary-
godne z samej swej istoty – negocjacje z es-
bekiem?! Po co chcieli mnie uwolnić, skoro
mogli przysporzyć mi cierpień?! To przez
nich nie zostałem Wyklętym.

Tymczasem PRL – przy całej swej opre-
syjności – nie był państwem okupacyjnym.
W więzieniu nie bito mnie, nie zdzierano
paznokci, nie sadzano na nodze od stołka,
nie stosowano „konwejera” ani całonocnej
„stójki”. Stalinizm odszedł w przeszłość, a za-
łatwił to ten sam Gomułka, z odejścia które-
go tak bardzo w Grudniu się cieszyliśmy. To
jednak, co w tej historii wydaje się najcen-
niejsze, to nie polityka, nie Gomułka i Gierek,
nie MO i SB, lecz PRL-owscy ludzie. Ich soli-
darność przed „Solidarnością”, ich przyjaźń
i lojalność – ponad politycznymi podziała-
mi. Bo oto ktoś – zupełnie mi nieznany, ktoś
„z innej bajki” niż moja AK-owska rodzina –
położył na szali swój wojenny dług AL-owski
po to tylko, by uwolnić zaplątanego w hi-
storię dziesięcioletnia, którego nigdy na
oczy nie widział, lecz którego przyszłość –
wbrew interesowi „ludowej ojczyzny” – po-
stanowił ocalić. Ten człowiek z pewnością
od dawna już nie żyje i na zawsze pozosta-
nie anonimowy. Poniekąd tak, jak Wisia Gą-
siorowa, która – jak dziś widzę – odwiedza-
ła nas po to, by działać w chwili zagrożenia.
By syn jej przyjaciół mógł przejść przez PRL
bez istotniejszego szwanku.



Prof. dr hab. Andrzej Romanowski
pracuje na Wydziale Polonistyki UJ
i w Instytucie Historii PAN. Jest re-
daktorem naczelnym *Polskiego Słowni-
ka Biograficznego* i autorem wielu
książek, m.in. *Jak oszukać Rosję. Losy*

Polaków XVIII–XX wieku (2002), *Wielkość i upadek „Tygo-
dnika Powszechnego”* (2011), *Eugeniusz Kwiatkowski* (2014)
i ostatnio *Antykomunizm, czyli upadek Polski. Publicystyka
lat 1998–2019* (2019).



Bartolomeo Koczenasz, projekt *Poza przeszłością i teraźniejszością. Ulica Szpitalna w Krakowie*, 2019

Marzec 1921 roku

Tekst: Krzysztof Jakubowski

✂ **3 marca.** „Głos Narodu” zamieścił wiadomość o śmierci Maurycego Straszewskiego (1848–1921), historyka, filozofa, profesora UJ, a także aktywnego polityka z kręgów konserwatywnych.

✂ **5–6 marca.** Gazety donosiły z ulgą o zakończeniu kilkudniowego strajku krakowskich piekarzy.

✂ **7 marca.** Jak podał „Czas”, „za podburzanie do strajku w browarze Götza aresztowano Stanisława Podoleckiego”.

✂ **7–15 marca.** Dzienniki donosiły codziennie o efektach zbiorów na akcję plebiscytową na Górnym Śląsku. Pieniądze zbierali m.in. aktorzy krakowskich teatrów, drukarze i dziennikarze. Zbiórki odbywały się też za pośrednictwem konduktorów w tramwajach i na ulicznych kiermaszach.

We czwartek 17 bm. o godz. 9 rano odbędzie się w kościele Dominikanów nabożeństwo na intencję pomyślnego dla Polski przebiegu plebiscytu na Górnym Śląsku.

✂ **8 marca.** Z inicjatywy Narodowej Partii Robotniczej pod pomnikiem Mickiewicza odbył się wiec robotników przeciwnych szerzeniu idei komunistycznych. „Wiec, który miał charakter olbrzymiej manifestacji sfer robotniczych robił podniosłe wrażenie, mówcy zaś byli entuzjastycznie oklaskiwani” – relacjonował reporter „IKC”.

✂ **10 marca.** Z kroniki „Czasu”: „Za sprzedaż fałszowanego masła(...) aresztowano gospodynię Teklę Mrózek z Krzyszkowic oraz Marię Tomczyk z Kurdwanowa”.

✂ **11 marca.** „Dr Artur Benis, pełnomocnik ekonomiczny rządu polskiego we Francji, bawił przez dwa dni w naszym mieście i wczoraj wyjechał przez Warszawę z powrotem do Paryża” – odnotował „Czas”. Artur Benis (1865–1932) był postacią znaną w Krakowie. Zanim zaangażował się w sprawy krajowe, prowadził tu kancelarię adwokacką. Był właścicielem pałacu w Bronowicach Wielkich (dziś Instytut Farmakologii PAN, przy ul. Ojcowskiej/Smętnej). Pałacowy park (4,5 ha) zwany jest do dziś „parkiem Benisa”.

✂ **13 marca.** „Pod zarzutem szerzenia propagandy bolszewickiej aresztowała policja państwowa maszynistę kolejowego w Płaszowie Władysława Ślęzaka. Podczas rewizji przeprowadzonej w mieszkaniu aresztowanego znaleziono wiele pism o treści antypaństwowej” – relacjonowała „Nowa Reforma”.

✂ **14 marca.** „Gdzie są druciarze – pytają wszystkie dobre gospodie, które wobec wysokich cen naczyń kuchennych rade by dać podrutować garnki, które mogą służyć jeszcze lat kilkanaście. Dawniej co kilka dni na podwórzach rozbrzmiewał okrzyk »garnki



Artur Benis (1865–1932), fot. ok. 1915, Archiwum Narodowe

drutować!« – dziś cisza. Druciarze rekrutują się poważnie ze Słowaków spoza Karpat i poprzez granicę węgierską ciągnęli ku Galicji. Dziś ta granica dla nich zamknięta. Czesi nie pozwalają jej przekraczać. Jest to jeszcze jeden dowód życzliwości ze strony braci Czechów” – ubolewał „Głos Narodu”.

Druciarze chyba jednak nie „rekrutowali się poważnie ze Słowaków”, bo profesja ta miała się w kolejnych latach nieźle. Mało tego, druciarze spotykani byli na otwartych do woli krakowskich podwórkach aż do połowy lat 60. XX wieku, co zachował w życzliwej pamięci piszący te słowa.

✂ **14 marca.** Z kroniki „IKC”: „Wczoraj po południu wyjechała straż pożarna na ul. Smoleńsk, gdzie zaczął się palić dach w parku samochodowym. Pożar zlokalizowano. Straty nieznaczne”.

Ów „park samochodowy” to zakłady naprawcze i garaże „Auto-Palais” Wilhelma Rippera (ojca słynnego rajdowca Jana Rippera). W ich miejscu (ul. Smoleńsk 29–33) zbudowano w końcu lat 50. siedzibę Domu Książki i blok mieszkalny.

✂ **14 marca.** Wiadomość z tej samej kroniki: „Wczoraj przed południem ul. Włóczków była widownią nieszczęśliwego wypadku, który pociągnął za sobą życie ludzkie. Oto około godz. 11 rano przewrócił się na tej ulicy wóz naładowany nawozem, który przygniótł swym ciężarem woźnicę Feliksa Rażne-



Leon Wyrwicz w karykaturze Tadeusza Waśkowskiego, pocztówka, ok. 1930, archiwum autora



Warsztaty Wilhelma Rippera przy ul. Smoleńsk 29–33 powstały jeszcze przed I wojną światową, fot. ok. 1912, własność prywatna



Planty Dietlowskie po ich rewitalizacji, widokówka, 1927, archiwum autora

go tak nieszczęśliwie, że spod wozu wydobyło już tylko jego zwłoki. Trupa przewieziono do Zakładu Medycyny Sądowej”.

✂ **15–16 marca.** W dziennikach ukazały się informacje o przygotowaniach do Spisu Ludności, którego przeprowadzenie na terenie całego kraju zaplanowano na 30 września 1921 roku.

Spis istotnie udało się przeprowadzić. Księgi spisowe dotyczące mieszkańców Krakowa przechowuje Archiwum Narodowe. Niestety, księgi kolejnego spisu (1931) zaginęły w niejasnych okolicznościach w piwnicach gmachu magistratu w latach 60. ubiegłego stulecia.

✂ **16 marca.** Dzienniki anonowały otwarcie kabaretu literackiego w kawiarni Odrodzenie (do niedawna Renaissance) przy ul. Sławkowskiej 30. Kierował nim niezrównany monologista Leon Wyrwicz.

✂ **17 marca.** „We czwartek 17 bm. o godz. 9 rano odbędzie się w kościele Dominikanów nabożeństwo na intencję pomyślnego dla Polski przebiegu plebiscytu na Górnym Śląsku” – zapowiadał „IKC”.

✂ **17 marca.** Z kroniki „Nowej Reformy”: „Wczoraj policja przeprowadziła rewizję w mieszkaniu Marii Niciowej, lat 55, Niemki, przy ul. Mostowej 12. Niciowa żyła w konkubinacie ze stróżem Stanisławem Sławiakiem i zajmowała się wychowywaniem oddanych jej pod opieką dzieci, przeważnie nieślubnych. Policji zastała obraz nędzy i rozpacz. Niciowa wychowywała dzieci w izbie, w suterrenach, ciemnej, wilgotnej, zimnej, w warunkach urągających najprymitywniejszym wymaganiom higieny. Dzieci, których znaleziono pięcioro, leżały po dwoje w kołyskach, bez opieki, wynędzniałe i głodne, dające ledwie słabe oznaki życia. Niciowa odpłatnym »wychowywaniem« zajmowała się od 10 lat i, jak zeznała, w ciągu ostatnich dwóch lat zmarło u niej dziewięcioro dzieci”.

✂ **18–20 marca.** Dzienniki – niezależnie od sympatii politycznych – rozpisywały się o obchodach związanych z imieninami Naczelnika Państwa Józefa Piłsudskiego.

✂ **19 marca.** Jak podała prasa, z Krakowa wyjechało w celu udziału w plebiscycie 2 tys. zamieszkałych na terenie Małopolski emigrantów górnośląskich. *Plebiscyt odbył się 20 marca, przy frekwencji około 97 proc. W 1573 gminach położonych na terenie 13 powiatów za Polską opowiedziało się 40,4 proc. mieszkańców, za Niemcami 59,5 proc. W miastach przewagę zyskały Niemcy, na wsiach Polska. Niekorzystna dla Polski interpretacja wyników plebiscytu przez Międzysojuszniczą Komisję Plebiscytową – Polskę przyznano 25 proc. obszaru bez okręgu przemysłowego – była jedną z przyczyn wybuchu III Powstania Śląskiego.*

✂ **23 marca.** Dzienniki relacjonowały ogólnopolski wiec w Collegium Novum poświęcony wynikom plebiscytu na Górnym Śląsku, uchwaleniu konstytucji i zawarciu pokoju w Rydze. W przyjętej rezolucji stwierdzano: „Oświadczamy, że do pogwałcenia praw ludu górnośląskiego za żadną cenę nie dopuścimy. Praw tych jesteśmy gotowi strzec z bronią w ręku. Jedno tylko rozwiązanie sprawy uznajemy – powrót Górnego Śląska do Polski”.

✂ **24 marca.** Komunikat z „IKC”: „Miejski Urząd Zdrowia zwraca się z apelem do ludności, aby przed świętami korzystała z bezpłatnych kąpiei (tuszków) na Dajwórze obok III Mostu, otwartych od godz. 9 rano do 5 po południu dla kobiet i mężczyzn oraz ką-

piei w łaźni wojskowej w koszarach im. Sobieskiego (wejście od ul. Szlak), otwartej w dni powszednie od 5 do 8 wieczorem, a w niedziele i święta od 8 do 10 rano (tylko dla mężczyzn)”.

✂ **24 marca.** Anons z „Nowej Reformy”: „Ogier Berber-Orłów ze stadniny ks. Ostrowskich, lat 4, karnogniady, miara 16,6, jeszcze nie dopuszczany, jest do sprzedania. Zgłoszenia Krzyżanowski, Wilamowice koło Bielska, Małopolska”.

✂ **25 marca.** „Do pracowni krawieckiej Izraela Browa przy ul. Starowiślniej 27 wpadło kilku strajkujących czeladników krawieckich, którzy siłą zmusili zajętych tam krawców oraz właściciela zakładu do zaprzestania pracy. Kilku napastników aresztowała policja pod zarzutem zakłócania porządku” – relacjonował „Czas”.

✂ **26 marca.** Z kroniki „Czasu”: „Wczoraj w gmachu Towarzystwa Przyjaciół Sztuk Pięknych odbyło się otwarcie zbiorowej wystawy prac Stefana Filipkiewicza, obejmującej 50 obrazów. Wystawa urządzona w dużej sali i świetlicy potrwa do 28 kwietnia”.

✂ **27 marca.** „Grono współpracowników administracji pism krakowskich urzędują 2 kwietnia br. w sali Sokoła wielką zabawę taneczną. Część dochodu prze-

8 marca. Z inicjatywy Narodowej Partii Robotniczej pod pomnikiem Mickiewicza odbył się wiec robotników przeciwnych szerzeniu idei komunistycznych.

znaczona będzie na Towarzystwo Krakowskiego Pogotowia Ratunkowego. Zaproszenia wydaje biuro reklamy prasowej Promień, pl. Wszystkich Świętych 8” – anonował „Czas”.

✂ **31 marca.** „IKC” pisał w alarmistycznym tonie: „Zagłada plant Dietlowskich. Przerażający obraz wandalizmu”. Dość spory tekst dotyczył degradacji tego zielonego terenu, pamiętce po płynącej tam kiedyś Wiśle.

Na odnowę plant Dietlowskich, według projektu inspektora ogrodów miejskich Aleksandra Gauzege, przyszło poczekać do 1927 roku. Mimo systematycznego okrawania pasów zieleni na potrzeby rosnącego ruchu kołowego, planty Dietlowskie przetrwały w tym założeniu aż do roku 1970, kiedy podjęto decyzję o poprowadzeniu ich środkiem linii tramwajowej do budującego się mostu Grunwaldzkiego.



Krzysztof Jakubowski – krakus, publicysta, miłośnik i popularyzator historii Krakowa. Autor m.in. dwóch tomów felietonów *Kraków na starych widokówkach* oraz książki o historii krakowskich kawiarni i cukierni *Kawa i ciastko o każdej porze*.

Czekając na podwójnie bezpieczny samowar

Tekst: Paweł Głowacki

Czwartek

„Odpowiednie dać rzeczy słowo” – apeluje Cyprian Kamil Norwid. Poetów trzeba słuchać, wieszczów zwłaszcza. Jeśli zatem w Święta Bożego Narodzenia teatr zaserwował internetowy pokaz swojej kuchni, czyli relację z pichcenia premiery, to w pisaniu o zdarzeniu tym artystycznym kuchenna semantyka jest jak najbardziej na miejscu. Rzecz jasna – nie wszystko pasuje. Wyciskacz do czosnku, na przykład. Raczej się nie nada. Durszlaka też bym nie ruszał. Ale pokrywkę – owszem. Pokrywka jest celna. Brać. Z rondlem, oczywiście.

Piątek

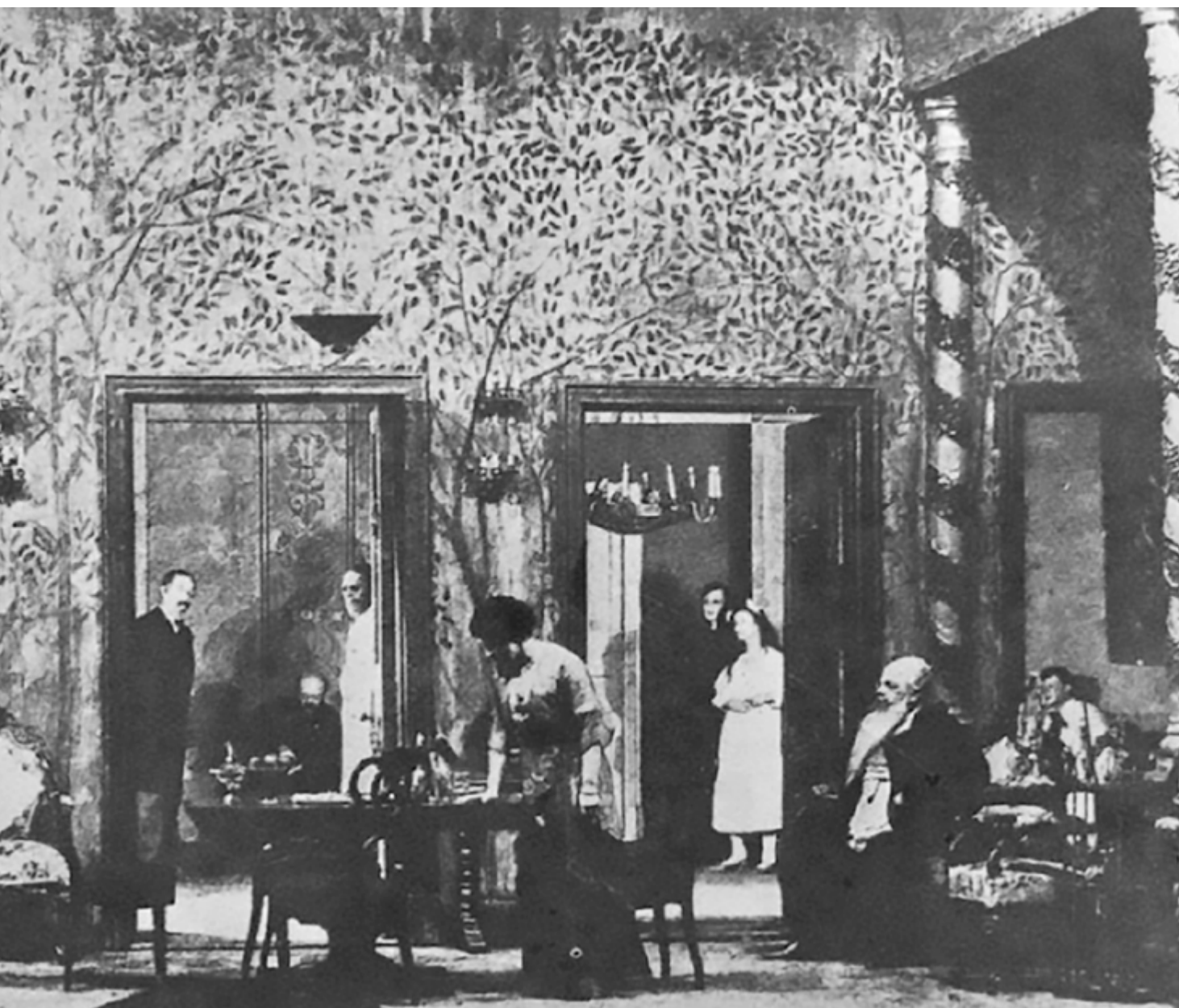
Na kanwie wspomnianego zdarzenia Norwid po rondel i pokrywkę sięgnąłby niechybnie, więc i ja sięgam bez wahania, sięgam i konstruuje metaforę malowniczą, lecz, co tu kryć – trochę jak z horroru *Rondle mają oczy*, ale cóż... Otóż, gdyby nie pokrywka – na dnie świątecznego rondla teatralnego dostrzegłbyś figurkę roztrzęsionego chłopczyka. Gołe, wychudłe maleństwo wielkości pietruszki, na tycim zydlu, obejmując zapalnikami rączek podkurczone pod brodę kolanka w strupach, cielecymi oczętami w górę by zerkąło na ciebie – wielkoluda nad rondlem pochylonego i wachlującego się trzymaną w lewej dłoni za krawędź pokrywka jak pancernym wachlarzem. Zerkałoby płochliwie, cichuteńko błagając tak oto: „Daj misia jakiegoś, albo przynajmniej główkę misia daj, albo tylko nóżkę misia, rączkę, uszko, oczko, cokolwiek, może być garstka trocin z brzuszka misia, daj cokolwiek, bo nie mam się czym bawić, nie mam na czym się wesprzeć, nie mam żadnego towarzysza gier i zabaw, tylko pustka wokół...”. Oczywiście można, ba, nawet trzeba, aby jeszcze odpowiedniejsze dać rzeczy słowo, koniecznie trzeba naczynie ozdobić. Namaluj na pokrywce maskę karnawałową, maskę, co pękatymi oponami księżycowo wygiętych warg i sterzącym w czarnej czeluści między oponami zębem jedynym – samotnym czarnym żaglem górnej lewej trójki – na wieki wieków unieruchamia grymas byczego rechotu. A dla zupełnej jasności stwórz na wypukłej ścianie poniżej pokrywki afisz anonujący zdarzenie. „Narodowy Stary Teatr. Czytanie *Wiśniowego sadu* Antoniego Czechowa. Reżyseria – Agnieszka



Glińska”. Tak, rondel niechaj będzie słupem ogłoszeniowym...

Niedziela

Spokojnie, proszę się nie obawiać, nie przerażać. Rondelkowy chłopczyk przeżył. Nic mu się nie stało. Jest już w domu. A reszta? Właściwie ilu rondelkowych chłopczyków brało



Fot: Aleksander Bakszy – scena z *Wiśniowego sadu*, MChAT, Moskwa 1904

udział w tym czytaniu publicznym? Ile tkwiło na dnie rondla dziewczuszek czytających chichotliwie? Inaczej zapytam. Czy ktoś z aktorów utrzymał się na poziomie swego wieku? Czy też wszyscy naraz wrócili do pierwszej, góra drugiej klasy szkoły podstawowej, kiedy to na długiej przerwie między „matką” a „polakiem” chichotało się, oj, chichotało?

Poniedziałek

Czytanie pierwsze, drugie, trzecie. Próby stolikowe. Próby czytane, czyli zakulisowe nieśmiałe początki późniejszego arcydzieła scenicznego. Pierwsze koty za płoty. To jest stara jak teatr kuchnia teatralna, to są stare jak iluzja wstępne takty pichcenia premier. Niczego jeszcze nie ma, nikt jeszcze nic nie

wie na pewno, nawet sam reżyser. Są tylko jakieś mętne przeczucia, kawałki tajemniczych snów, kilka cichych marzeń, że to chciałoby się zagrać tak, a tamto – siak. Omamy, zwidy, widma, zaledwie kielki gestów, intonacji, spojrzeń, rytmów, milczenia. Tak, niczego nie ma. Przede wszystkim – nie ma nawet najlżejszego skrawka inscenizacji. Znikąd pomocy. Ani ze strony kostiumów – do dnia ukazania się na próbach butów, portek, sukni, koszul,

15 maja w Narodowym Starym Teatrze odbyć się ma premiera *Trzech sióstr* w reżyserii Luka Persevala. Ideę już ogłoszono. Otóż: samotność ludzi w czasach pandemii. Na razie trwają intensywne prace intelektualne nad wstrząsającą kwestią, którzy bohaterowie winni nosić maseczki, którzy zaś nie. Ponoć rozkwitł ciekawy koncept, aby tylko samowar nosił maseczkę, a nawet dwie.

kapeluszy i reszty odzieży tygodnie upłyną. Ani ze strony muzyki – wszystkie pięciolinie wciąż puste zupełnie. Ani ze strony światła – reflektory są martwe, o ożywczym grze blasków i mroków mowy nie ma. A wsparcie ze strony, powiedzmy, pistoletów, gitar lub samowara? A, by tak rzec, pomocna dłoń, wyciągnięta przez sceniczne filiżanki, sztucce, talerze, karafki, fotele, komody, klamki u drzwi i kolosalną resztę przedmiotów sztucznych? Nie ma rekwizytów, ani jednego, najmniejszego choćby. Pustka. Nic. Ani śladu pluszowego misia. Nie ma się z kim, z czym bawić. Lita nieobecność sprawdzonych towarzyszy gier i zabaw scenicznych. Wokół na krzesłach – koledzy skuleni i skulone koleżanki. Tylko oni. Oraz na pustym blacie to, od czego trzeba zacząć, od czego zawsze się zaczyna, bo inaczej się nie da. To, bez czego nic się nie wydarzy. Tekst. Słowa obce. Obce zdania. Jak w Narodowym Starym Teatrze w święta – frazy Antoniego Czechowa na kolanach aktorów i aktorek. W prologu pada słowo „Wiśniowy”. Tuż po nim – „Sad”.

Wtorek

Kto wygłosił ten dwusłowny początek? Dobrze nie pamiętam. Chyba nikt z aktorów siedzących na krzesłach w pustym, pastelowym pokoju, wgapiionych w rozłożone na kolanach teksty ostatniej, pożegnalnej

Czechowa teatralnej opowieści o ostatnim pożegnaniu. Może sama Glińska, spoza kamery, z ukrycia? Dobrze pamiętam jedynie, że w dwóch tych słowach, w tym zza kulis recytowanym *Wiśniowym sadzie* – nie było *Wiśniowego sadu*. Nie było, gdyż w brzmieniach tak martwo podanych do słuchania, ale za to solidnie roześmianych, mogło zmieścić się cokolwiek, wiele, wiele znaczeń: Zagajnik kokosów, Gruszkowy bór, Młodnik śliwkowy bądź też Bananowe knieje. Cokolwiek, więc i przy odrobinie fartu – *Wiśniowy sad*. Tylko że byłby to jedynie *Wiśniowy sad*, bez Czechowa. I tak już zostało, tak to się toczyło przez minut ponad sto.

Czwartek

Dziwne zdarzenie, paradoks. Oto los, Parki, Melpomena, a najpewniej banalny przypadek dał im szansę czystego obcowania z samą tylko elegią Czechowa, obcowania bez żadnych dodatkowych, pobocznych, rozpraszających uwikłań, bez konieczności kielżnienia miliona ozdobników, dryfowania w labiryncie kostiumów, rekwizytów, świateł, nut, całej bombastycznej inscenizacyjności. Otrzymali oto trywialny, najcudowniej trywialny dostęp do źródła, do słów, w których jest sedno, wystarczyło jedynie patrzeć uważnie po linii prostej w dół, w rozłożone na kolanach gołe słowa elegii i ufać im. A oni – co? Dzieci we mgle, bo nie ma misia inscenizacji, nie ma sztucznych bród, peruk, samowarów, gitar, iluzyjnych zachodów słońca i wieczornego śpiewu ptaków, sunącego z głośników. Co najpotworniejsze – na zewnątrz starych słów nie ma żadnej nowej idei wyjaśniającej stare słowa, idei będącej odpowiedzią na pytanie: „O czym to to jest dzisiaj?”. Tak, dzieciarnia, rechetliwością godną przerwy między „matką” a „polakiem” pokrywająca własny strach przed słowami czystymi, przed oczywistością, że jedyną istotną ideą *Wiśniowego sadu* jest sam *Wiśniowy sad*, a reszta to jedynie troska, aby go nie spłoszyć. Nie wszyscy aktorzy, nie wszystkie aktorki i nie przez bite sto minut z okładem skrywali się tak pod pokrywką, lecz wyjątki te nie zmieniają żalosnej istoty rondla całego. A to jakieś wice intonacyjne rozkwitały na krzesłach, a to dzwoniły dowcipy w akcentowaniu, a to szło równo udawanie półanalfabety dukającego literki, a to ktoś dziwacznie parodiował Czechowowi ogórka pod lewym okiem albo znaną z kabin szkolnych toalet chłopców „armatkę” – na środku czoła. I jak w dwusłownym prologu mieścił się Zagajnik kokosów, Gruszkowy bór, Młodnik śliwkowy lub Bananowe knieje,

tak na krzesłach siedziało wiele dziwacznych figur, tylko raczej nie z elegii Czechowa. Kobitka, co na grzybobraniu wciąż myli pieniek z opieńkiem. Młodzieniec histerycznie sepleniący w poczekalni gabinetu dentystycznego. Regularnie masujący początki łysiny księgowy, doszczętnie zblazowany życiem wśród skoroszytów. Jakiś gość od Dickensa, jakaś panienka z pensji pani Latter, jakaś czaruniawa babina, co u Wiecha mogłaby pyzami na targu handlować, ktoś rześki niczym Koziołek Matołek, ktoś sprytem dorównujący małej małpce Fiki-Miki, ktoś bardziej tajemniczy niż Szpieg z Krainy Deszczowców, czyli karrrambaaa, także ktoś rozgarnięty niby pan Samochodzik, więc jakby solidnie poskrobać – wśród bezradnych wobec *Wiśniowego sadu* aktorów również Templariusz by się znalazł, a nawet trzech. Tacy. Każdy na swoim krześle, osobny, bez związku z nikim obok, każdy przerażony własną dezorientacją i każdy z innej literackiej parafii, lecz żaden, prawie żaden w pełni z Czechowa. I tu otwiera się drugie dziwne zdarzenie, drugi paradoks.

Niedziela

Żaden w święta czytający, a raczej jedynie pochylony nad literami *Wiśniowego sadu*, nie był z *Wiśniowego sadu*. Żaden, na głos usypujący z liter *Wiśniowego sadu* bezładne sterty, w istocie nie czytał przed nami *Wiśniowego sadu* – ale szkielec całości był przecież wprost z ostatniej sztuki Czechowa! Święteczny rondel Glišńskiej miał niechcący strukturę *Wiśniowego sadu* i reszty scenicznych opowieści Czechowa! Struktura, szkielec, kręgosłup, stos pacierzowy, obojętne, jak to nazwiemy. Jak wiele napisano o tajemnicy dialogów Czechowa, które nigdy, prawie nigdy nie są rozmową, lecz łagodnym rozmijaniem się zdań ludzi siedzących tak blisko siebie, że dzieląc ich przepaść jest nie do przebycia? Ile razy zgłębiano niepodrabialną Czechowa sztukę portretowania zbiorowych tańców słownych na parkiecie w sumie niewielkim, rozmiarów przeciętnej sceny teatralnej, tańców, w których biorą udział muskające się od czasu do czasu plecami monologi, monodramy, cicho gadające osamotnienia? Ile razy wracano do fundamentalnego znaczenia spotkań w jednym miejscu, gdzie przychodzi kilka samotności, aby po niewielkim czasie brzęczenia – pożegnać się ostatni raz i odejść, każda samotność w swoją stronę? Odejść także bez ruszania się z miejsca, jak stary lokaj Firs w finale *Wiśniowego sadu*, w pamiętnych taktach ostatnich, w tych kilku zdaniach, które nie potrzebują niczego – żadnej pomocy z zewnątrz, żadnego misia inscenizacji, żadnej wyjaśnia-

jącej idei bardzo aktualnej i żadnego ruchu – aby kłuć dotkliwie.

Poniedziałek

No i trzeci, już ostatni paradoks. W sumie strach myśleć dziś o świętecznym dokonaniu Glišńskiej. Tak. Lecz gdy pomyśleć zarazem o maju – myśl o cudem ocalałym w świętecznym dokonaniu Glišńskiej szkielecie teatru Czechowa jest jedyną metodą uspokojenia.

Czytanie pierwsze, drugie, trzecie. Próby stolikowe. Próby czytane, czyli zakulisowe nieśmiałe początki późniejszego arcydzieła scenicznego. To jest stara jak teatr kuchnia teatralna. Niczego jeszcze nie ma, nikt jeszcze nic nie wie na pewno, nawet sam reżyser. Są tylko jakieś mętne przeczucia, kawałki tajemniczych snów, kilka cichych marzeń, że to chciałoby się zagrać tak, a tamto – siak.

15 maja w Narodowym Starym Teatrze odbyć się ma premiera *Trzech siostr* w reżyserii Luka Persevala. Ideę już ogłoszono. Otóż: samotność ludzi w czasach pandemii. Na razie trwają intensywne prace intelektualne nad wstrząsającą kwestią, którzy bohaterowie winni nosić maseczki, którzy zaś nie. Ponoć rozkwitł ciekawy concept, aby tylko samowar nosił maseczkę, a nawet dwie. Jedną, białą, w górze, na czajniczku. Druga zaś, czerwona, chronić ma wylot kurka dolnego.



Paweł Głowacki – krytyk teatralny i recenzent kultury, postać barwna.

Kilka słów na odchodnym. O Ludwiku Flaszenie

Tekst: Marta Wyka Zdjęcie: Grzegorz Kozakiewicz

Był długowieczny, jego rówieśnicy z krakowskiej szkoły krytyki odeszli przedwcześnie.

Niegdyś zasiadali w tej samej ławce w Gołębniku, rozsiewali dyskusyjny zamęt, potem szybko przechodzili na ty ze swoim mistrzem (młodym, bo zaledwie trzydziestoparoletnim). Każdy z nich (Jan Błoiński, Andrzej Kijowski, Konstanty Puzyna) szybko dorobił się własnego stylu. Ale styl Ludwika był szczególnie: pisał recenzje i moralia, obrazki fabularne i kroniki podróży. Na ile to się skumowało w „teatrze ubogim”, który współtworzył z Je-

Ludwik Flaszen zmarł w listopadzie 2020 roku w Paryżu. Został pochowany w Krakowie na cmentarzu przy ulicy Miodowej, obok swoich rodziców Feliksa i Józefy Frischerów. Żył 90 lat.

rym Grotowskim, to pytanie osobne. Podobno sama nazwa jest jego autorstwa.

Jego *Cyrograf* zrobił międzynarodową karierę, tłumaczono książkę na różne języki. Ale wyrósł z zamętu polskiego Października. Wtedy Ludwik przechadzał się w Klubie pod Gruszką, epatował młodzież tajemniczymi cytatami, istniał jako postać o wyrazistym charakterze i wyglądzie. Zamieszkał ostatecznie w Paryżu, ale w Krakowie bywał często. Zawsze spoglądał tęsknie w okna przyjaciela, Henryka Markiewicza, mówiąc z radością i dumą: przypisy, powstają nowe przypisy.

W roku 1996 opracował kolejne wydanie *Cyrografu* – po ćwierćwieczu, jak pisze we wstępie. Ja zaś czytam dedykację na egzemplarzu, który od niego dostałam: „Drogiej Marcie, z zawsze wierną pamięcią dla wspólnej Matki naszej, św. Pamięci Polonistyki – oddany Ludwik Flaszen, odstępcza (Paryż, 8 V 1997)”.

Po *Cyrografie* opublikował jeszcze *Teatr skazany ma magię* i *Grotowski&company*, wielką Księgę. Debiut, czyli *Głowa i mur*, już po wydrukowaniu został przemielony, stał się zatem jednym z flagowych bohaterów polskiej literatury podziemnej. Ale literatura jakby przestała interesować Flaszena, przeszedł do innego towarzystwa.

Przypomnijmy Odstępcę. Zobaczmy, co porzucił, ale też – co opuścił. I czego nie zapomniał.

*

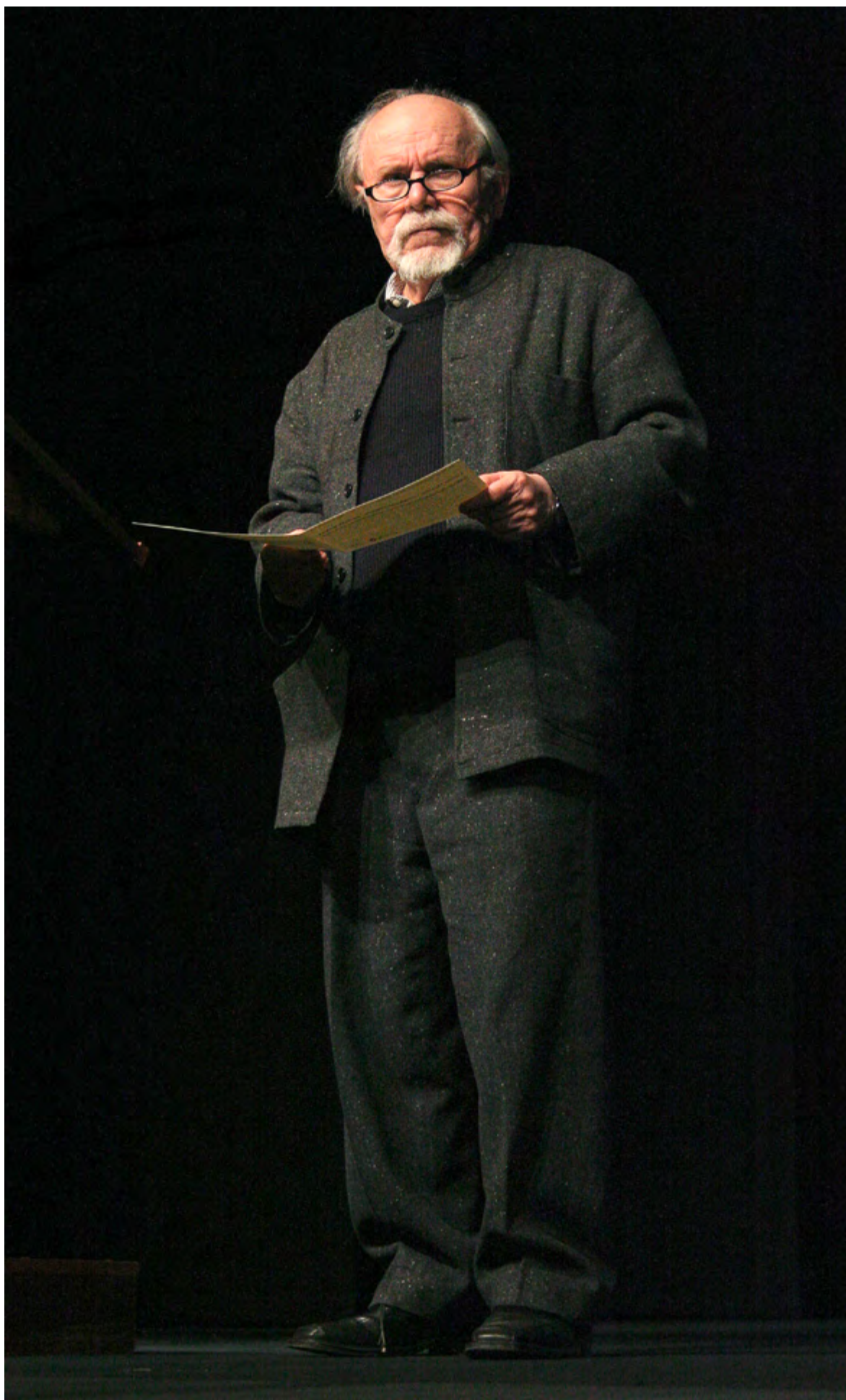
Po latach wygłosił w Paryżu, w Bibliotece Polskiej, odczyt zatytułowany *Dzieci Października patrzą za Zachód*. Mocno już utwierdzony w swojej europejskiej pozycji i umysłowym wpływie, opowiadał w nim o młodości pośród rówieśników, którzy, mimo opresji politycznej, stali się Kimś. To genialne pokolenie urodzone w okolicach roku 1930, następne po Miłoszu i katastrofistach. Myślę, że takiego właśnie należy użyć wobec nich przymiotnika.

Flaszen, w roku 2007, patrzy na tamtego Flaszena, brodatego egzystencjalistę w czarnym swetrze, z czułością i nostalgią, chce siebie samego wskrzesić i nie sprzeniewierza się swojej przeszłości i młodości. Ta zaś działa się w Krakowie i wpływ miasta nigdy nie wygaś, choć droga wyprowadziła Flaszena na inne obszary. Mówi więc na wstępie: „Wybaczcie Państwo, że pójde tu duktem wspomnień, jak przystało na przykładowego starca. Zatem będzie to nie tyle odczyt, ile – że użyję modnego słowa – świądectwo”.

Zawsze wydaje się ciekawe, gdy odstępcza wraca do swoich źródeł. Jako jeden z czołowych aktorów Października może święcić swój bunt wyjazdem do Paryża – ludowe państwo przyznaje mu stypendium, dostaje 100 dolarów i oto znajduje się w stolicy świata. Obok niego młodzi poeci, Tadeusz Nowak i Zbigniew Herbert, a także początkujący dramaturg Sławomir Mrożek. Po latach dwóch z nich osiadł w Paryżu na stałe, jeden będzie przemierzał niestrudzenie szlaki Europy. Najważniejszą lekcję Europy pobiera Flaszen od Herberta („czynnego Europejczyka”, jak powiada).

A więc wspomina Herberta, którego miłosierdzie wobec Flaszena nie miało granic: zaprowadził go na tani striptease przy placu Pigalle. Nie tylko bowiem kulturę się wówczas chłonęło, zgniły Zachód pociągał też obyczajem.

Niemniej „Herbert twardo trzymał się swojego przyciasnego, krajowego garniturku – chyba z Pedetu – w którym wyglądał jak wystrojony do egzaminu dojrzałości maturzysty. Zawsze nosił ze sobą jakiś zeszyt (...) i coś w nim starannie zapisywał (...). Ten jest pilny, ten daleko zajdzie – tak sobie myślałem”.



Zachód się otworzył, marzenie się spełniło, również to największe: spotkać się z Miłoszem. Flaszen spędza z nim cały dzień w Montgeron – to była dla niego „Swież pod Paryżem”. Pierwsi wolni stypendyści nie zadawali sobie bynajmniej pytania, co robić na paryskim bruku. Przeciwnie: nowości było tak wiele, że nie dawała się racjonalnie opanować. Miłosz czyta mu swój esej o Simone Weil, pisarce i filozofce młodemu polskiemu intelektualowi zupełnie nieznanej. Otwierają się nowe perspektywy,

Flaszena interesowało nade wszystko, czy ta nasza oczekiwana Europa jest prawdą i jaka to jest właściwie prawda.

odślaniają możliwe źródła wyobraźni (wykorzystane po latach w *Apocalypsis cum figuris*).

Flaszena, zanim wybrał teatr i zaczął współtworzyć jego magię, interesowało nade wszystko, czy ta nasza oczekiwana Europa jest prawdą i jaka to jest właściwie prawda. Pisał wprost, że otwarcie popaździernikowe „pozwoliło naszej generacji wytestować, jakie jest rzeczywiste miejsce Europy w naszym życiu duchowym i na podstawie niejako empirycznej uruchomić proces pojmowania siebie w relacji do tej naszej większej duchowej ojczyzny”.

Wydaje się, że Flaszen zawsze miał szczególnie ostrą świadomość tego, iż jednanie się z Europą nie będzie łatwe. Do tego procesu kulturowego dobrze zdaje się pasować jedna z najciekawszych metafor krytycznych Ludwika: „trudny kunszt womitowania”. Chodziło o wywołanie samokrytyki – ale też o szczególną zmianę proporcji oceny czasów przedwojennych. Odwołać swoje ataki na kolegów (jeśli to w ogóle jest możliwe) powinni Adam Ważyk i Kazimierz Brandys. Ten ostatni wziął po wielu latach udział w spotkaniu-pojednaniu z Czesławem Miłoszem, którego niegdyś skazał na zapomnienie. Podobno nawet uściśnęli sobie dłonie.

Flaszen za wiarogodnych świadków polsko-europejskiego doświadczenia uważa Adolfa Rudnickiego i Tadeusza Różewicza. Podtrzymuje to, gdy Tadeusz Różewicz ma 85 lat, ale wciąż dysponuje głosem samodzielnym.

W nostalgicznym eseju *Wolne miasto Kraków* wspomina „królestwo nowoczesności” z lat popaździernikowych, gdzie oprócz kultu Europy rozkwitała awangarda: Kantor, Jarembianka, teatr Skuszanki, Piwnica pod Baranami, Jerzy Harasymowicz. To dziś ciekawe: Harasymowicz, noszony wtedy przez krytyków na rękach (i piórach), odpadł od tej czołówki. Czy wszyscy się pomylili? Może powinien teraz wrócić do niego jakiś młody, ambitny biografista/fistka?

Flaszen, jak sam przyznaje, zdradził polonistykę. Wybrał teatr, przeniósł się z Krakowa do Opola, tam powstał Teatr 13 Rzędów, tam też Ludwik dokonał ostatecznego wyboru. „Teatr ubogi” odrzucił dekoracje, kostiumy, czyli sztafaż scenicznego widowiska, wybrał aktora i jego ciało. Grotowski i Flaszen stworzyli fenomenalny zespół – który sprawdzał się jednak tylko w ich teatralnej wizji. Póki grali ci sami aktorzy, teatr istniał. Gdy odeszli – pozostały warsz-

taty, które Ludwik prowadził w ciągłych podróżach, wierny komiwojażer teatru ubogiego.

Zamieszkał więc w Paryżu i stamtąd wyruszał w swoje studyjne podróże. Najczęściej do Włoch.

We Wrocławiu zaś powstawał instytut Grotowskiego, przy nim Czytelnia im. Ludwika Flaszena. Nie wiem dokładnie, kiedy przekazał tam swoje zbiory, nie rozproszono ich, więc możemy wciąż wracać do intelektualnych i teatralnych upodobań tamtej epoki. W roku 1995 w Krakowie Ludwik wyreżyserował w Starym Teatrze *Biesy* według Dostojewskiego. Widownia i widzowie znajdowali się na tym samym poziomie co miejsce gry aktorskiej. Siedzieliśmy więc twarzą w twarz. Nie miał ten spektakl najlepszych recenzji, grany był krótko. Zabrakło bowiem aktorów, którzy niegdyś utrwalali i odgrywali magię „teatru ubogiego”.

*

O czym Ludwik mówił rzadko? O swoim żydowskim domu, o wywóźce w głąb Rosji. Nigdy, jak sędzę, nie wykorzystywał w swojej intelektualnej biografii traumy związanej z żydostwem i Rosją. Przeciwnie: jako pierwszy przetłumaczył na polski Michaiła Bachtina, którego książkom wiele zawdzięczają nasi strukturaliści i teoretycy literatury.

Długie życie dało mu większe doświadczenie niż przyjaciołom z lat studenckiej młodości. Ale nigdy z nimi nie zerwał. Jest też jedną z ważnych postaci *Dziennika* Sławomira Mrożka. Gdy się spotykają w Paryżu, wracają z upodobaniem do swojego młodzieńczego dialektu, który w międzyczasie stał się mową dla wtajemniczonych.

W języku Ludwika Flaszena zawarty jest potencjał tamtych lat, ich burzliwość, ale też metafizyka, która powoli zaczęła wygasać. Odchodząc do „teatru ubogiego”, Flaszen pozostał wybitnym stylistą i moralistą październikowego buntu. W kręgu Grotowskiego szukał czegoś innego: egzystencjalnej esencji.

Oddajmy więc głos moralistom, autorowi *Nekrologu*:

„Dużo naszej wiary pomarło. Heniek umarł na liczną rodzinę. Zdzisio umarł na jeszcze roberek. Jacek umarł na da się żyć. Czesio umarł na ech gdyby. Franek umarł na swoje wiem. Zbyszek umarł na co robić. Jurek umarł na Bóg da. Władek umarł na po co mi to. Andrzej umarł na musiałem. Staszek umarł na nie ma głupich. Janek umarł na ale boli. Zyzio umarł na order. Marek umarł ot tak sobie. Józek umarł pod auto.

Tylko my, bracie, jeszcze sobie gawędzimy”.



Marta Wyka – urodziła się w 1938 roku w Krakowie. Jest historykiem literatury i krytykiem, założycielką Katedry Krytyki Współczesnej Wydziału Polonistyki UJ.



Bartolomeo Koczenas, instalacja *Trzy perspektywy* na fasadzie domu na rogu ul. Węgierskiej i Limanowskiego w Krakowie

Część pejzażu...

Tekst: Maria Malatyńska

Od dwóch miesięcy zmagamy się z serialowym portretem Agnieszki Osieckiej na ekranie telewizyjnym.

Pierwsze opinie i recenzje są zgodne, że rzecz jest nieudana. Dlaczego? Postać barwna i lubiana, niestroniąca od skandali towarzyskich i obyczajowych, to już dobry materiał na scenariusz i ekran. A jeszcze: wybitnie utalentowana, autorka ponad 2000 pięknych, żywych i śpiewanych do dziś, poetycko genialnych piosenek. Dlaczego więc miałoby się nie udać? Zwłaszcza gdy w założeniu produkcyjnym tkwił również inny, ważny cel: uczczenie 24. rocznicy śmierci artystki, przypadającej na dzień 7 marca.

Gdzie więc tkwiły trudności?

*

Andrzej Wajda zapytany przed laty, skąd powstał pomysł na mocno niekonwencjonalną, a nawet denerwującą, choć bardzo nowatorską bohaterkę jego *Człowieka z marmuru*, powiedział, że została ukształtowana na obraz i podobieństwo... Agnieszki Osieckiej. Dlatego też chciał, żeby to ona ją zagrała, a gdy się nie udało, poprosił swego scenarzystę Alek-

Krzysztof Komeda powiedział jej kiedyś: **jesteś częścią polskiego pejzażu. Podobało się jej to określenie. I wiedziała, że „polski pejzaż” może być też zobowiązaniem.**

sandra Ścibora-Rylskiego, aby chociaż prawdziwe imię pozostawił jej na ekranie. I rzeczywiście, bohaterka ma na imię Agnieszka.

A gdy w ówczesnych wywiadach pytano debiutującą w filmie, właśnie w tej roli, Krystynę Jandę, czy Wajda dał jej jakąś szczególną wskazówkę aktorską, przyznała, że chciał tylko jednego: by była, jak młodzi aktorzy amerykańscy lat 70.: Robert De Niro, Dustin Hoffman, Al Pacino... Zachwycał się nimi wówczas cały filmowy świat, chwalał talenty, ale i metodę, czyli przeniesioną przez czas i przestrzeń nieśmiertelną pedagogikę Stanisławskiego, podstawę słynnego nowojorskiego Actors Studio Lee Strasberga. A więc to z męską rolą, w nowatorskim wów-

czas obrazie kina skojarzyła się Wajdzie jego bohaterka, nie z kobietą.

Dwa cytaty i natychmiast dwa zupełnie nieprzystawalne do siebie portrety tej samej osoby.

Bo gdzie by tu była prawda postaci, gdyby zderzyć Agnieszkę Osiecką z Dustinem Hoffmanem? Albo ostrą, filmową Krystynę Jandę z lirycznym ściszeniem Agnieszki Osieckiej? Bezpardonowa i przebojowa filmowa Agnieszka, ostra w kontaktach z szefami i z kolegami, owładnięta myślą znalezienia prawdy o przeszłości – niespodziewanie zestawiona byłaby tu z subtelną poetką liryczną, genialną autorką niezliczonych piosenek, która właśnie siłą tych piosenek zawojowała ówczesne pokolenie studencko-inteligencje STS-u, Bim-Bomu i innych. Tworzyła, ale i należała sama do tych wówczas barwnych ptaków, które pomagały ludziom przeżyć tak zwane szare lata socjalizmu, będąc równocześnie prawdziwym dla nich wzorem stylu i smaku. Może nie mieli tak masowego zasięgu, jak choćby... „Przekrój”, też często odczytywany w podobnej roli, ale przetrwali i są. I dziś każda niejednoznaczność pamięci o nich tylko potwierdza tamtą migotliwość ich obecności, oryginalność Agnieszki jako postaci głównej.

*

Wajda wiele razy mówił o Agnieszce Osieckiej. Fascynowała go, podobnie jak wszystkich wokół. W jednym z filmów dokumentalnych powiedział nawet, że wcale się nie dziwi, iż nie zainteresowała jej praca dla kina, choć skończyła reżyserię w łódzkiej Filmówce. Gdyż „Agnieszka powinna być wolna, a tworzenie filmu wymaga rygorów. Tymczasem jej życie realizuje się poprzez wiersze. Są one najczęściej piosenkami, ale kiedyś nadejdzie na pewno taki czas, gdy pozostaną wierszami. Poezją samą w sobie”.

Ten cytat z Wajdy pochodzi z bardzo pięknego, starego filmu dokumentalnego o Agnieszce Osieckiej, który powstał w 1989 roku, wyreżyserowanego przez młodą wrocławską dokumentalistkę Grażynę Pieczuro,



Pomnik Agnieszki Osieckiej w Opolu / © Wikimedia Commons

z muzyką jednego ze stałych kompozytorów Agnieszki Seweryna Krajewskiego. Twórcy mieli szczęście, bo Osiecka jeszcze była między nimi, można było ustawić kamerę i czerpać z jej sympatycznej gawędy o własnym życiu, o kolegach, o rodzinie i o czasach. Młoda reżyserka, która do dziś zrobiła już sporo filmowych portretów różnym artystom, tamtym „Agnieszkowym” portretem zadebiutowała. Może więc to tamten obiekt był tak szczególnie, że powstał film... subtelny i dyskretny, równocześnie w każdej wypowiedzi Agnieszki i jej przyjaciół świetnie uzupełniający sam portret artystki.

Osiecka chętnie zdradziła tam nawet własną zasadę tworzenia. Zapewniała na przykład, że jest przede wszystkim człowiekiem formy. Że często jawnie ucieka od spraw, których nie da się włożyć w formę. Zaskakująca była dla mnie jej własna definicja patriotyzmu, którą w tamtym filmie wygłosiła: „Prawdziwie moją ojczyzną jest nasza gramatyka. Gdy

zechce tam pozostać, powiedział jej, na wszelki wypadek: jesteś częścią polskiego pejzażu, musisz być w Polsce!

Podobało się jej to określenie. I wiedziała, że „polski pejzaż” może być też zobowiązaniem. Agnieszka jako część naszego pejzażu obarczona została – nie pierwszy raz zresztą – misją „nadreprezentacji” ogółu. Czy to się może przydać w opisach tej postaci także i dziś?

*

Agnieszka Osiecka cudownie sprawdzała się w dokumencie. Sama w sobie była dekoracyjna, miała barwny i młodzieńczy sposób ubierania się oraz reagowania na wszystko wokół, lubiła być filmowana w warunkach naturalnych, zwłaszcza nad ukochaną Wisłą lub na Mazurach... Swoiście panowała nad swoimi krajobrazami. *Na całych jeziorach ty...*, pisała. Bo wszystko – o czym mówiła, co robiła, jak wyglądała i jak ją widziano – było już napisane w piosenkach. One stały za nią jako dowody jej uczestnictwa w życiu. Nawet w życiu politycznym, jak ktoś napisał, dokumentując Marzec '68 piosenką o ptakach. Pamiętamy...? *Ci odlatują, ci zostają...*?

Był taki czas, że o Agnieszce powstawało sporo filmów dokumentalnych. Były też przed laty stałe programy telewizyjne zatytułowane *Rozmowy o zmierzchu i o świcie*, a te rozmowy prowadziła z Agnieszką jej przyjaciółka Magda Umer. Agnieszka była dla filmu atrakcyjna. Dobrze się sprawdzała przed kamerą, a kamera, obok jej zawsze interesujących zwierzeń, obok barwy jej doświadczeń rozmaitych, także uczuciowych, których nie taiła przed widzami, potrafiła zachować jeszcze jedną ważną rzecz – urodę jej twarzy. Bardzo jednoznacznej, bo prawdziwie klasycznej, „niezmiennej”, pozbawionej nawet szczególnej dynamiki i emocji, ale przez to bardziej... czystej. Takiej, o której mówi się, że jest „z wody”: regularne rysy są naturalne, twarz zawsze jest bez makijażu. I jeszcze przez całe życie tak samo związane w „ogon” są długie włosy blond, które – nie wiedzieć kiedy – stały się śnieżnobiałe. Nie zmieniła się przez całe życie. Była, jaka była.

*

Piszę o bogactwie dokumentów na jej temat, ponieważ dają one gotowy wzór postaci, jej wyglądu, zachowania, zakresu jej zwierzeń, dynamiki wspomnień. Dokumenty zachowały

Wszystko, o czym mówiła, co robiła, jak wyglądała i jak ją widziano – było już napisane w piosenkach. One stały za nią jako dowody jej uczestnictwa w życiu.

zamknę oczy, widzę mapę naszego języka: tu wiszą rzeczowniki, tam czasowniki, z boku kulą się do siebie przysłówki, a jeszcze panoszą się części zdania...”. Czy ktoś potrafiłby tak czule to wymyślić?

Ale częściej takie dokumenty ujawniały jej cechy, które widoczne były w działaniu. Jeden z jej mężów, pewnie najważniejszy, bo będący ojcem jedynej jej dziecka, Agaty, czyli Daniel Passent, mówił, że Agnieszka posiada zachłanność na życie i potrafi to zawsze przetworzyć w sztukę. Że z natury jest delikatna, ale, jak ma jasno określony cel twórczy, to wtedy prze naprzód i bywa bezwzględna. Przyjaciele mówili o jej „potwornej witalności” i o tym, że najważniejszy jest dla niej kontakt z żywym człowiekiem. Każdą książkę mogą jeszcze kiedyś przeczytać – mawiała – a tego człowieka mogą drugi raz już nie zobaczyć! Krzysztof Komeda, który spotkał się z nią kiedyś w Stanach, bojąc się, że może

jej urodę i „spokój klasyki”, jaki z sobą wносиła. Dlaczego nie potrafił tego zrobić film fabularny? A przecież twórcy wiedzieli, co robią. Nawet liczba odcinków wymyślona została tak, by skończyć serialową prezentację przed kolejną rocznicą jej śmierci.

A 24 lata – to „cała epoka”. Czy rzeczywiście to ją, epokę, chciał serial opisać, a Agnieszka się tylko posłużyć? Przecież każdy odcinek zaczyna się dokumentalnym skrótem z aktualnej wówczas *Polskiej Kroniki Filmowej*. Ona określa czas i kolejnych ważnych urzędników ważnej partii. A więc epoka czy Agnieszka?

Zrobiony przez profesjonalistów scenariusz (Maciej Karpiński, Maciej Wojtyśko i inni), wyreżyserowany przez mistrzów kina (Robert Gliński, Michał Rosa), zagrany przez profesjonalnych aktorów – a mimo to zadziwił chaosem narracji, brakiem zdecydowania przy wyborze materiału, zbytnim schematyzmem, wreszcie postaciami angażowanymi tylko poprzez najprostsze, domniemane podobieństwo fizyczne. A ponieważ w serialu trzeba było pomieścić nieskończoną liczbę osób – najbliższych Agnieszce i tych dalszych, znajomych na krótko, spowinowacanych i krewnych, spotkanych przypadkowo i współpracujących z nią całe życie – to nic dziwnego, że kręcą się przed nami niczym w kalejdoskopie jacyś ludzie, a widz, zamiast patrzeć, co się dzieje, pyta nerwowo: a to kto? To chyba ta niekończąca się galeria ludzi przesądziła o poczuciu chaosu. Obsada aktorska to niemal 190 osób, a prawdziwych ludzi można policzyć na palcach jednej ręki.

Najlepiej widać to, niestety, w osobie najważniejszej – Agnieszce. Tytułowa postać odtwarzana jest w serialu przez dwie aktorki w teorii i praktyce całkowicie do siebie niepodobne. Być może twórcy filmu sądzili, że charakterystyką można osiągnąć każdy „cud”? Młodziutką bohaterkę gra Eliza Rycembel, a dorosłą – Magdalena Popławska. Pierwsza uważana jest za najzdolniejszą aktorkę młodego pokolenia, co to potrafi wszystko zagrać (ostatnio uhonorowana za drugoplanową rolę w *Bożym Ciele*). Druga, przynajmniej w sylwetce i w kolorystyce, wydawało się, jako tako podobna jest do prawdziwej Agnieszki. Pierwsza jest drobną dziewczyną o mocno zadartym nosku, pewnie ktoś z twórców pomyślał, że tak powinna wyglądać „młodość”. Druga jest wysoka, nadmiernie wychudzo-

na, o bardzo długiej twarzy, zapadniętych policzkach i mocno ostrych rysach. Jest w tym filmie scena, na którą przykro patrzeć: wraca do akcji na chwilę „uciekinier” i „wygnaniec” Marek Hłasko (znakomity Jędrzej Hycnar! – warto zapamiętać to nazwisko). Przed jego wyjazdem bardzo sobie bliscy z Agnieszka, byli parą narzeczonych. Wyjeżdżał od tej „młodziutkiej”, wrócił – i wtedy akurat nastąpiła zmiana aktorki. Ciekawe, kto mu powiedział, że to jest ta sama postać? „Może pójdziemy do mnie” – powiedział z dawnego przyzwyczajenia. Agnieszka się nie zgodziła, on nie nalegał. Wcale się nie dziwię, z taką kompletnie nieznaną mu kobietą? I pomyśleć, że starała się o tę rolę podobno Magda Cielecka? Przecież mogłaby być i „młoda” i tą „starszą”.

*

Dobrze jednak, że taki film powstał. Przybliżył epokę, przypomniał piosenki, ożywił reakcje artystyczne, już nieco zapomniane, zwrócił uwagę na postać. Może zbyt bogatą i wszechstronną, żeby wyjść poza schematy? Ale dla odbiorców dobrze zderzyć się choćby ze schematami. Bo coraz ważniejsze dla nas, więźniów epidemii, jest to, aby przybliżać właśnie artystów, postaci z dziedziny sztuki. Mieliśmy ich zawsze sporo, byliśmy z nich dumni, tak wspaniale zawsze potrafili odrywać widzów od spraw politycznych, tak dobrze budowali prawdziwe poczucie wspólnych wartości. Dziś, gdy właśnie jest marzec i powinniśmy obchodzić pierwszą rocznicę zamkniętych kin, teatrów, zamkniętego życia, rozmowy o ludziach sztuki – pokazywanych choćby tylko przez telewizję, choć sprawniejszy i bardziej różnorodny jest internet – stają się niczym odpoczynek dla oczu i pokarm dla myśli. Jeszcze mamy tak wielu artystów do przybliżenia i przypomnienia!



Maria Malatyńska – miłośniczka kina, pasjonatka filmu, recenzentka kulturalna.

Bliscy (reż. Grzegorz Jaroszuk)

Tekst: Łukasz Maciejewski Kadry z filmu: M. Borge i R. Lis/za wiedzą i zgodą dystrybutora

Bliscy – tytuł może aż nazbyt dosłowny. Tak, chodzi o bliskość, a ściślej o jej brak. Bliskość budowaną latami, ale i zapisaną w genach, bliskość więzów krwi. Zaniedbywana, bywa do odtworzenia, ale to niełatwe.



Film o odbudowywaniu rodzinnych więzów. Nic nowego. Można zaryzykować stwierdzenie, że zaraz obok miłości kryzysy domowe, kłopoty w związkach są podstawowym tematem współczesnego kina, zarówno dokumentów, jak i fabuł.

Grzegorza Jaroszuka, twórcę *Bliskich*, wyróżnia jednak tonacja. Reżysera nie interesuje mentalne harakiri, histerie i perwersje. O kwestiach najtrudniejszych: odejściach, depresjach i rozstaniach, opowiada z dystansem, z zawstydzonym uśmiechem, z ironią, ale nie dotkliwą, nie cyniczną, raczej delikatną i bezkolizyjną. Humor filmów Jaroszuka, również *Bliskich*, jest tak subtelny, że czasami trudny do uchwycenia. Nie chcę pisać o artystycznych patronach tego kina, zrobiono to już wiele razy, sam to robiłem, a przecież Jaroszuk, zwłaszcza w rodzimym kolorystyce filmowym, jest kimś oryginalnym i wyjątkowym, nie potrzebuje żadnych odsyłaczy. Cieszy mnie autorska konsekwencja tego autora. W nagradzanych krótkich metrażach, w debiutancim *Kebabie* i *Horoskopie*, również w *Bliskich* pozostaje sobą. Czuję (tak, to określenie na pewno powinno pojawić się w aspekcie twórczości Jaroszuka), ale i uważnym obserwatorem, dostrzegającym drobne absurdy życia i pokazującym je w taki sposób, żeby wyglądały realistycznie. Bo życie według Grzegorza Jaroszuka bywa zabawne, codzienność bywa absurdalna. Pisząc o autorze *Bliskich*, przenoszę jego zamysł artystyczny na siebie, wła-

sne, prywatne doświadczenie, nie po to wszakże, żeby epatować państwa samym sobą, ale by wzmocnić jeszcze celność i wnikliwość Jaroszukowego kina. Uzmysłowiłem sobie, na przykład, że w naszym domu, w rodzinie posługujemy się prywatnymi idiomami, określeniami domowymi, niejasnymi dla innych, które są naszą mową codzienną. Tych słów, określeń i wykrzykników nie zrozumie raczej nikt poza zainteresowanymi, ale kino Jaroszuka to właśnie takie słowa. Niby niepasujące, nazywające rzeczy wspak, a jednak prawdziwe, niewymyślone, realne. Układa swoje filmy jak życie. Ze słów przetrąconych.

„Przeszłość nie jest martwa, a może w ogóle nie jest przeszłością” – pisał William Faulkner. W *Bliskich* odkręcanie przeszłości bohaterów staje się lekcją wyciągania z martwoty. Jaroszuk aplikuje tę martwotę w dawkach lekkich antydepresantów. Jeszcze nie pełne zdrowie, ale już delikatny uśmiech. Bohaterami *Bliskich* jest rodzeństwo grane przez Adama Bobika i Izabelę Gwizdak, nie widzieli się od dawna, ich wzajemne kontakty, jeśli w ogóle były podtrzymywane, to od wielkiego dzwonu, teraz przyjeżdżają na wezwanie ojca (Olaf Lubaszenko), żeby odnaleźć matkę. Hazardzistkę i altruistkę w jednym. Brzmi ekscentrycznie? Może i brzmi, ale gdy oglądamy film Jaroszuka, ekscentryczność ulatuje, a to, co absurdalne, wydaje się naraz oswojone, sankcjonowane, zwyczajne. Bliskie, krótko mówiąc.

Operatorzy John Magnus Borge i Robert Lis robią wszystko, żeby nie burzyć poznawczej zwyczajności. Gesty, postawa, wnętrza, kostiumy. To znamy, mamy na co dzień. Tyle że w sukurs wzorcowi zwyczajności, zawierzeniu kolorystycznemu szarościom, niebieskościom, beżom, towarzyszy abstrakcjonizm warstwy językowej, owe słowa przetrącone. Anegdota jest jak film: krótka, nieporywająca, oszczędna. I wcale nie fabuła, nie anegdota, mają tutaj znaczenie. Chodzi o przetrącenie, o konwencję świetnie

z pomocnymi odsyłaczami, z kim i z czym się to aktorstwo kojarzy. Zrobię jednak unik, wygoda nazewnictwa do niczego nie jest mi potrzebna. Bo na Lubaszenkę się patrzy. Wystarczy. Wydawałoby się, że aktor nie robi niczego szczególnego. Siedzi na krześle, przy stole, patrzy przez okno. Mówi coś, wydaje komendy, nie angażuje się w te dyrektywy emocjonalnie. Jest, no ale właśnie o obecność tutaj chodzi. Aktor u Jaroszuka, zwłaszcza aktor tak świadomy jak Olaf Lubaszenko, staje się medium obecności.



wyczułą przez aktorów. Ciekawa Izabela Gwizdek ma mniejsze zadanie, ale prawdziwą rewelacją filmu były dla mnie role Bobika i Lubaszenki. Adam Bobik jest zadziwiający, a mnie mało kto potrafi w kinie jeszcze zadziwić. Zdumienie wypisane na twarzy, ale i akceptacja tego zdumienia. Piotr szuka matki, pyta ojca, rozmawia z siostrą. Dialogi są krótkie, ścięte w połowie, oczy aktora uważne. „Musimy coś z tym zrobić, bo inaczej wszystko stanie się nienormalne” – mówi Piotr, sam będąc kwintesencją odrębności. I Bobik to rzeczywiście odrębny rodzaj aktorstwa: to kreacja mimiczna, w jakimś stopniu pantomimiczna, zakłęta w geście bardziej niż w słowie.

Podobny efekt, tyle że przy użyciu środków *stricte* aktorskich, nie opierając się na dobrodziejstwie, a może przekleństwie mowy ciała jak w przypadku Bobika, uzyskuje Olaf Lubaszenko w roli ojca. Ucieszyłem się z tej roli podwójnie, nigdy nie miałem wątpliwości, że Lubaszenko wciąż jest wspaniałym aktorem filmowym, tego się nie zapomina po prostu, i nawet w błahych, komercyjnych z założenia filmach, w których grywał od lat, widać było, że potencjał ma o wiele większy niż materiał, z którym się mierzył. Musiał w końcu pojawić się odważny reżyser, który przypomniał o Lubaszence, jakiego pamiętamy sprzed lat, pracującego z największymi. Cieszę się, że tym reżyserem jest właśnie Grzegorz Jaroszuk. W przypadku kreacji Olafa Lubaszenki recenzenta znowu korci, żeby sięgnąć do szuflady

I jest to obecność aktywna w założonej pasywności. Piękna lekcja aktorstwa. Nie potrzeba wielkich gestów ani w ogóle gestów, żeby przy minimum słów opowiedzieć o miłości, czułości, odpowiedzialności i o tęsknocie za rodziną, za dziećmi. Rajem utraconym i przywróconym. Niech będzie to raj z szarym światem, z zimową kurtką, z ceratą w małe czerwone jabłuszka i z wystygłą herbatą. Raj, na jaki nas stać. Rajskie jabłuszko z małą, figlarną gąsieniczką. Na tym polega kino. Na tym polega Jaroszuk.



Łukasz Maciejewski – wykładowca na Wydziale Aktorskim Państwowej Wyższej Szkoły Filmowej, Telewizyjnej i Teatralnej im. Leona Schillera w Łodzi. Dyrektor artystyczny festiwalu Kino na Granicy w Cieszyźnie, ambasador projektu „Kultura Dostępna w Kinach”, kurator filmowy Małopolskiego Ogrodu Sztuki w Krakowie, członek kapituły Paszporty Polityki w kategorii „Film”, członek Europejskiej Akademii Filmowej i Międzynarodowej Federacji Krytyków Filmowych FIPRESCI.



Wiosenne uczytelnienie osi widokowej, rys. Andrzej Zaręba

Sentymentalnie...

Tekst: Mieczysław Czuma

Ale się porobiło. Nauczyliśmy się być wobec siebie bliscy, ale zdalnie. Pomagamy sobie, ale bezobjawowo. A przyjdzie nam może jeszcze i w nosie dłużyć zdalnie. Pewnie i rządzić nami będą ludzie mądrzy i uczciwi, ale bezobjawowo. Szekspir by tego nie wymyślił.

W tym meblowanym po nowemu i mało przyjaznym świecie zaczyna mnie dopadać bezdennie głęboki sentymentalizm. Powracam do zapisanych w pamięci niegdysiejszych czasów staroświeckich. Kiedy cnotą była umiejętność skrzykiwania się, kiedy gromadziliśmy się w stada i poddawali rozkoszom zbiorowego szaleństwa. Pamiętam takie sceny z czasów swojego redaktorowania w „Przekroju”.

Po stanie wojennym, a potem zmianie ustroju nastąpił ogólnonarodowy galop do kapitalizmu. Przekręty bankowe, piramidy finansowe stały się najcenniejszym medialnym towarem. „Przekroju” było z tym nie po drodze. Tygodnikowi obcy był też harmider polityczny, nie pociągało go tropienie obyczajowych skandali. Pismo znalazło się jakby na uboczu. W nim było wewnętrzne ciepło, przekorna autoironia, dystans do tego, co na wierzchu. A nagle czytelnicze gusty i upodobania się odmieniły. Magazynowi trzeba było stworzyć jeszcze jedną, jednak do tej pory nieznaną gębę. Narodziły się więc wielotysięczne imprezy plenerowe (teraz mówi się o tym „happeningi”), które stanowić miały łakomy kąsek dla wszystkich możliwych mediów. A poprzez szerokie nagłośnienie odziewać sławą organizatora.

W 1996 roku Warszawa obwieściła światu 400-lecie swojego ustolicznienia. W odpowiedzi na to w Hawełce, przy suto zastawionych stołach, zawiązała się Tajna Rada mająca zapobiegać ewentualnym próbom odmieniania biegu historii. Na wieży mariackiej Sikorowski odśpiewał swój głośny przebój o tym, aby z powrotem już nigdy, ale to nigdy nie przenosić. Na wypadek skutków ewentualnego powrotu stołeczności ubezpieczono miasto polisą bankową na zebraną do czapki krakowskiej kwotę 35 zł, 51 gr i 31 austriackich szylingów. Z zakola Wisły pod Wawelem spławiona została do mazowieckiej stołeczności okazała butelka z przyjętymi postanowieniami.

Do rozjubleuszonej stolicy wyruszył specjalny pociąg z kilkusetosobową załogą na pokładzie (bracia kurkowi, żupnicy wielicy, chętni do zabawy wszelkiego sortu nieumundurowani cywile). Prezydent Warszawy obdarowany został tortem wyobrażającym przekrój Pałacu Kultury i Nauki. Zaraz potem z najwyższego piętra prawdziwego Pałacu odegrany został na skrzypcach dedykowany jubilatowi hejnał na melodię zapożyczoną z *Wesela* – „Miałość chامية złoty róg”. Na placu Zamkowym nieprzeliczone rzesze gapiów oglądały, jak Zygmunt III Waza ubierany był w czerwoną rogatywkę z pawimi pióra-

mi. Z wysokiego podnośnika miałem okazję szepnąć królowi do ucha, aby nie próbował wracać na Wawel.

W roku 1998, w wyniku reformy administracyjnej, powiat miechowski powrócił z powrotem do Małopolski. Wyzwoleniu Racławic z niewoli kieleckiej trzeba było dać należyłą opłatę. Na wypełniony po brzegi Rynek Główny przybyła z odzyskanych ziem odziana w krakowskie sukmany banderia z kosami postawionymi na sztorc. Swojaków wita-

Co za czasy, komu się to podoba? Dookoła albo ozdrowieńcy, albo zaszczepieńcy, albo tacy, co to ani tacy, ani tacy, pogubieni poplątańcy. A mnie się wciąż marzą wielkogabarytowe balangi bez maseczek.

no chlebem, solą i muzyką. Z estrady padały słowa zabawne i przekornie złośliwe o prześladowaniach, jakie trzeba było znosić pod zaborami. W cieniu Gór Świętokrzyskich nie wolno było więc tańczyć krakowiaka, słuchać hejnału, obowiązywał zakaz hodowli pawów. Kiedy z telewizji usłyszała o tym cała Polska, w Kielcach podjęto kroki odwetowe. Przez długie tygodnie nie było tam sprzedaży „Przekroju”. A było jeszcze świętowanie stulecia kolejowego połączenia Zakopanego z resztą świata, była 633. rocznica uczty u Wierzyńka. I nie tylko.

Sentymentalizm nie zna granic, to, co tu przypominam, to prawie już starożytność. Teraz dookoła albo ozdrowieńcy, albo zaszczepieńcy, albo tacy, co to ani tacy, ani tacy, pogubieni poplątańcy. A mnie się wciąż marzą wielkogabarytowe balangi bez maseczek. Przemielono już mój pesel w ogólnonarodowym banku danych, dostałem esemesa z sieci e-Zdrowie, mam już termin zaszczepienia. Pożyjemy, zobaczymy, może już nie wszystko będzie online.



Mieczysław Czuma – profesor krakauerologii, redaktor niehabilitowany.

Zagrajmy sobie Kraków

Tekst: Magda Miśka-Jackowska

„Tyle się dzieje w tym Krakowie!” – mówili mi często znajomi z różnych regionów Polski, z zazdrością patrząc na zdjęcia z koncertów, wystaw, spotkań i festiwali. Świat się skurczył, drodzy państwo. Włączcie sobie Kraków i poza Krakowem.

Zdolność adaptacji do różnych warunków od zawsze ratowała ludziom życie. Uratowała nam je też teraz. Mam na myśli to życie, za którym tak tęsknimy, choć jest na szarym końcu priorytetów. Życie kulturalne. W ostatnich miesiącach patrzyłam chyba na wszystkie możliwe rozwiązania artystyczne w sieci. Lepsze i gorsze, mądrzejsze i głupsze, całkiem idiotyczne i takie, od których naprawdę łąza się kręciła w oku ze wzruszenia. Teraz wszystko osiadło. Nie siadło, a osiadło właśnie – branża już wie, co robić i jak robić, publiczność wie, jak i gdzie szukać. Mamy alternatywny, potężny świat kultury online. Z konieczności, to jasne, ale może jednak wypełni jakąś lukę, którą tak bezlitośnie tworzy w ostatnich latach na przykład telewizja?

Boli mnie to, że trzeba się bardzo natrudzić, aby znaleźć w podstawowej ofercie telewizyjnej jakiś wartościowy koncert, a tych wątpliwej wartości

komuś, kto jest spragniony jakości i różnorodności. To miejsce nazywa się Play Kraków i jest platformą VOD poświęconą kulturze, zorganizowaną na niespotykaną wcześniej w Polsce skalę.

Jak to opisać bardziej obrazowo? Wszystko to, za co kochamy kulturalny Kraków, można tam po prostu sobie włączyć jednym kliknięciem. Tak, wiem, że lepiej byłoby na żywo, ale z tym na razie dyskutować nie ma co. A nawet później życie będzie nas przecież wysyłać w różne strony i Kraków może po prostu nie być po drodze. Wystarczy zatęsknić i wejść, z każdego zakątka świata, Play Kraków dba też o widza, który nie zna polskiego.

Są więc koncerty (tam właśnie można znaleźć dwuczęściowy jubileuszowy koncert Jacka Cygana), są widowiska, spektakle teatralne. Wywiady. Jest sporo literatury, w różnej formie, między innymi warsztat mistrzowski z Mariuszem Szczygłem. Wiele materiałów kompletnie za darmo. Platforma ma ambicje i chce się rozwijać, działać na żywo, zapraszać nietuzinkowych ludzi. Robić to, co umieją tam najlepiej.

Nie chciałabym, żeby online zastąpił nam bliskie relacje, także te ze sztuką. Postanowiłam się jednak cieszyć tym, co jest, zwłaszcza kiedy jest bardzo dobre. I muszę przyznać, że o wielu przedsięwzięciach nie miałam pojęcia, większość by mnie ominęła, bo sama żyję w biegu i już poza Krakowem. Będę traktować Play Kraków jak telewizję, której nie mam i której nie ma – inspirującą, angażującą, daleką od bylejakości.

Jeśli je przetłumaczyć, to jest w angielskim słowie „play” zabawa, ale jest i gra. Jest też igranie z czymś, jest luz, walka. Bardzo to pojemne pojęcie. Jest wreszcie rodzaj wędrówki, którą uprawiamy właśnie wszyscy, chcąc odnaleźć się w dynamicznych i pełnych wyzwań latach 20. XXI wieku. I nawet jeśli nie wszystkie drogi prowadzą do Krakowa, to warto w jego stronę wirtualnie skręcić. Bo Kraków wciąż robi kulturę na światowym poziomie.

Będę traktować Play Kraków jak telewizję, której nie mam i której nie ma – inspirującą, angażującą, daleką od bylejakości. Ta platforma VOD poświęcona jest bowiem kulturze, a zorganizowana na niespotykaną wcześniej w Polsce skalę.

jest na pęczki. Drażni mnie, jak media obniżają loty, bo tego oczekują widzowie. Dając ludziom tylko to, czego chce większość, tracimy na zawsze szansę dania ważnej lekcji kultury tym, którzy bardzo chętnie by w niej uczestniczyli.

Myślałam o tym wszystkim, zjeżdżając na podziemny parking ICE Kraków. Tego długiego, pięknego dnia nagrywaliśmy tam koncert z okazji 70. urodzin Jacka Cygana. Na scenie było tłoczno, ale przestronnie. Jubilat zaprosił wspaniałych gości, którzy grali i śpiewali, a my rozmawialiśmy na scenie o jego piosenkach, które niosą pogodę ducha i niosą nas przez kolejne już lata. Jubilat z czułością nazywał nieistniejącą jeszcze wtedy z nami publiczność „covidownią”. I przez cały dzień od różnych osób słyszałam, że „takie koncerty powinny być w telewizji”.

I dotarło do mnie wtedy, że właściwie ten koncert jest w telewizji. Jak i wiele innych. W naszej nowej, po-pandemicznej telewizji, ale już całkiem śmiałej, nowoczesnej i dopasowanej do nas jak garnitur szyty na miarę. Czyli w sieci. Jest tam jednak jeden bardzo konkretny zakamarek, który będę polecać



Magdalena Miśka-Jackowska – autorka wielu programów poświęconych sztuce filmowej, jako konferansjerka związana z licznymi wydarzeniami kulturalnymi w całym kraju, fanka muzyki filmowej i Krakowa.

Dziennik pandemiczny: alkoholu nie sprzedam

Tekst: Iga Dzieciuchowicz

W środku nocy obudził Ninę dziwny dźwięk – jakby ktoś do szklanej kuli włożył petardę i podpalił.

Otworzyła oczy i leżała tak chwilę. Wcale nie miała ochoty sprawdzać, co się dzieje. Może wybuch gazu w bloku rozwiąże za chwilę moje wszystkie problemy? – myślała. A może to jakiś włamywacz z siekierą? Czekwała, czekała i nic. Zwlokła się w końcu z łóżka i weszła do salonu. Od razu zlokalizowała źródło hałasu – z oklapłych i zeschniętych na wiór łodyg wielkiej choinki właśnie spadły bombki.

Nina dostrzegała wokół siebie coraz więcej symptomów tej samej choroby – przed chwilą opublikowano nibywyroki niby-Trybunału i kobiety są bite na ulicach, nastolatek zasztyletował 13-latkę w ciąży, a od sylwestra do połowy stycznia naliczyła cztery partnerki zamordowane przez partnerów na oczach dzieci. Polska to piękny kraj.

Nina sama wytaszczyła na śmietnik choinkę, zostawiając za sobą dywan sypiących się igiełek. Ustawiła ją obok innych zielonych kikutów, które walały się pod wiatą – wszystkie obrazowały zbiorową nienawiść do świąt, którą rodacy z dysfunkcyjnych rodzin przekazują sobie z pokolenia na pokolenie albo – inaczej – wysysają z winem matki. Nina coś o tym wie. W końcu jej eks, nazywany Panem Wigilią, miał szczególne podejście do świąt – spędzał je, jak każdy prawdziwy przyjaciel kobiet, z różnymi samotnymi koleżankami. Dzięki filozoficznym rozmowom o bólu życia i wyświadczeniem rozmaitych przysług sposobem „na empatycznego Mietka” właśnie zmierzał z nimi na skraj łóżka. A to wszystko w wigilię i pod powiewającym sztandarem traum z dzieciństwa, którymi tłumaczył Ninie każde kłamstwo. Nina wiele potrafi wybaczyć, ale te wyjaśnienia były tym szczególnym rodzajem aktu desperacji, który zawsze napawał ją obrzydzeniem. Tak więc Pan Wigilia podzielił los choinki.

Nadszedł w końcu dzień, kiedy Nina, zwolniona wieczorem z roli matki, bezkarnie mogła się trochę nawalić. W tym celu udała się późnym popołudniem do Lidl. Stała przy kasie, syn pakował zakupy do siatek. Nagle kasjerka podnosi butelkę prosecco, patrzy na Ninę, na butelkę, na dziecko, to znów na Ninę.

– Poproszę dowód! – mówi.

Nina myślała, że się przesłyszała. Można pomylić się o dwa lata, ale o dwadzieścia? Bez jaj. Dowodu nie miała.

– Pani chyba sobie żartuje. Sugeruje mi pani, że jestem niepełnoletnia? Ten dzieciak ma dziewięć lat – powiedziała Nina, wskazując na syna, który bezgłośnie pokiwał głową. – Jestem jego matką.

– Równie dobrze może być pani siostrą...

– Nie, jestem matką, a tu mam kluczyki od auta. Proszę! – powiedziała Nina, kładąc z brzdękiem kluczyki na ladzie.

– Nie mogę sprzedać pani alkoholu.

– Nie mam dowodu. Nie sądziłam, że ktoś mnie będzie legitymował w tym wieku! – wykrzyknęła Nina już mocno czerwona na twarzy, a luźna myśl o wypiciu prosecco wieczorem nagle stała się obsesją.

– Musimy legitymować wszystkich, którzy wyglądają na mniej niż 30 lat.

– Słucham? Przecież to jakiś absurd. Alkohol jest dozwolony od 18. Jak pani może ocenić mój wygląd w maseczce? A pani na pewno ma 18 lat? Może obsługuje mnie jakieś wyzyskiwane dziecko. Proszę zawołać kierownika. – Nina była już nieźle wkurzona, a lampka prosecco paliła się w jej głowie jak reaktor w Czarnobylu.

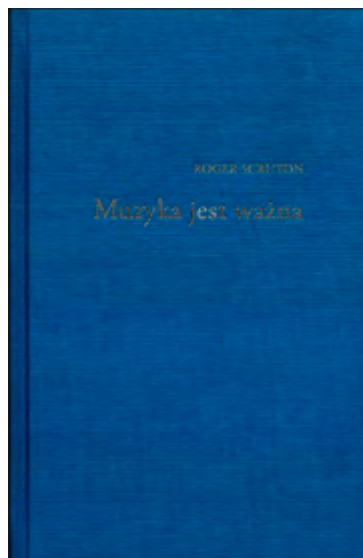
Przychodzi kierownik, który bez dokumentów alkoholu nie sprzedaje. Nina daje upust swojej złości i wcale nie pochlebia jej, że młodo wygląda. Alkohol kupuje jej inna klientka.

– Proszę pani, to przez tę pani maseczkę z błyskawicą. Ona się tak z młodymi kojarzy!

Ułamek sekundy i w Ninie jakby topnieje gniew.



Iga Dzieciuchowicz – teatrolożka i feministka. Publikuje w „Dużym Formacie”, „Tygodniku Powszechnym”, portalu Onet.pl i „Codzienniku Feministycznym”. Współautorka książki *Bartoszewski. Droga*.



To jedynie z pozoru powieść kryminalna. Chodzi tu o coś więcej, bo nie tylko formułą *noir* autorka wygrywa ten, wydawałoby się, zwyczajny kryminał w kierunku drugiego dna opisywanych wydarzeń. Schodzimy bowiem na dno piekła. To świat nie dla każdego dostępny i nie każdy ma świadomość, jak jest tam, na dnie rynsztoka, nie tylko faktycznego, ale też psychicznego. Historia, a raczej obraz upadku, unurzania się w obscenie, tragiczna i bolesna, uwiera długo. Trudno wrócić do normalności po lekturze, w której nie ma nikogo bez psychozy, dewiacji, perwersji, brutalności, sadyzmu. Zboczenia, okrucieństwo, pornografia, przemoc... czegoż nam nie serwuje autorka. Ale zdziwiłby się ten, kto by uznał, że to świat wykreowany, wymyślony na potrzeby „uderzeniowej” lektury. Czyż nie słyszymy codziennie o morderstwach, dilerach, gangach, o handlu seksem? Ten świat istnieje. I dzieli go od nas cienka linia, wystarczy niebaczny krok, a możemy się znaleźć po drugiej stronie, i może się nam nie udać powrót przez tę granicę. Niektórzy pozostają tam, bo mroczna część ich samych już na taki powrót nie pozwala.

Wszystko jest w tej historii nieoczywiste. Kolejnych bohaterów zdaje się ogarniać choroba psychiczna. Czy jednak nie jest to zbyt proste wytłumaczenie? Czyżby autorka podpowiadała: przyjrzyjcie się sobie, jeżeli nie możecie spać spokojnie?

Elżbieta Wojnarowska

Po co filozofom muzyka, a muzykom filozofia? Czym się różni słuchanie muzyki od jej słyszenia? Czy zachodzące procesy społeczne wieszczą koniec muzyki klasycznej? Dokąd podąża współczesna twórczość muzyczna? Ale też dlaczego powinniśmy uczyć się łaciny i jak w procesie edukacji winno się wyrażać szacunek dla dziecka? Odpowiedź na te i inne pytania znajdziemy w esejach Rogera Scrutona zebranych w tomie *Muzyka jest ważna*.

Zmarły w 2020 roku Roger Scruton był przede wszystkim filozofem, ale jego zainteresowania wykraczały znacznie poza tę dziedzinę. Zajmował się z powodzeniem krytyką literacką, eseistyką polityczną, pisał powieści, a nawet komponował (miał w dorobku dwie opery), choć nie odbył regularnych studiów muzycznych. Jego wielką troską była edukacja oparta na poszanowaniu tradycji i wartości kształtujących przez wieki cywilizację zachodnią. Tę troskę można odczytać i w tych esejach. Scruton wojuje w nich między innymi z poglądami Theodora Adorna, które kształtowały muzykę po II wojnie światowej, a i dzisiaj mają zwolenników. Broni w muzyce piękną linię melodycznej, doskonałości formy, emocji będącej wynikiem duchowego przeżycia i zakorzenienia w przeszłości. Czyni to z pasją, a swe poglądy wyklada jasno (to wielka zaleta jego pisarstwa). Można się z nim nie zgadzać, ale warto te eseje przeczytać, tym bardziej że teksty Scrutona dotyczące muzyki ukazują się w Polsce po raz pierwszy.

Anna Woźniakowska

Książka o losach nowohucianek spod znaku „kielni” nadspodziewanie wpisuje się w aktualną refleksję w sytuacji, którą kształtują protesty kobiet spod znaku „pioruna”.

Nie jest to, jakby sugerował tytuł, zbiorowy konterfekt budowniczych Nowej Huty. Zawiera bowiem tylko kilkanaście nietuzinkowych portretów kobiet, które własnymi rękami i talentami budowały hutę stali. Stały się ikonami w pogańskiej świątyni Kombinatu, której całą nadbudowę po latach, nierzadko tymi samymi rękami, zburzono do samych fundamentów. Życiorysy niby doskonale odpowiadają klasycznym ideom feministycznym. Widać jednak wyraźny dystans od dzisiejszego skrajnego ruchu trzeciej i kolejnej fali feminizmu. Nowohucianki z reportażowego portretu, mimo licznych swoich grzechów, nigdy nie negowały tego modelu kobiecości, którego fundamentem jest łagodność, miłość i macierzyństwo oraz dbałość o tę kawiarnianą nadbudowę, którą jest podkreślanie urody, choćby sztucznymi socrealistycznymi perłami.

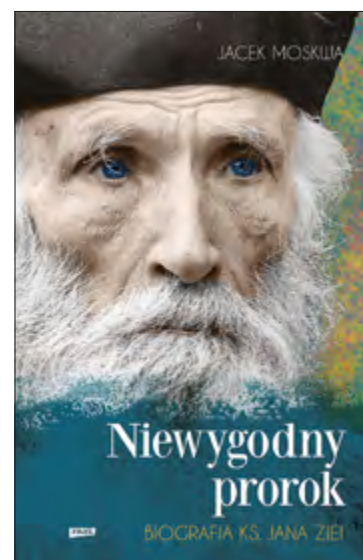
Współautorami książki są dziś starszawi sąsiedzi autorki, mieszkający od zarania w Nowej Hucie. Prawda ich wspomnień składa się na reportażową opowieść o losach kobiet wprzęgniętych w maszynę socrealu. Propaganda wczesnego PRL chciała w herbie Nowej Huty widzieć kobietę. Może symbolicznie portretowaną – jako pólnagi muskularny murarz. Proroczy znak dzisiejszego czasu?

Jan Biela

Anna Mazurek, *Dziwka*, Korporacja Ha!art, Kraków 2019.

Roger Scruton, *Muzyka jest ważna*, Universitas, 2020.

Katarzyna Kobylarczyk, *Kobiety Nowej Huty. Cegły, perły i petardy*, Mando (marka WAM), Kraków 2020.



„Jak prosić siebie każdego dnia o odwagę życia bez odpowiedzi”. Cytat pochodzi ze zbioru wierszy Krzysztofa Budziakowskiego – lirycznych „notatek lipnickich”, książki bogato ilustrowanej reprodukcjami krakowskiego malarza i profesora Tadeusza Boruty. Budziakowski z wykształcenia jest filozofem, przed laty był podziemnym wydawcą, a dzisiaj to ocierający się o politykę społecznik, w końcu stateczny przedsiębiorca. Kiedyś zdecydował, jak wyznaje w jednym z wierszy, zostać poetą, „czyli zacząć żyć teraz naprawdę”. Poecie nieobce jest poranne *carpe diem*, ale i wieczorne zgłębianie tajemnicy *memento mori*. Piszze: „Mojego nieba tutaj nie ma”, co zapewne powoduje pragnienie, by „zostać poetą na chwilę”.

Budziakowski z dystansem podchodzi do swojej poezji, ale niepotrzebnie ubezpiecza lirykę, opatrując debiutancki tom wierszy podtytułem „notatki”. To prawda, sposób obrazowania i frazowania bliski jest poetyckiej prozie. Ale też zdaje się bliższy poezji „drugiej przestrzeni” Miłosza. Od słowa do słowa poznajemy poetycki świat „wyłuskany z szarości i chropowatości dnia”. Warto zadumać się nad tą poezją, której materię ożywia łagodny szmer metafizyczny i wydobywający się spod słów eteryczny zapach kwitnącej lipy zmieszany z (codziennym?) zapachem chanel nr 5. Ale i też nad licznymi reprodukcjami prac Boruty, które dopełniają filozoficzną przestrzeń poetyckiej książki.

Jan Biela

Pokora w tytule oznacza nie tylko nazwisko bohatera. Jest też sugestią autora, w jakim kierunku zmierza tegoż bohatera świat wewnętrzny. Licząca ponad pięćset stron książka jest czymś więcej niż zwykłą opowieścią. To pełne żaru wyznanie namiętności – a raczej obsesji – Pokory do niedostępnej Agnes oraz pełna wzburzenia i emocji relacja Ślązaka z miłości do Śląska. I próba ocalenia własnej tożsamości oraz godności jako człowieka.

Śląsk niemiecki, polski i śląski to trudny węzeł gordyjski mieszkańców i problem nie do rozwiązania, także narodowościowy. Podzielona rodzina, wojna, rewolucja, walki powstańcze, miotanie się od jednej do kolejnych stron konfliktu politycznego – Twardoch nas nie oszczędza. Jego Śląsk staje się naszym. Nie Polaków, lecz czytelników. Nienawiść rodzi nienawiść, chęć odwetu góruje nad racjonalnymi działaniami. Aż bohater pragnie przede wszystkim spokoju. Normalnego życia. Ale i to zostaje mu odebrane. A raczej sam je sobie odbiera – obsesja zwycięża.

Czy *Pokora* to powieść historyczna czy psychologiczna, czytelnik sam musi sobie odpowiedzieć. Nic nie jest w tej książce łatwe.

Elżbieta Wojnarowska

Wyróżniał się wszystkim. I wśród rodzimych księży – bo rzeczywiście żył swoją wiarą, Ewangelią i Chrystusem, wizją Kościoła służebnego i ubogiego. Na dodatek nie odtrącał tych, którzy swoje wartości wywodzili z innych źródeł (jego dyskusje o Bogu i etycznych dylematach z Jackiem Kuroniem, choć prywatne, przeszły do legendy). Dowodził, że jeśli w grę wchodzi dobro bliźniego i prawda, nie ma miejsca na kompromisy – także z hierarchiami.

I wśród rodaków – bo niewielu miało w życiu tak piękne karty, jak udział w wojnie z bolszewikami (choć był pacyfistą), służbę kapelana Szarych Szeregów i Batalionów Chłopskich w okresie okupacji, a w PRL aktywność opozycyjną w Komitecie Obrony Robotników.

Nie bez kozery jeszcze za życia wielu nazywało go prorokiem. Prócz niezłomnej postawy swoje robiły też natchnione, acz głębokie homilie, a nawet charakterystyczny wygląd.

Jacek Moskwa miał swego czasu szczęście namówić ks. Jana Ziębę na wielogodzinne rozmowy. Efektem był głośny wywiad książkowy *Życie Ewangelii*. Teraz dotarł do dodatkowych źródeł – archiwów i relacji świadków, a efektem jest portret nie tyle nawet katolickiego kapłana, ile dobrego chrześcijanina czy po prostu mądrego i odważnego człowieka, a także trudnych czasów, z którymi się zmagał.

kb

Krzysztof Budziakowski, *Choć nasze łódzie przeciekają... Notatki lipnickie*, Biblioteka Toposu, Sopot 2020.

Szczepan Twardoch, *Pokora*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2020.

Jacek Moskwa, *Niewygodny prorok. Biografia ks. Jana Zięby*, Znak, Kraków 2020.

Na równoważni

Tekst: Jan Biela Zdjęcie: Grzegorz Kozakiewicz

Od półwieku miłośnicy polskiej literatury mają w czym (i w kim) wybierać – kiedyś poważna grupa kandydatów do Nobla i dwoje laureatów poetów plus jedna prozaiczka. Aktualni poeci pretendenci, to nobliwy Adam Zagajewski i pokorny Józef Baran, który regularnie, kolejnymi książkami podpisuje światową listę obecności aspirujących do tej nagrody.



Na ostatni i pokaźny tom poezji Barana *W wieku odlotowym* (utwory z lat 2015–2020) składają się wiersze korespondujące z głośnym w ubiegłym roku dziennikiem poety *Stan miłosny przerywany*, będącym przejmującym zapisem stanów fizycznych i emocjonalnych (twórczych) wynikających z doświadczenia bólu i lęku, ale też radości istnienia i poezjowania.

Lektura nowych wierszy siedemdziesięcioletniego Barana skłania mnie do przewrotnego sparafrazowania Miłosza: takich wierszy stary człowiek nie napisze... W przywołanym dzienniku pod datą siedemdziesiątych urodzin poety zapisał: „Boże! I jestem nadal wewnątrz chłopcem”, a przy innej okazji tamże: „Dusza się nie starzeje”. Muszę dodać: dusza poety. Utwory „odlotowe” mają jednak ciężar summy i poetyckiego testamentu: „już jestem / jedną nogą ziemski / drugą niebieski”. Baran na lirycznej wadze wszechświat waży. Szalki jak dwa lustra, jak dwa źródła, jak dwa skrzydła. Na jednej szara bryła – zarobiona śliną glina; na drugiej prawie nic – prochu odrobina. W równowadze. Krakowski poeta z Borzęcina z powodzeniem utrzymuje chwiejną równowagę pomiędzy bryłą borzęckiej ziemi a masą wszechświata. Sensem narodzin a bezsensem śmierci.

Znaczna liczba utworów składających na nowy tom jest filozoficznym wyrazem przygotowania do ostatnich występów na scenie życia. A więc poszukiwaniem równowagi między tym, co było (piękne), co jest (trudne) i co się stanie (nieuchronnie). Baran jest wnikliwym obserwatorem „owocowania”

świata. Wiersze wpisane są czytelnie w codzienną rzeczywistość. Ale mamy też wrażenie, jakby ich twórca przebywał w stanie ciągłej nieważkości, albowiem poeta z równą łatwością to wznosi się i szybkuje obłocznie, a to przysiadła i wydziobuje z urodzajnej ziemi upatrzone z wysokości smaczne ziarna metafor. A kiedy spada (wiele wierszy nosi ślady chorobowych zmagani), roztropnie patrzy w gwiaździste niebo, żeby zachować równowagę między fizyką a optymistyczną metafizyką. Poeta, żeby na koniec znowu przywołać Miłosza, „raz wierzy – raz nie wierzy”, ale jakby inaczej:

Ballada podjesienna

Bóg schował się
za chmury
za Wszechświat
Którym Jest
za ostatnie nie
ba
udaje że go nie ma

W przypadku Barana daje się zauważyć, że to wynik chłopskiej (ale i mądrej Pascalskiej) roztropności. I (uwaga!) może być odczytywana jako ideowy indyferentyzm. Tym samym w przełomowych latach XX wieku Baran „nie dał się zaciągnąć ani pod sztandar Miłosza, ani pod sztandar Herberta”. Z pierwszego wiersza ostatniego tomu *Inwokacja*:

i niechaj Baran
Baranem
pozostanie na amen
nie wycofuje się z Barana rakiem
by być Miłoszem Szymborską
czy broń Boże
Barańczakiem

Do dziś pozostaje wierny konceptualnemu i lingwistycznemu warsztatowi, swobodnie pozwalającemu zachować literacki dystans do opisywanego świata, co znajduje wyraz w ironii wynikającej z poważnego, a obiektywnego i chłodnego podejścia do rzeczywistości. I, co chyba najważniejsze, do swojej twórczości.

Józef Baran urodzony w poetyckim czepku Borzęcina ma szczęście do krytyków i czytelników. Artur Sandauer potrafił zapisać to jednym zdaniem: „Trafia z liryką prosto do ludzkich serc”.

Józef Baran, *W wieku odlotowym*, Zysk i S-ka, Poznań 2020.



Anna Polony w krainie metaksy

Tekst: Magda Huzarska-Szumiec Zdjęcie: Aleksandra Reda

Zmierzenie się z *Savannah Bay* to wyzwanie. Chyba że pracuje się z aktorką tej klasy co Anna Polony.

W jednym z wykładów zamieszczonych w *Czującym narratorze* Olga Tokarczuk przypomina greckie pojęcie *metaksy*, czegoś, co zawisło „pomiędzy”, „pośrodku”, „poza czasem i przestrzenią”: „(...) obszar doświadczenia, który zawsze pozostaje niejasny i zamazany, trudny do zwerbalizowania, w którym jednak ciągle trwają procesy stawania się, fermentacji, buzowania”. Przypomniałam sobie to słowo już w pierwszych minutach spektaklu *Savannah Bay* wyreżyserowanego przez Józefa Opalskiego.

Zmierzenie się z tekstem Marguerite Duras to nie lada wyzwanie. Porwać się na sztukę, w którym *metaksa* przebija się niemal przez każdą frazę, można tylko, gdy pracuje się z aktorką tej klasy co Anna Polony. Rolą Madeleine wraca ona na scenę Starego Teatru, by opowiedzieć o miłości tak wielkiej, że trudno ją unieść, o stracie tak dojmującej, że powraca każdego dnia, o teatrze, który staje się życiem, i życiu, które jest teatrem. Bo świat Madeleine zawisł gdzieś pomiędzy rozbłyskającymi co wieczór światłami reflektorów a realnym światłem poranka przechodzącego w zmierzch. Wielka aktorka raz się przeciw temu buntuje, przybierając pozę teatralnej diwy, by za chwilę wyciszyć się i poddać monotonii czasu z pokorą skazanej na łaskę innych staruszek.

To są momenty, kiedy Anna Polony wzrusza, pokazując swoją porcelanową kruchość. Miałam wrażenie, że w każdej chwili może się rozpaść, nie wytrzymać nadmiaru emocji, które atakują ją

z okrucieństwem pozbawionej skrupułów Młodej Kobiety, świetnie zagranej tu przez Alicję Wojnowską. Tak naprawdę nie wiemy, kim ona jest, gdyż Duras zrobiła wszystko, byśmy ciągle trwali w zawieszaniu, w poczuciu niemożności opowiedzenia o tym, co zaszło na białej skale. Do końca nie będziemy mieć pewności, kim była dziewczyna, która się tam utopiła, kim był mężczyzna, któremu oddała całą swoją miłość, a kim płaczące dziecko, którego nie miał kto nakarmić. Czy chodziło tu o córkę Madeleine czy o nią samą? A może Młoda Kobieta jest jej dzieckiem, a może wnuczką? Chyba że jest terapeutką znęcającą się nad niegdysiejszą gwiazdą albo towarzyszącą jej od dłuższego czasu Śmiercią, dotykając aktorkę swoimi mackami, manipulującą jej zawodną pamięcią, zapętłającą jej czas i przestrzeń.

Józef Opalski umiejętnie steruje naszymi emocjami, roztaczając na scenie aurę tajemnicy, wprowadzając migotliwy niepokój i pozwalając nam na indywidualną interpretację zdarzeń. Opuuszczając widownię, jeszcze długo pozostajemy w bliskiej Tokarczuk „krainie metaksy”, zawieszeni gdzieś pomiędzy niepokojącą, poetycką frazą, obrazem rozbiłających się o białą skałę fal i pięknem rozbrzmiewającego na scenie Adagia z Kwintetu C-dur Schuberta.

Nowa Scena Starego Teatru, Marguerite Duras, *Savannah Bay*, reżyseria Józef Opalski, scenografia i kostiumy Aleksandra Reda, projekcje Wojciech Kapela, reżyseria światła Karolina Gębska.

W dzień zadumy...

Tekst: Janusz M. Paluch

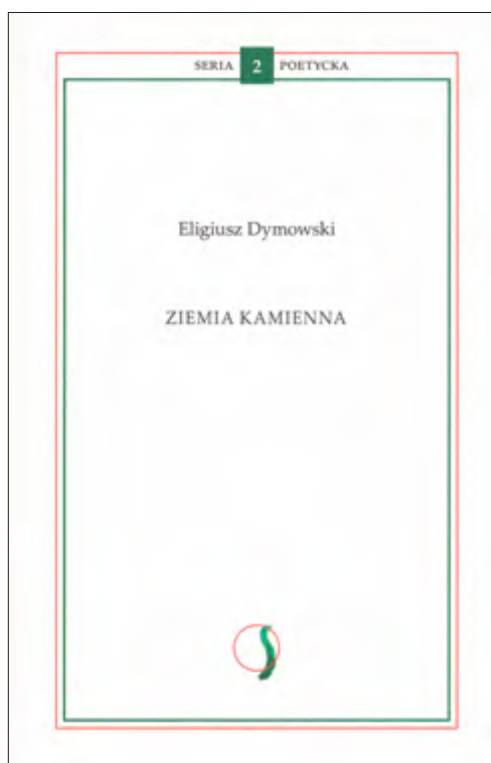
Żyjemy w dziwnym czasie. „Dlaczego poddajesz nas takim mękom, Panie!” – pyta Mosze Kublak w wierszu *Modlitwa*. Te znamienne słowa wybrał na motto do swego najnowszego tomu *Ziemia kamienna* Eligiusz Dymowski – franciszkanin, teolog, poeta.

Nie jest to książka rozmodlona, choć trudno, by refleksji natury religijnej czy filozoficznej była pozbawiona. Wszak wiersze pisał światły teolog, poeta świadomie stępujący po kamienistej ziemi, doskonale znający współczesne problemy, których nie opisuje z perspektywy klasztornej celi.

Tom składa się z dwóch części: *przytul do dłoni kamień i nim zajdzie słońce*. Pierwsza poświęcona jest głębokiej frustracji społecznej. Pisze poeta: „przytul do dłoni kamień”, który „ukoi ból” i „wykrzyczy go z tobą / nie raniąc nikogo / s ł o w e m”. Krótki utwór ukazuje nasze frustracje. Podziały społeczeństwa są tak głębokie, że poeta nam nie pomoże. Zaperzamy się, ranimy, nie przebierając w słowach. A to betka w perspektywie nakreślonych wierszami problemów, w obliczu pandemii, z którą boryka się świat. Niczym w świecie, w którym „(...) demon i anioł zaciekle walczą ze sobą, który z nich pierwszy / zedrze okrucieństw kurtynę i z gapiów zadrwi zadufanych w sobie” – pisze we wstrząsającym wierszu *Oglądając obrazy Mariana Kołodzieja w Harmężach*. Wystarczy pójść do przytuliska Brata Alberta, spojrzeć na potrzebujących, pogubionych, pokiereszowanych życiowo naszych braci, gdzie „twoja dłoń podaje chleb / nie pyta o adres, bo Człowiek najważniejszy” (*W przytulisku Brata Alberta*).

Czy nadzieją dla maltretowanego przez ludzkość świata jest *katharsis* w postaci apokalipsy? W utworze *Sąd Ostateczny* poeta przedstawia swą wizję po katastrofie: „Oto budził się z głębokich mroków jasny świt i ponownie rodziła się ziemia, / wolna od nienawiści i grzechu, na którą błogosławieństwem / spływały promienie odwiecznego słońca”.

Druga część – *nim zajdzie słońce*, zawiera utwory, w których autor pozwala nam, bu-



dującym „domy ze snów podróży i starych fotografii, (...) choćby przez chwilę udawać nieśmiertelnych” (*Zegary prawdy*).

Wiersze powstawały podczas wędrówek po Polsce i świecie. Inspirowane przez sztukę... pełne światła, barw, zachwyty – choć te w wierszach Eligiusza Dymowskiego są umiarkowane. A sceptycyzm bierze górę – łyżka dziegciu w beczce miodu... „Nic tak nie boli / jak samotność / pod dachem / pełnym ludzi...” (*Odgłosy z pustyni*).

Eligiusz Dymowski, *Ziemia kamienna*, Słowo i obraz, Augustów 2020.

■ Zabił go szkolny hejt

Te historie znamy z prasowych i książkowych reportaży. Kiedy się pojawiają, za każdym razem budzą przerażenie. Szczególnie gdy dotyczą dzieci czy nastolatków. Ktoś był inny, ktoś nie przystawał do reszty społeczeństwa, więc cała klasa miała powód do prowadzić go na dno rozpacz, sprawić, by poczuł się gorszy i targnął się na życie. Tak było w przypadku bohatera sztuki *Spóźnione odwiedziny* Jordana Tannahilla, którą na scenie Teatru im. Słowackiego wyreżyserowała Iwona Kempa. O tym, że Piotr (Aleksander Gałązka) jest wrażliwy, możemy przekonać się już podczas wykonywanej przez niego na samym początku spektaklu piosenki. O tym, że jest, a raczej był, gejem, dowiadujemy się podczas kolacji po jego samobójczej śmierci. Matka i ojciec Piotra (Dominika Bednarczyk i Maciej Jackowski) zapraszają na nią rodziców chłopaka (Natalia Strzelecka, Marcin Sianko), który prześladował kolegę. Kuba, grany przez Piotra Suwińskiego, teraz karnie im towarzyszy. Można odnieść wrażenie, że tytułowe *Spóźnione spotkanie* ma na celu pojednanie i wybaczenie. Ale to byłoby za proste. Wieczór zmienia się w psychodramę, podczas której wszyscy muszą poczuć się winni, zwłaszcza że Piotr jest cały czas obecny na scenie niczym wyrzut sumienia.

Poruszony w przedstawieniu temat jest bardzo ważny. W „Słowackim” zyskuje on jeszcze dodatkowe piętro. Owa kolacja w wydaniu Kempy nie ma w sobie nic z realizmu, mimo że coś się tam mówi o jedzeniu guacamoli czy krewetek. Na długim stole ląduje miska z niebieską substancją, stając się jedynie scenicznym znakiem, podkreślającym minimalistyczną formę spektaklu. I z tego minimalizmu zostają wypreparowane czyste emocje, których intensywność oddziałuje na publiczność z wielką siłą. Wybrzmiały one pewnie jeszcze mocniej, gdy widzowie będą oglądać przedstawienie na żywo, a nie tylko na ekranie komputera.

■ Jak Kalina Jędrusik porusza zmysły, śpiewając dla Kossaka

Czy wpadlibyście na pomysł, żeby *Bitwę pod piramidami* Jerzego Kossaka oglądać przy piosence *Bo we mnie jest seks* w wykonaniu Kaliny Jędrusik? A może wolilibyście, patrząc na zainscenizowany na płótnie szal bitewny, posłuchać *Habanery* z *Carmen* Bizeta? Mnie najbardziej przypasowała westernowa muzyka z *Siedmiu wspaniących*, która sprawiła, że odczułam niemal fizycznie tętent konskich kopyt. Kto by pomyślał, że w poważnej instytucji, jaką jest Muzeum Narodowe w Krakowie, można się tak świetnie bawić. Ja w każdym razie bawiłam się tam znakomicie

na wystawie *Moc muzeum*, która udowadnia, że dzieła sztuki odbieramy wszystkimi zmysłami.

Zacznijmy od zmysłu wzroku. Wiadomo, że na każdej wystawie najmocniej działa na nas kolor. Ale jak na odczucia widzów wpłyną ułożone w gablotach przedmioty i zawieszone obok nich obrazy, które łączą ze sobą jedynie różne odcienie niebieskiego? Krakowscy muzealnicy, niczym Wes Anderson w wiedeńskim Kunsthistorisches Museum, wyciągnęli z magazynów różne przedmioty, takie jak figurki egipskie sprzed trzech tysięcy lat, stół Juliana Julczyka z 1991 roku czy pejzaż Olgi Boznańskiej, i kazali skonfrontować się nam z ich barwami. Będziecie zachwyceni, gdy zobaczycie, jak kojąco może na nas wpłynąć paleta turkusów i błękitów.

Sprawdźcie też, jak na odbiór dzieł sztuki oddziałują ukryte w słoiczkach zapachy, które możemy powąchać, kontemplując martwą naturę. Przekonajcie się, jak kuratorzy potrafią zaaranżować wnętrze, byśmy na widok niewinnych, naszkicowanych jedynie przez artystę rąk poczuli, że wpadliśmy w szpony twórców horrorów. Zobaczcie, jak na interpretację namalowanego przez Jacka Malczewskiego *Autoportretu w białym stroju* wpływa tło, które tu samodzielnie podkładamy. Kuratorzy udowadniają też, że bardzo prosto można nas przekonać, iż coś jest arcydziełem, choć mamy przed sobą jedynie guzik.

■ Sassoferrato, klasyk, którego zapamiętamy

Niejednokrotnie zdarzało mi się opuszczać muzeum z mętlikiem w głowie. Szczególnie gdy zwiedzałam przybytki sztuki klasy Galerii Uffizi we Florencji, gdzie w jednym budynku mieszkają arcydzieła Leonarda da Vinci, Tycjana, Rembrandta czy Caravaggia. Trudno przejść obok nich obojętnie, a zatrzymywanie się przy każdym grozi szaleństwem z nadmiaru piękna. Dlatego teraz z bólem serca, ale za to starannie, wybieram dzieła, które chcę zobaczyć. Kontemplacja jednego obrazu daje gwarancję, że zapamiętamy go na dłużej. Obecnie mamy na to szansę, wybierając się do Europeum Muzeum Narodowego w Krakowie, gdzie do 21 marca prezentowana jest *Madonna z Dzieciątkiem* włoskiego malarza Giovanniego Battisty Salvi, znanego szerzej jako Sassoferrato. Był on jednym z czołowych reprezentantów nurtu klasycznego w rzymskim malarstwie barokowym. Zasłynął głównie z licznych wizerunków Madonn z Dzieciątkiem, których styl i kompozycje wywodziły się ze sztuki Rafaela. Warto sprawdzić, jak malarz potrafił na tym obrazie oddać subtelnie rysy twarzy Matki Boskiej za pomocą miękkiego światła i delikatnych barw, by potem poszukać jego prac w europejskich kościołach i muzeach.

Opracowała Magda Huzarska-Szumiec



W następnym numerze
między innymi:

Portrety 2020 – wybór jury
i laureat czytelników

Obłok Lema:
Łukasz Orbitowski

Olga Boznańska – malarka,
która nie dała się stłamsić

Magia brydża

MIESIĘCZNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY
KRAKÓW

ISSN 1733-0459 Indeks 388726

Miesięcznik społeczno-kulturalny „Kraków”

Wybierz Kraków!

Nic, co krakowskie, nie jest nam obce

Wydawca: Biblioteka Kraków – dyr. Stanisław Dziedzic. Adres Redakcji i Wydawcy: pl. Jana Nowaka-Jeziorańskiego 3, 31-154 Kraków.

Kontakt: tel. 12/61 89 120, 661 22 82 82,

e-mail: redakcja@biblioteka.krakow.pl

www.miesiecznik.krakow.pl

Pismo tworzą: Jacek Balcewicz, Witold Bereś (redaktor naczelny – witold.beres@biblioteka.krakow.pl), Krzysztof Burnetko (sekretarz redakcji – krzysztof.burnetko@biblioteka.krakow.pl), Piotr Błachut, Mieczysław Czuma, Ewa Danowska, Iga Dzieciuchowicz, Zofia Gołubiew, Paweł Głowacki, Krzysztof Jakubowski, Paweł Kopeć, Ewa Kozakiewiczowa, Ewa Lipska, Majka Lisińska-Kozioł, Wojciech Machnicki, Maria Malatyńska, Magdalena Miśka-Jackowska, Magdalena Oberc, Janusz M. Paluch, Jan Pieśczechowicz (redaktor senior), Sylwia Pyzik, Andrzej Romanowski, Anna Stafiej, Katarzyna Siwiec, Magda Huzarska-Szumiec, Elżbieta Wojnarowska, Anna Woźniakowska, Jakub Wydrzyński

Fotografowie: Grzegorz Kozakiewicz, Alicja Rzepe, Piotr Uss Wąsowicz, Danuta Węgiel, Jan Zych.

Layout: Igor Banaszewski

Strona internetowa: Piotr Rachwaniec

Wizerunek pisma i współpraca reklamowa: Edyta Wiśniowska, tel. 12/61 89 120, 661 22 82 82, e-mail: edyta.wisniowska@biblioteka.krakow.pl

Adiustacja i korekta: Anna Szczepańska-Krasoń, Janusz Krasoń

Druk: Drukarnia KOLUMB

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzega sobie prawo skracania, adiustacji i opracowania redakcyjnego tekstów oraz zmiany ich tytułów. Przedruki tylko po uzyskaniu zgody wydawcy i z zamieszczeniem adresu źródłowego. Za treść ogłoszeń i reklam redakcja nie ponosi odpowiedzialności.

Scenarzysta Jan Polewka

Wbrew temu, co napisaliśmy w poprzednim numerze „Krakowa”, scenariusz filmu dokumentalnego *Dom Literatów* nie jest dziełem Jerzego Kisielewskiego i Jana Polewki, ale tylko Jana Polewki.

Czytelników i Scenarzystę przepraszamy



Rys. Piotr Błachut

Polecamy prenumeratę bezpośrednio u wydawcy!

Prenumerata redakcyjna gwarantuje stały i bezpośredni kontakt z naszym czasopismem, które nie jest dostępne w każdym kiosku.

Kontakt: Aneta Mastela-Książek
aneta.mastela@biblioteka.krakow.pl,
tel.12/61 89 120

Numer konta na wpłaty na rzecz miesięcznika, w tym na prenumeratę: Biblioteka Kraków,
pl. Jana Nowaka-Jeziorańskiego 3, 31-154 Kraków
Numer konta: 24 1020 2892 0000 5102 0677 8528

Opis: prenumerata miesięcznika Kraków (tu adres wysyłki)

Prenumerata roczna – taniej, pewniej, do domu!
(11 numerów, w tym wakacyjny)

– dla odbiorców mieszkających w kraju: **70 zł**

– dla mieszkających za granicą: **190 zł** (poczta priorytetowa, USA, Kanada, Australia) i **150 zł** (poczta zwykła, Europa).

W prenumeracie zamawianej na krótszy okres (np. do końca br.) koszt jednego numeru wraz

z wysyłką wynosi **7 zł** w kraju i **12 zł** za granicą.

Prosimy o podanie adresu, pod jaki pismo ma być dostarczane! Wysyłka rozpoczyna się od pierwszego numeru wydanego po dniu wpłaty.

Numery archiwalne: cena wraz z wysyłką – **7 zł** za egz. **Więcej informacji:** www.miesiecznikkrakow.pl, Facebook: <https://www.facebook.com/miesiecznikkrakow/?ti=as>. Ponadto prenumeratę realizują: **RUCH, KOLPORTER, GARMOND** – szczególnie na witrynach internetowych kolporterów.

W sieci kultury

Opracował Piotr Rachwaniec

Legalna kultura.pl

Jako stały odbiorca kultury miałem wrażenie, że w obliczu popularności filmowych serwisów streamingowych problem piractwa zanika. Że pozyskiwanie filmów i muzyki z rozmaitych giełd w latach 90. ubiegłego wieku w wyniku nieuregulowanego prawa autorskiego oraz ściąganie z sieci w czasach późniejszych jest już za nami. Jak się okazuje, byłem w błędzie. Niuanse tak zwanego nowoczesnego piractwa przybliży Legalna kultura.pl

<https://www.legalnakultura.pl/pl/prawo-w-kulturze/prawo-w-praktyce/news/3470,takie-czasy-co-warto-wiedziec-o-nielegalnych-zrodlach>

„Szacuje się, że gotówkowe przychody z rozpowszechniania treści bez zgody ich twórców lub osób uprawnionych wyniosły w 2016 roku ok. 900 mln zł. Nic więc dziwnego, że wiele osób skusi się na wybranie drogi nowoczesnego pirata. Wszak zachęca do tego brak odpowiednich przepisów i niska skuteczność walki z nielegalnymi adresami.

(...) Warto także odnotować, że (...) w niektórych przypadkach bardzo trudno stwierdzić, która strona jest legalna, a która działa z naruszeniem prawa (w weryfikacji pomoże Baza Legalnych Źródeł prowadzona przez Legalną Kulturę)”.

Dwutygodnik.com

Programy kulinarne były, są i chyba zawsze będą popularne. Trudno jednak oprzeć się

wrażeniu, że o ich popularności nie decyduje to, co się gotuje, tylko kto gotuje – innymi słowy: osobowość i charyzma kucharza oraz pasja, z jaką opowiada o mieszanii kolejnych składników. Jeśli dodamy do tego garść ciekawostek geograficzno-historycznych, portret maluje się tylko jeden: Robert Makłowicz. O krakowskim mistrzu kuchni (i o kolejnej fali jego popularności) pisze Dwutygodnik.

<https://www.dwutygodnik.com/arttykul/9372-robert-maklowicz-na-youtubie-czyli-jak-byc-kochanym.html>

„Robert Makłowicz był arcypopularną i niemal powszechnie szanowaną postacią internetową na długo przed pandemią. W niemałym stopniu zawdzięczał to internautom, którzy wrzucali na YouTube’a przeróbki jego archiwalnych nagrań telewizyjnych, osiągające czasem ponad milion wyświetleń. Występował też jako bohater past i niezliczonej ilości memów.

(...) Dla wielu z nas archiwalne odcinki popularnego programu nie będą nowością. Któż nie pamięta przygód ruchliwego, trochę zabawnego i sympatycznego kucharza o charakterystycznym głosie, które docierały do nas z włączonego przypadkiem (lub lecącego w tle) telewizora w rodzinnym domu? Makłowicz był jednym z kilku rozpoznawalnych telewizyjnych specjalistów w dziedzinie sztuki kulinarnej; wyróżniało go łączenie gotowania z podróżami, a także zamięłowanie do lokalnych historycznych ciekawostek, którymi dzielił się z widzami w każdym odcinku”.



Rys. Marek Braun



Opracowała Magda Huzarska-Szumiec

Kalkulator Apokalipsy Wampirów

A co by to było, gdyby wampiry rzeczywiście rozpanoszyły się wśród nas? Ale nie ci metaforyczni „krwiopijcy”, co to wysysają z naszych portfeli banknoty i monety, ale ci, za przeproszeniem, z krwi i kości. Ot, choćby taki Dracula czy bohaterowie serialowej sagi *Zmierzch*. Trudne do wyobrażenia? Niekoniecznie. Udowodnił to Dominik Czernia, naukowiec z Instytutu Fizyki Jądrowej w Krakowie, który na co dzień zajmuje się bardzo poważnymi sprawami, takimi jak właściwości związków magnetycznych i możliwość ich zastosowania w przemyśle i nowoczesnych technologiach. Badacz, wykorzystując dostępne sobie narzędzia, stworzył iście wampiryczny kalkulator, który na podstawie dzieł z gatunku literatury fantastycznej prezentuje matematyczne modele rozprzestrzeniania się wampiryzmu. To nie żarty, wszystko ma tu podstawy naukowe. I choć Kalkulator Apokalipsy Wampirów wciąż oscyluje na cienkiej granicy nauki i fantazji, my na wszelki wypadek ostrzemy już osikowe kołki. Zwłaszcza że za rogiem czyhają zombi. Bowiem właśnie żywe trupy pan Dominik chce uczynić bohaterami swojego kolejnego kalkulatora.

Kangur w mieście

Ma na imię Gucio. Nie jest zbyt wysokiego wzrostu, gdyż mierzy zaledwie 90 centymetrów. Wagę ma słuszną – 20 kg, choć jest raczej wegetarianinem: lubi marchewkę, jabłko, musli z witaminami, siankiem też nie wzgardzi. Wzbudza nie-

zwykle zainteresowanie wszystkich, którzy przechodzą obok posesji pana Roberta Kubika przy ulicy Jordanowskiej. Kangur, bo o nim tu mowa, zgodnie żyje z kotem i kozami. Tylko z końmi mu jakoś nie po drodze.

Na pomysł posiadania Gucia wpadł syn pana Roberta. Nie musiał po niego lecieć aż do Australii, bo – jak się okazało – hodowla kangurów znaj-

duje się pod Limanową. Bawi więc Gucio u państwa Kubików już trzeci rok, ku zdumieniu i uciesze przechodniów. On sam bez wątpienia ucieszyłby się z towarzystwa miłej kangurzycy, gdyż osiągnął już stosowny wiek. „To poważna sprawa i trudna decyzja. Bo co wtedy, gdy pojawią się młode kangurki?”, zastanawia się pan Robert, na łamach „Gazety Krakowskiej”.

Lisek rozrabiaka

Chyba nikogo już nie dziwi obecność w mieście dzikich zwierząt. Kto ma samochód, wie doskonale, czym grozi przebywanie w jego sąsiedztwie, dajmy na to, takich kun. Ale nie tylko one pomieszkują w Krakowie. Ostatnio w Ogrodzie Botanicznym zadomowił się pewien lis. Od kilku miesięcy ów rudzielec czuje się tam jak u siebie w norce i harcuje co niemiara, goniąc po ogrodowych rabatkach. To jego poczucie bezkarności daje się trochę we znaki pracownikom Ogrodu. A to rozkopie nadzwyczaj cenną sasanę, a to przydybie jakiegoś gryzonie, by innym razem zasadzić się na łapanie do obrączkowania ptaki. Nas najbardziej rozbawiło wykopanie przez liska śpiącego w stercie liści jeża, choć kolczastemu śpiochowi z pewnością do śmiechu nie było. A i rozrabiace z kitą pewnie też nie. Za to dzieci na jego widok naprawdę się cieszą. Niech ich jednak nie zmyli niewinna mina stworzonka, gdyż jest to dzikie zwierzę. Zatem uprasza się, by nie głaskać niesfornego liska podczas wizyt w Ogrodzie Botanicznym.

Niebezpieczny Harry Potter

Wieczór fanów Harry’ego Pottera, zorganizowany w Szkole Podstawowej nr 64 w Krakowie, miał być jedynie niewinną zabawą. Ale gdy do akcji wkracza mały czarodziej, sprawa przestaje być niewinna. Nic dziwnego, że dwóch dzielnych katechetów z zakonu pijarów postanowiło stawić mu czoło. Duchowni dobyli zastrzonych piór, by przestrzec rodziców przed diablem wcielonym, jakim ów młodzieniec jest w ich mniemaniu. „Harry Potter jest to subtelne uwiedzenie, które oddziałuje niepostrzeżenie, a przez to głęboko, i rozkłada chrześcijaństwo w duszy człowieka, zanim mogło ono w ogóle wyrosnąć” – zacytowali Benedykta XVI w swej epistole. A już od siebie wskazali na zgubne skutki duchowe płynące z lektury powieści, mającej związki z okultyzmem. Trudno w tym przypadku o lepszą puentę niż cytata z księdza profesora Józefa Tischnera: „Nie spotkałem w moim życiu nikogo, kto by stracił wiarę po przeczytaniu Marksa i Engelsa, natomiast spotkałem wielu, którzy ją stracili po spotkaniu ze swoim proboszczem”.



Rys. Jacek Stefaniak

Klub Przyjaciół miesięcznika „KRAKÓW”



Klub Przyjaciół miesięcznika „KRAKÓW”

Magdalena i Piotr Maciukiewicz, Kraków
Anna Kozłowska i Damian Kalbarczyk, Kraków
Grzegorz Szymański, Warszawa
Aleksander Skotnicki, Kraków
Alicja i Krzysztof Goerlichowie, Kraków
Beata i Wojciech Starowieyscy, Kraków
Adam Michnik, Warszawa
Janusz Szerla, Kraków
Grzegorz Kogut, Kraków
Józef Palinka, Warszawa
Marek Braun, Kraków
Krystyna Zachwatowicz, Kraków
Aleksander Herzog, Warszawa
Jacek Purchla, Kraków
Kazimierz Sumera, Zawoja
Andrzej Gaworski, Warszawa
Józef Opalski, Kraków
Halina i Leszek Domańscy, Kraków
Katarzyna Janowska, Warszawa
Anna i Tadeusz Buczek, Katowice
Stanisław Bisztyga, Kraków
Ewa Przyboś-Razowska, Kraków
Krzysztof Bień, Kraków
Teresa Bergier, Kraków
Antoni Legeżyński, Kraków
Krystyna Sacha, Porąbka Uszewska
Elżbieta Motas, Warszawa
Jolanta i Jarosław Brudniccy, Kraków
Iwona Ben, Kraków
Barbara i Andrzej Jajszczyk, Kraków
Józef Grudnik, Kraków
Teresa Pracz, Warszawa
Alicja Jarkowska-Natkaniec, Kraków
Ewa Rusek, Kraków
Andrzej Wyrobiec, Kraków
Jarosław Poczykowski, Białystok

Jadwiga Falkowska, Białystok
Marcin Barcz, Piaseczno
Tomasz Langie, Kraków
Tomasz Majka, Zawada
Jerzy Zoń, Kraków
Amelia i Rafał Skąpscy, Jazowsko
Anna Kosioriewicz, Kraków
Jerzy Hausner, Kraków
Katarzyna Bilan-Zajac, Kraków
Monika Gierko-Libicka, Warszawa
Rafał Bubnicki, Wrocław
Adam Opatowicz, Kołbaskowo
Dominika Dudek, Kraków
Wanda Chmielowska, Kraków
Hanna Gajewska-Kraczkowska, Pruszków
Gerhard Gnauck, Sulejów
Wacław Marszałek, Warszawa
Piotr Krzywiec, Warszawa
Gwidon Dziwoki, Kraków
Waldemar Zakrzewski, Szczecin
Renata i Wojciech Michna, Kraków
Andrzej Kuźma, Kraków
Jarosław Grzesiak, Kontancin-Jeziorna
Konstanty Gebert, Warszawa
Agnieszka Odorowicz, Warszawa
Janusz Fogler, Legionowo
Anna Tyniec, Kraków
Czesław Misiółek, Ożarów Mazowiecki
Małgorzata Maruszkin, Warszawa
Anna Anderson, Dobczyce
Marcin Barcz, Piaseczno
Wojciech Bergier, Kraków
Ewa Bielecka, Kraków
Jacek Górski, Kraków
Dorota Hajdarowicz, Bolechowice
Grzegorz Hajdarowicz, Bolechowice
Wanda Fryz, Wodzisław Śląski

Maria i Paweł Niklińscy, Kraków
Andrzej Łojewski, Kraków
Andrzej Pach, Kraków
Małgorzata Pach, Kraków
Jerzy Lorecki, Kraków
Jan Sady, Kraków
Róża Thun, Kraków
Stanisław Dudzik, Kraków
Artur Romanowski, Kraków
Małgorzata i Paweł Jagusiowie, Kraków
Małgorzata i Jerzy Dobrowolscy, Skarżysko-Kamienna
Ewa i Krzysztof Jurkiewicz, Krępa
Zofia Maciaga, Łędziny
Ewa i Grzegorz Reszka, Warszawa
Dariusz Borucki, Łomianki
Alina Kruk, Zielona Góra
Krzysztof Ryszard Wilk, Kraków
Mariusz Landowski, Tczew
Jadwiga Drąg, Paszczyzna
Halina Majdak-Maj, Bielsko-Biała
Marta Anna Ronne, Uppsala
Waldemar Smolski, Kraków
Andrzej Gawłowicz, Kraków
Anna Świętoń-Piędzioch, Kobyla Góra
Grażyna Przybylska-Okon, Kraków
Teresa Stowska, Kraków
Malwina Kopańska, Olsztyn
Kazimierz Trybalski, Przybysławice
Anna Kulak, Krzeszowice
Jerzy Kicki, Kraków
Andrzej Pienias, Bełchatów
Alicja Byszkiewicz, Toronto
Andrzej Mącznik, Kielce
Anna i Adam Opatowiczowie, Kołbaskowo
Katarina Hard, Staffanstorp
Alicja Danecka-Chwals, Boston

Dołącz do Klubu Przyjaciół „Krakowa”!

Klub Przyjaciół Miesięcznika „Kraków” to ludzie i firmy, którym bliski jest duch Krakowa i polska kultura. Wystarczy wpłacić raz na dwanaście miesięcy 140 złotych (osoby), 500 zł (firmy), a nawet 1000 zł (PRZYJACIELE KULTURY), aby przez rok być wymienionym na liście Przyjaciół Pisma wraz z ewentualnym logo, dostawać

zaproszenia na wszystkie imprezy organizowane przez redakcję, w grudniu otrzymać w prezencie książkę pióra któregoś z Autorów pisma wraz z osobistą dedykacją i oczywiście co miesiąc dostawać kolejny numer „Krakowa”! A dla PRZYJACIÓŁ KULTURY czeka uniikatowa reprodukcja grafiki Daniela Mroza!

Wpłaty:

Biblioteka Kraków
pl. Jana Nowaka-Jeziorańskiego 3
31-154 Kraków
24 1020 2892 0000 5102 0677 8528
tytułem: Klub Miesięcznika „Kraków”
– nie zapomnij podać adresu, na jaki mamy wysyłać nasz magazyn!
Istnieje też możliwość uzyskania tytułu Złotego Mecenas Promocji „Krakowa” – zapraszamy do rozmów.

Psi ogon, czyli aśwaganda

Tekst: Agnieszka Kosińska

**Na gwałt szukamy witalności, nie tylko na przednówku naszego zmienionego świata. Wszystkiego tego, co *lost in translation* – zgubiło się w tłumaczeniu: wszechświata – na świat człowieka, na rosnące potrzeby człowieka, na ogra-
niczenia człowieka. A co z całą resztą?**

Gwiazdami, z którymi łączy nas skład pierwiastkowy, roślinami, które tak pięknie porozumiewają się między sobą, a tylko człowiek ich nie słyszy, wreszcie – co ze zwierzętami?

Przyznam się od razu: czuję się pewniej i lepiej, kiedy w autobusie wypełnionym ludźmi jedzie z nami pies. Wystarczy patrzeć w jego cierpliwe oczy, spokojny wyraz ciała. A czy widzieliście, co robiły psy, kiedy 13 stycznia spadł w Krakowie wielki śnieg? Czy człowiek umie się tak jeszcze cieszyć? Co tam cały pies, wystarczy ogon psa! Wyraża wszystko. Zapisuję wam, ludzie, ogon psa do patrzenia jako lekarstwo na świat. Jest pewien wiersz wspaniałej poetki Anny Świrszczyńskiej (czy można mieć bardziej z przyrodą i polszczyzną związane nazwisko?), co tam wiersz, cały cykl pod tym tytułem: *Szczęśliwa jak psi ogon*.

Szczęśliwa jak to, co nieważne
i wolne jak rzecz nieważna.
Jak to, czego nikt nie ceni
i co nie ceni siebie.
Jak to, z czego wszyscy drwią,
i to, co drwi z tej drwiny.
Jak śmiech bez poważnego powodu.
Jak krzyk, który może się wykrzyczeć.
Szczęśliwa jak byle co.
Jak byle jakie byle co.

Szczęśliwa
jak psi ogon.

Zapisuję wam, ludzie, wiersze Świrszczyńskiej jak aśwagandę: jej odwagę, jej styl i szwung. I wielki talent. Córka pięknej Stasi Bojarskiej i malarza Jana Świerczyńskiego, w którego warszawskiej pracowni się wy-

chowała. „Ojciec malował, chodząc z kotem na ramieniu. Przy pracy śpiewał bez przerwy”. Mocno żyła Anna. Była ulubienicą Erosa i Hermesa. Miała być malarką. A jak pisała! Jej wiersze to właściwie małe teatry – miniatury dramatyczne. „W nocy matka wyjęła z kuferka / białe ślubne pantofle / z jedwabiu. Długo / smarowała je atramentem. Raniutko / wyszła w tych pantoflach / na ulicę, / stać w kolejce po chleb (...)”. Niektóre to wielkie wiersze literatury światowej (na przykład *Piorę koszulę* czy całe cykle *Budowałam barykadę*; *Jestem baba*). Burzliwą historię miłosną, rodzinną czy historię kraju umie Anna opowiedzieć tak kaligraficznie i przejrzysto, jakby zdarzyła się kobiecie z dynastii Ming albo mieszkance Pompei tuż przed wybuchem wulkanu. No i tak pięknie łączy człowieka z naturą, w nim i poza. Kaligrafia i ekstaza. Prawie niemożliwe połączenie, a Annie Świrszczyńskiej się udało.

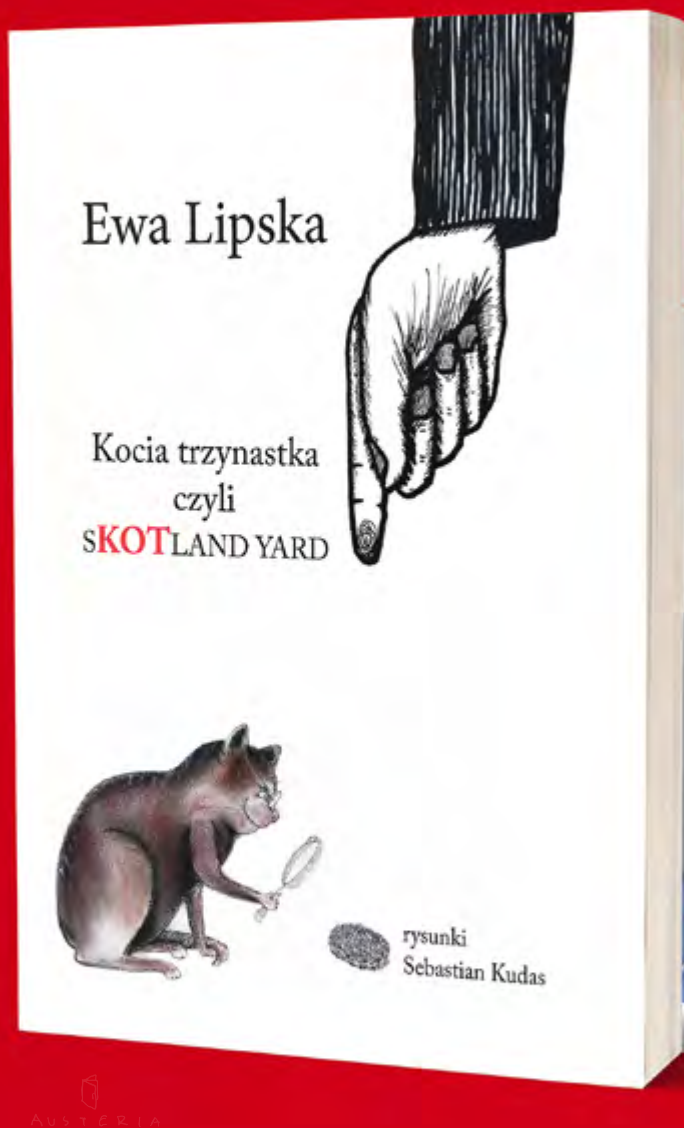
Ewentualnie mogę też polecić na przednówku zmienionego świata inne moje ulubione i sprawdzone lekarstwa (ale nie zamiast Świrszczyńskiej tylko „wespół w zespół, by żądz moc móg wzmóc”): filmy przyrodnicze z głosem Krystyny Czubówny i Elżbiety Groszek. Szczególnie te, w których można oglądać z bliska uwijające się ptaki, motyle, robaczki i dziwną egzotyczną oraz dziwną lokalną florę. Poza tym planuję wypad na ptasie gody na rozlewiska Biebrzy lub Odry, jak tylko się troszkę ociepli. Bo nie ma to, jak wziąć udział osobisty w święcie przyrody. (Trzeba kupić lornetkę).

Cytaty (oprócz Jeremiego Przybory) pochodzą z tomu: Anna Świrszczyńska, *Poezja* (zebrał i przedmową poprzedził Czesław Miłosz), PIW, Warszawa 1997.



Agnieszka Kosińska: lubi lubić. Jej strona autorska: <https://kosinska-miloszwkrakowie.com>

Wstąp do Klubu, a dostaniesz
SKOTLAND YARD
z autografem autorki!*



Kocia trzynastka, czyli...
najnowsze wiersze
Ewy Lipskiej
z rewelacyjnymi rysunkami
Sebastiana Kudasa



Zapraszamy!

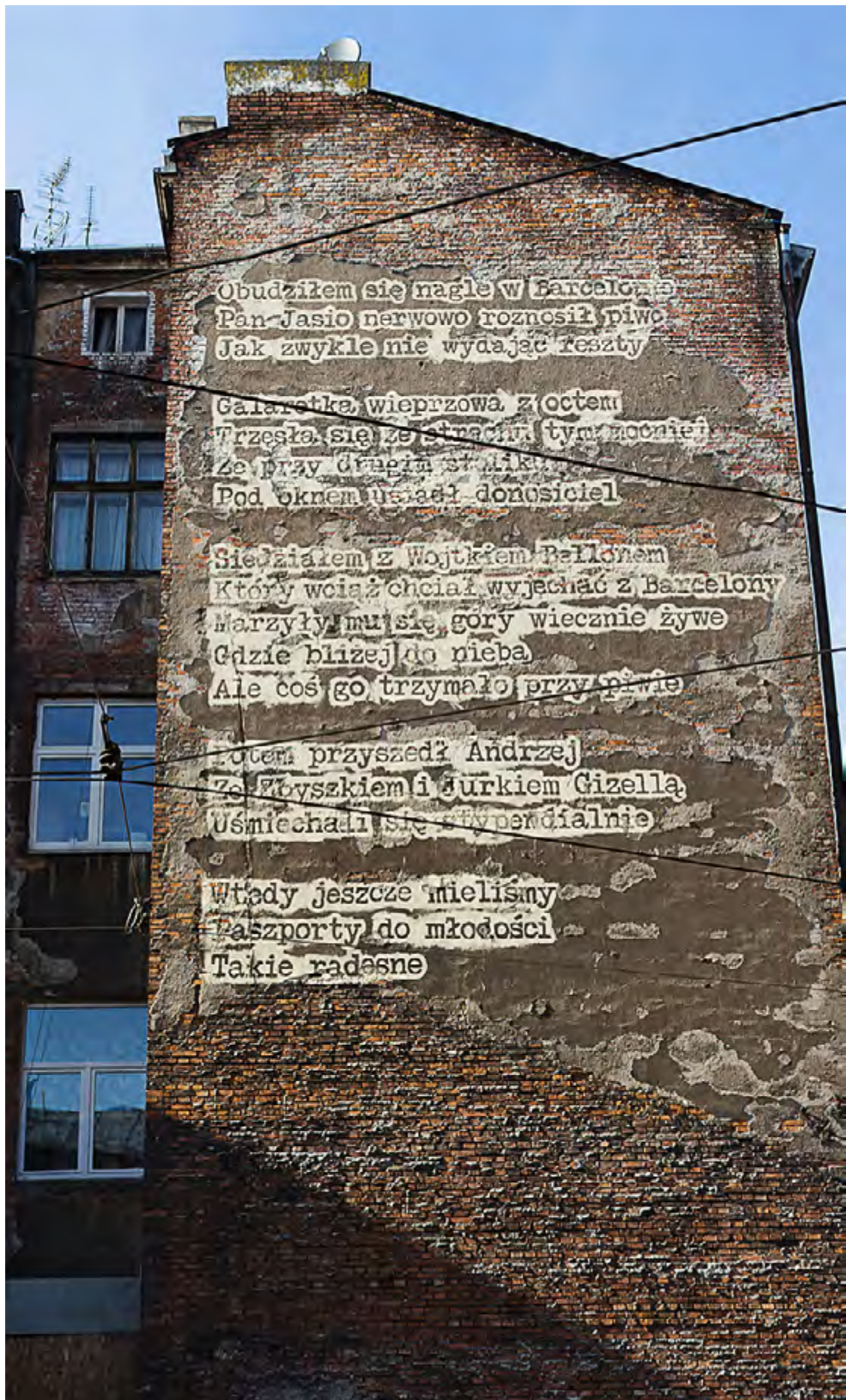
Szczegóły w numerze oraz na
www.miesiecznik.krakow.pl/o-nas/klub-przyjaciol-krakowa/

* oferta ważna do wyczerpania zapasów

Klub Przyjaciół
miesięcznika

MIESIĘCZNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY
KRAKÓW

zaczynamy się
w Krakowie
KRAKÓW
MIESIĘCZNIK
www.miesiecznik.krakow.pl



Bartolomeo Koczenasz, mural *Barcelona*, 2012 (wiersz Adama Ziemiańska)